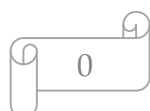




Anne O'Brien



Miłość i intryga



Rozdział pierwszy

- Jak sądzisz, długo cię nie będzie? - spytała swego syna lady Elizabeth Oxenden.

- Dwa, może trzy tygodnie. - Wicehrabia Marlbrooke stał za biurkiem biblioteki w Winteringham Priory i przeglądał dokumenty. Był już w stroju podróżnym, przed wyjazdem zarzuci jeszcze tylko pelerynę, włoży rękawiczki i kapelusz.

- Ufam, że podczas mojej nieobecności będzie ci tu dobrze. Verzons dopilnuje, żeby niczego ci nie brakowało. No i jest oczywiście Felicity.

Była to prawda, lady Elizabeth wołała jednak nie zastanawiać się nad tym zbyt. Szarość sącząca się do pokoju i odbierająca blask brokatowym draperiom znakomicie pasowała do jej nastroju.

- Bardzo cię proszę, nie zostawiaj mnie zbyt długo na łasce Felicity. Potrzebuję do rozmowy kogoś, przy kim nie muszę uważać na każde słowo i nieustannie kalkulować, czy jakimś nieopatrzonym zwrotem nie urażę jego wydelikacowanych uczuć.

- Celowo utrzymała lekki ton, by nie obciążać syna poczuciem, że powinien stale zajmować się matką.

- Myślisz, że byłbym w stanie zrobić coś takiego? - Spojrzał na nią z błyskiem rozbawienia w oczach.

- To możliwe.

- Znajdź jej jakieś zajęcie. Na pewno jest tu dość pomieszczeń na strychu, które można uporządkować, a wtedy przestanie cię nękać swoją obecnością.

Tylko że wtedy będę bardzo samotna, pomyślała.

- Znakomicie. Felicity tak bardzo lubi wszystko organizować. Powiem jej, że to twój pomysł.

- Ten fakt lepiej zachowaj w tajemnicy, bo inaczej stanie dęba. - Wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Przypuszczam, Marcusie, że znajdziesz okazję, by odwiedzić Whitehall? - Lady Elizabeth odwróciła wzrok ku widokowi rysującemu się za szybą. Chociaż chętnie wróciłaby do Londynu ze wszystkimi jego atrakcjami i splendorem, to trudno jej było ukryć potępienie dla niektórych dość skrajnych zwyczajów panujących na dworze po restauracji monarchii.

- Naturalnie. Czyżbym słyszał w twoim głosie nutę niezadowolonia?

-Hm...

Marlbrooke odłożył papiery na biurko i usiadł w fotelu naprzeciwko matki.

- Rozumiesz przecież, że muszę dopilnować, aby król nie zapomniał o mnie. Karol jest łaskawy i pełen życzliwości, ale niestety dość chimeryczny. Potrzebuję jego przychylności, by zabezpieczyć moje prawa do odziedziczonego majątku, dlatego złożę mu wyrazy uszanowania z należną pokorą, nie szczędząc pochlebstw. - Uniósł

brwi. - Cóż, mam w tym coraz większą wprawę. Czyżby i to ci się nie podobało?

- Podobałoby się, gdyby Jaśnie Pan nie dawał poddanym tak naganego przykładu. Ech, chyba nie powinnam tego mówić!

- To nie ulega wątpliwości! Czy to możliwe, że Jego Wysokość Karol, niedawno jeszcze wygnaniec, a obecnie nasz ukochany król, zaledwie po trzech latach rządów zasłużył sobie na twoje niezadowolenie? Czy to nie trąci zdradą stanu? - W jego oczach malowała się kpina. Rozmowy z matką zawsze wydawały mu się interesujące.

- Być może moje słowa są naganne, ale chodzą pogłoski, moim zdaniem niestety prawdziwe, że w ostatnie święto Trzech Króli nasz monarcha za jednym podejściem do stołu przegrał w karty sto funtów.

- Przecież dobrze wiesz, że nie mam zwyczaju oddawać się hazardowi... no, chyba że karty wyraźnie mi sprzyjają.

- Jeśli zaś chodzi o tę kurtyzanę Barbarę Villiers... Marlbrooke wybuchnął śmiechem.

- A co ty możesz wiedzieć o lady Castlemaine? Czyżbyś znowu dała posłuch jakimś skandalicznym plotkom?

- Wprawdzie mieszkam z dala od Londynu, ale interesujące nowiny znajduję w listach. Niektóre są takie, że rumienię się podczas lektury.

- A zatem potępiasz gusta naszego nowego króla, jeśli idzie o kobiety. Musisz jednak wiedzieć, że Barbara Villiers jest bardzo

atrakcyjną damą. Wręcz zabójczo atrakcyjną. Ma gęste ciemnorude włosy, intensywnie niebieskie oczy, a jej figura...

- Co z tego, skoro to zwykła dziewczka!

- Krew Villiersów nie jest gorsza od twojej. - Szerokim uśmiechem skwitował matczyną odrazę do kobiety, która tak skutecznie wkradła się w łaski Karola, że została jego kochanką.

- Możliwe, ale ona i tak jest...

- Dziewką, już to mówiłaś. Ma jednak namiętą naturę i to Karola pociąga. Ta dama dała już Jego Wysokości dwoje zdrowych dzieci.

- Z nieprawego łoża. - Elizabeth skrzywiła się z niesmakiem. - I jaki z tego pożytek? Mężczyzna potrzebuje prawowitego dziedzica. Serdecznie współczuję biednej królowej Katarzynie. Doprawdy nie wiem, jak ona może to tolerować. Pozostaje mi jedynie nadzieja, że przynajmniej ty nie przywieziesz do domu jakiejś zżeranej ambicją, samolubnej harpii, by pojąć ją za żonę.

- Panna Lovell nie jest ambitną harpią.

- Panna Lovell? - Elizabeth szerzej otworzyła oczy. - Sądziłam, że masz na myśli Dorotheę Templeton. To o niej szeptano w związku z tobą...

- Dorothea była w zeszłym miesiącu.

- Och, Marcusie, wolałabym, żebyś tego nie robił! - Mimo wyrażonej dezaprobaty, uśmiechnęła się.

- Wiem. Pozwól mi jednak na odrobinę wolności i przyjemności. Daję słowo, że w Whitehallu nie przeputuję rodowego

majątku ani nie narażę na szwank dobrego imienia rodziny. I nie ożenię się z dziewczką. Czy to cię zadowala?

- Pewnie musi.

- Niedługo się ożenię i spłodzę dziedzica, a ty będziesz mogła rozpieszczać wnuki.

- Najwyższy czas. - Zawahała się, w końcu jednak podjęła drażliwy temat, który od kilku dni nie dawał jej spokoju. - Czy spotkasz się z sir Henrym Jessopem?

- Tak. Zamierzam złożyć wizytę w Downham Hall. - Uśmiech natychmiast znikł z jego twarzy. - Trzeba wreszcie załatwić tę sprawę.

- Czyli jesteś zdecydowany na to małżeństwo?

- Naturalnie. To idealne rozwiązanie dla obu rodzin.

- Zdajesz sobie sprawę, że ona może odrzucić oświadczyny?

- Wątpię. Ze względów politycznych to małżeństwo jest korzystne zarówno dla Harleyów, jak i dla Oxendenów. Co więcej, sytuacja tej panny jest nie do pozazdroszczenia. Nie wszyscy są równie tolerancyjni dla byłych stronników parlamentu jak król Karol. Z pewnością jej rodzina wycierpiała już niejedną zniewagę i musiała przełknąć wiele złośliwości, zdziwiłbym się więc, gdyby Katherine Harley nie powitała z radością takiej okazji do korzystnego sojuszu.

Zdrowy rozsądek nakazał Elizabeth przyznać mu rację.

Spojrzała na swego przystojnego, uroczego i w najwyższym stopniu irytującego syna, który tak bardzo wrodził się w swego ojca.

Przypomniała sobie dawne czasy, kiedy zakochała się po uszy i znalazła miłość, która trwała, póki śmierć nie rozłączyła jej z mężem.

Czy jakakolwiek panna przy zdrowych zmysłach mogłaby odrzucić oświadczyzny Marcusa Oxendena? Katherine Harley, aby tak postąpić, musiałaby być bardzo nierozsądna albo całkiem ślepa.

- Czy nie zastanawiałaś się nad małżeństwem z miłości? - spytała nieśmiało, jako że nie był to zbyt pożądanym tematem do dyskusji.

Marcus rozumiał niepokoje matki. Z uśmiechem delikatnie ujął jej dłoń.

- To niemożliwe. Dobrze wiem, że uwielbialiście się z ojcem, ale takie szczęście nie wszystkim jest dane. Nie szukam w małżeństwie miłości. Wystarczy mi szacunek i przyjaźń, jeśli nam się uda, a jeśli nie, to po prostu tolerancja. Uważam, że Katherine Harley znakomicie nadaje się na żonę. I na tym, proszę, zakończmy ten temat. Naprawdę nie masz się czym przejmować.

Westchnęła, ale z doświadczenia wiedziała, że nie powinna już naciskać.

- Bądź dla niej dobry, Marcusie - dodała jednak. - Nie miała najszcześniejszego dzieciństwa. I powiedz jej... - Elizabeth głos lekko zadrżał - powiedz jej, że z radością powitam ją w Winteringham Priory jako córkę.

- Tak zrobię. - Trafiła w czuły punkt, bo ton głosu Marcusa stał się bardzo ironiczny. - Wprawdzie niewiele, albo zgoła nikt nie podejrzewa mnie o taką subtelność, ale wiedz, że nie będę okrutny dla panny Harley.

- Znam cię dobrze i nigdy bym nie rzuciła na ciebie podobnych oskarżeń!

- Tak, ale raczej nie jesteś bezstronna. - Gdy znów się uśmiechnęła, uniósł jej dłonie do ust i ucałował. - Proszę, postępuj tak, by ta biedaczka nie poczuła się onieśmielona.

- To się rozumie samo przez się.

- Wiem, ale mimo wszystko zdarzyć się może. Zaś ja będę się starał, jak umiem. Naprawdę nie zamierzam jej karać za dawne grzechy. Nie masz się czego obawiać.

To musiało wystarczyć Elizabeth.

- Cieszę się, synu. - Wstała i wolno podeszła do drzwi, a Marcus za nią.

- Cóż więc mam ci przywieźć z bogatego Londynu?

- Cokolwiek.

- Cokolwiek miłego twemu sercu.

Narzeczoną, w której zakochałeś się bez pamięci i która odwzajemni twoją miłość, pomyślała.

- Na przykład książki. Poezję. Coś, co jest modne.

- Coś, co zdecydowanie nie spodoba się Felicity?

- Jesteś stanowczo za bystry, to ci zaszkodzi. - Zachichotała i na chwilę zatrzymała dłoń na rękawie aksamitnej peleryny syna.

- Spełnię twoje życzenie z wielką przyjemnością. - Pochylił się, by cmoknąć ją w policzek

- Uważaj, Marcusie.

- Naturalnie.

I już go nie było. Zostawił ją z brzemieniem troski nad planowanym przez syna małżeństwem, do którego odnosił się z tak

wielkim chłodem. Odpowiednia żona, też coś! Ten związek był skazany na niepowodzenie, zanim jeszcze się zaczął.

Tydzień po wyjeździe Marcusa lady Oxenden wlokła się z wysiłkiem przez wielką salę w najstarszej części Winteringham Priory. Wspierała się na lasce, ale i tak musiała zaciskać zęby. Tego dnia wyjątkowo dotkliwie odczuwała swoich czterdzieści osiem lat życia. Zima trwa zbyt długo, pomyślała Elizabeth. Przez wilgoć i chłód bolały ją stawy i mięśnie, a najwięcej cierpień przysparzało jej lewe biodro. Mocno kulała, obawiała się, czy bez pomocy zdoła dotrzeć do drzwi w drugim końcu sali.

Straszne! Jeszcze niedawno odbywała z mężem konne przejażdżki, tańczyła do białego rana i bawiła się z synem, który ani chwili nie potrafił usiedzieć spokojnie. Przystanąła, oparła się o blat masywnego dębowego stołu. Skórę wciąż miała gładką, oczy w głębokim odcieniu szarości nadal zdobiły intrygujące zielone plamki, ślady dawnej urody jeszcze więc nie zginęły. Ustawiczny ból odcisnął jednak swoje piętno, tak samo jak troski i niepokoje, toteż linie przy oczach i kącikach ust stały się głębsze. Czuła się bardzo zmęczona. W chwili słabości nawet żałośnie westchnęła, obawiała się bowiem, że w każdej chwili mogą jej popłynąć łzy.

Jednak uzalanie się nad sobą nie leżało w jej naturze. Po stanowała przywołać Felicity. Wyprostowała się i dzielnie po kuśtykała naprzód z wzrokiem wbitym w ozdobną boazerię i dębową posadzkę. Drewno było lśniące i dobrze utrzymane, tak jak całe Winteringham Priory, ale... Nie, to nie tak, że nie lubiła tego domu,

wolałaby jednak tu nie przebywać. Chciała wrócić do Londynu, gdzie znała każdy kąt, dom był o wiele mniejszy, łatwiejszy więc do ogrzania, no i nie dokuczały te okropne przeciągi, które w Priory hulały po przeraźliwie długich korytarzach, a echo nie odbijało się od absurdalnie wysokich sklepień. Poza tym w stolicy w zimowe popołudnia odwiedzały ją przyjaciółki i dodawały jej otuchy. Odkąd król odzyskał władzę, powróciły też luksusowe sklepy, damy do towarzystwa i rozrywki.

Wiejski dom Elizabeth, Glasbury Old Hall, jako należący do zwolenników króla, został zrównany z ziemią przez wojska parlamentu podczas wojny w 1643 roku. Przepadły wszystkie meble i skarby, ocalały jedynie rzeczy osobiste, wywiezione w panicznej ucieczce.

Jeśli chodzi o Winteringham Priory, jej mąż cenił sobie tę posiadłość jako zdobycz wojenną. Wyrwał ją z rąk Harleyów w tym samym roku, w którym przepadło Glasbury Old Hall, traktując to jako rekompensatę za utraconą rodową siedzibę. Sir Thomas Harley przemieszczał się wówczas z wojskami parlamentu, natomiast jego żona Philippa była zbyt słaba, by dać skuteczny odpór oblężeniu, mimo iż kilka wojowniczych dam stanęło na wysokości zadania. Potem sir Thomas poległ pod Naseby, w tak młodym wieku, co za strata! Elizabeth zamieszkała więc tutaj i było jej całkiem wygodnie, choć miała pewne wyrzuty sumienia. Mogłaby nawet uznać, że sprawiedliwości stało się zadość, gdyby umiała odciąć się od myśli o losie lady Philippy i jej dziecka.

Wszystko jednak gwałtownie się zmieniło, bo posiadłość skonfiskowały władze za czasów Parlamentu Kadłubowego, po egzekucji starego króla, a John, jej ukochany John już nie żył. Bolesne wspomnienia sprawiały jej wiele cierpień, więc na pewno nie wróciłyby z własnej woli do Priory, nie skusiłyby jej nawet wspaniałe pokoje i wartość całego majątku.

Ponieważ jednak król Karol wydawał się skłonny oddać Priory raczej w ręce jej syna niż Harleyów, w końcu znalazła się tu, wyrwana siłą z Londynu, pozostawiona na pastwę duchów przeszłości i przeciągów. Aż wzdrygnęła się z bólu, tyle siły musiała włożyć w otwarcie drzwi, łączących wielką salę z pomieszczeniami kuchennymi. Cóż, powinnam być zadowolona, że syn cieszy się zaufaniem króla, pomyślała, siadając z ulgą na ławie pod oknem. Mimo to wołałaby, żeby Marcus był teraz z nią, zamiast oddawać się wątpliwym przyjemnościom związanym z pobytem na dworze monarchy.

Naturalnie jej synowi życie dworskie nie sprawiało przykrości, w każdym razie jeśli wierzyć plotkom. Wino, karty, kobiety, wszystkie możliwe uciechy dla ciała. John przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział o poczynaniach Marcusa. Kiedy jednak próbowała czynić synowi wymówki, tylko przesyłał jej najpiękniejsze ze swoich czarujących uśmiechów, a jego oczy przybierały ciepły wyraz, który łagodził surowe rysy twarzy. W ten sposób Marcus zapewniał ją, że nie ma powodów do zmartwień.

Krople deszczu biły o szybę w monotonnym rytmie, przesłaniając widok ogrodu, a tym bardziej nieba na horyzoncie. Oczywiście dobrze wiedziała, co mogłaby zobaczyć, znała bowiem to miejsce od dawien dawna, jako że grunty Priory graniczyły od wschodu z Old Hall. Dawniej, jeszcze przed wojną, obie rodziny utrzymywały dobrosąsiedzkie, wręcz przyjacielskie stosunki, często wspólnie polowały i odwiedzały się nawzajem. Pamiętała lady Philippę Harley, delikatną młodą kobietę, która tak bardzo obawiała się krytyki innych ludzi i niewiele interesowała się burzliwą polityką tamtych dni, choć miło się z nią rozmawiało i wymieniało ploteczkami. Jednak wojna króla z parlamentem sprawiła, że śmierć zebrała krwawe żniwo, a zaprzyjaźnione rody rozdzieliła niechęć. Teraz znowu był i król, i parlament, choć ani John, ani sir Thomas nie przebywali już wśród żywych.

Z zamyślenia wyrwał ją ostry, swarliwy głos Felicity dobiegający gdzieś z piętra, ot, zwykła reprimenda udzielona jakiemuś służącemu. Elizabeth ciężko wstała, aby zniknąć stąd, zanim jej obecność zostanie odkryta. Felicity z pewnością nie była dla niej najbardziej pożądaną towarzyszką, choć z drugiej strony kogoś potrzebowała w tej roli. Zdarzały się dni, kiedy ledwie mogła podnieść ramię, żeby wyszczotkować włosy, bywało też, że miała kłopot ze wstaniem z łóżka. I wciąż targał nią lęk przed nasileniem się bólu, przed rosnącą zależnością od innych. Och, Marcusie! Pozwól mi wrócić do Londynu, gdzie otoczona przyjaznymi duszami łatwiej bym zapomniała o swej słabości, westchnęła w duchu. Wiedziała jednak,

że nigdy nie wypowie tych słów w obecności syna. Owszem, wysłuchałby jej i zrobiłby wiele, by wygodniej urządzić matce życie, ale chciał mieszkać tutaj, w Priory, dlatego Elizabeth nie zdradzała się ze swoim niezadowoleniem. Rozumiała, jak wielką stratę poniósł jej syn, jaki jest przygnębiony, rozumiała też, do czego dąży, a kochała go zbyt mocno, by stanąć mu na drodze.

Aby uniknąć spotkania z Felicity, pokuśtykała do części kuchennej. Przypomniało jej się planowane małżeństwo Marcusa. Rozumiała aż za dobrze logikę, która kryła się za decyzją syna. Katherine Harley była prawowitą dziedziczką majątku, nawet jeśli w obecnej zawierusze politycznej nie zwracano na to uwagi. Taki związek z pewnością wzmocniłby pozycję Marcusa, choć obecnie, gdy bywał na dworze i cieszył się łaskami króla, nie miało to większego znaczenia. Ale małżeństwo... Ile właściwie lat ma teraz Katherine? Pewnie z dwadzieścia, bo urodziła się, niedługo przed śmiercią sir Thomasa. Elizabeth dobrze pamiętała tę okropną scenę, kiedy wyrzucona z Priory Philippa z maleństwem w ramionach wyruszała w podróż do Downham Manor, by tam szukać schronienia u swego brata, sir Henry'ego Jessopa. W jakich warunkach dorastała Katherine? Z pewnością nie zaznała zbyt wiele ciepła, rozrywek też jej skąpiono, bo sir Henry miał opinię ortodoksyjnego purytanina, chociaż mógł być, rzecz jasna, całkiem porządnym człowiekiem. Philippa, jako osoba łagodna i uступliwa, z pewnością nie potrafiła mu się przeciwstawić i pozwoliła, by narzucił swoje metody wychowawcze.

Na razie nic jednak nie było jeszcze ustalone. Wszystko znajdowało się w rękach prawników. Ciekawe, co ta panna pomyśli o tak rozwiązłym kandydacie na męża? Elizabeth mimo woli się uśmiechnęła. Może Katherine Harley stanie się dla niej prawdziwą córką i zajmie miejsce tamtego dziecka, które urodziło się martwe, czego Elizabeth do tej pory nie mogła odżałować. Co jednak będzie, jeśli panna Harley okaże się, wzorem swego wuja, gorliwą purytanką, która za swe posłannictwo uznaje sumienne wykonywanie obowiązków, śpiewanie hymnów do Pana i codzienne studiowanie Biblii, natomiast muzykę, modne stroje czy towarzyskie rozrywki odtrąca ze wstrętem jako grzeszne wymysły? Elizabeth aż zadrżała, spłoszona taką wizją. Cokolwiek powiedziała Marcusowi, prawne ustalenie nie czyniły kobiety dobrą żoną ani dobrą córką.

Przed kuchennymi drzwiami zawahała się i byłaby zawróciła, gdyby wyjątkowo silny ból nie przeszył jej nogi od biodra aż po kolano. Czy naprawdę nie pozostawało jej nic innego, jak wkroczyć do królestwa pani Neale? Gospodyni była całkiem sympatyczną, krzepką kobietą, która mimo swych lat nadal dobrze sobie radziła z trudnymi obowiązkami. Z drugiej strony, od najwcześniejszej młodości pracowała w domu Harleyów i z czasem stała się kimś więcej niż służką, bo domownikiem, podobnie zresztą jak pan Verzons. Oboje przetrwali w Priory wszystkie burze związane ze zmianami własności, tkwili tu niezłomnie. Zawsze nieskazitelnie uprzejmi, zawsze gotowi usłużyć, jednak Elizabeth wyczuwała, że jako ktoś z zewnątrz, a w istocie uzurpatorka, traktowana jest przez tych dwoje za

osobę niepożądaną. Świetnie sobie radzili z zarządzaniem domem i ani nie potrzebowali, ani nie życzyli sobie jej poleceń. Nieraz chwytała szczególne spojrzenie pani Neale, nawet nie niechętnie, bardziej taksujące.

Nie było jednak rady. Nie mogła bez końca stać w przeciagu na korytarzu, pchnęła więc drzwi do kuchni.

- Dzień dobry, milady. Czy mogę w czymś pomóc? - Pani Neale przerwała rozmowę z kucharką, wytarła dłonie w fartuch i zbliżywszy się, dygnęła na powitanie. W kuchni było ciepło, co dla przemarzniętej Elizabeth stanowiło prawdziwe błogosławieństwo, panowała też atmosfera dobrze zorganizowanej pracy. Jakieś aromatyczne danie parowało nad ogniem. Lady Oxenden najchętniej by tu usiadła i pogawędziła z gospodynią, dowiedziała się, o czym mówią ludzie.

- Nie. Pomyślałam... - Dlaczego czuła się tak nieswojo? - Chciałam zajrzeć do spiżarni. - Tam Felicity jej nie znajdzie. - Nie mam jednak klucza. Czy jest u pani, pani Neale?

- Istotnie, milady. - Gospodyni zdjęła z paska kółko z kluczami i wybrała ten właściwy. - Czy potrzebuje pani czegoś konkretnego? Zawsze mogę wysłać po to Elspeth.

- Nie, dziękuję. Nie wątpię, że masz wszystko dokładnie spisane, ale chciałam popatrzeć, co z dawnych zapasów nadaje się jeszcze do użytku.

- Niestety, milady, spiżarnia od lat nie była używana, ponieważ dom stał prawie pusty. Swoje zapasy trzymam w komórce. Natomiast

pani Adams nawet nie wchodziła do spiżarni, bo uważała, że jest za ciasna i nie nadaje się do przechowywania i suszenia ziół, a przetwory jej nie interesowały.

- Rozumiem, właśnie tak mi się zdawało. - Elizabeth westchnęła. Wolała unikać rozmowy o upodobaniach i fobiach pani Gilliver Adams. Niektóre były wyjątkowo denerwujące i lepiej było pominąć je milczeniem.

Wzięła klucz, a ponieważ nie spodziewała się miłego zaproszenia do pozostania we własnej kuchni, cicho zamknęła za sobą drzwi i zrejterowała.

Krótkie przejście prowadziło z korytarza do spiżarni. Zesztywniałymi palcami wsunęła klucz do zamka i z ulgą przekonała się, że można go przekręcić bez kłopotu. Znalazła się w niewielkim pomieszczeniu, od posadzki aż po sufit wypełnionym półkami. Przy jednej ze ścian stał stół roboczy, a do kąta wsunięto stary kredens. Jedyne okienko, małe i podzielone na jeszcze mniejsze pola, wpuszczało do środka odrobinę światła. Ciekawe, kiedy ktoś tu ostatnio był, pomyślała, patrząc na grube warstwy kurzu, pajęczyny i mysie odchody.

Większa część półek była pusta, ale po jednej stronie stało trochę słoików. Tylko niektóre z nich miały spłowiałe nalepki. Elizabeth przypomniała sobie lepsze dni, kiedy przechowywano tu zimowe zapasy, jednak przez ostatnią dekadę nikt tu chyba nawet nie zaglądał. Nad jej głową wisały wiechcie suszonych ziół, które pewnie sama powiesiła przed wielu laty. Były bardzo kruche i

zakurzone, z pewnością nie nadawały się do użytku, ale gdy roztarta na dłoni gałązkę i upuściła suszone drobiny na ziemię, w powietrzu uniósł się aromat szałwi. Wiedziała, że ogródek kuchenny zarósł chwastami, miała jednak nadzieję, że wiosną przywróci go do życia. Lubiła takie zajęcia, czy jednak obecnie im podoła?

Flakoniki napełnione były czymś ciemnym, wyglądającym wręcz groźnie. Mogły to być zwykłe śliwki albo damaszki, przypomniała sobie bowiem, że rosły na drzewie przy samym murze. Po tylu latach nie zaryzykowałyby jednak kosztowania przetworów. Lepiej wynieść to wszystko, a spiżarnię wyczyścić. Przynajmniej Felicity będzie miała coś do roboty oprócz zrządzenia i czytania pobożnych ustępów ze swej nad wyraz monotonnej pod względem zawartości biblioteczki. Wdychając aromat ziół, lady Elizabeth zamknęła oczy, żałując, że nic nie wróci jej zdrowia.

Wreszcie otworzyła kredens. Na jednej półce stał moździerz z tłuczkiem, obok leżał plik pożółkłych kartek, zapewne jakieś stare przepisy. Poza tym w kredensie panował całkowity chaos, wypełniały go bez ładu i składu talerze, sztuce i poduczony szklany pojemnik.

Nagle w oczy rzucił jej się zgrabny ceramiczny dzbanek, niewątpliwie stary, bez zdobień, ale z elegancką szyjką i uchwytem. Ostrożnie go wyjęła i postawiła na stole. Był zamknięty woskowym korkiem i nosił ślady oficjalnej pieczęci, ale wiekowy wosk łatwo się kruszył. Elizabeth nie zdołała jednak odczytać pieczęci. Może pani Neale będzie wiedziała coś więcej.

Nagle w pobliżu rozległ się głos wołającej ją Felicity. Zaskoczona Elizabeth drgnęła, dzbanek wysunął się z jej obrzmiałych palców i roztrzaskał o podłogę.

Jęknęła, bardzo z siebie niezadowolona. Będzie musiała posprzątać to, co rozlała, cokolwiek to było, poza tym zniszczyła bardzo ładne naczynie. Z ulgą i pewnym zaskoczeniem stwierdziła jednak, że mimo korka i pieczęci dzbanek był pusty.

Zbolałe biodro i kolana nie pozwoliły jej jednak pochylić się dostatecznie, by mogła pozbierać skorupy, choć bardzo chciała zlikwidować dowód swojej niezręczności. Trudno, będzie musiała się tym zająć pani Neale. Albo nawet Felicity. W gruncie rzeczy to ona zawiniła, bo przez jej marudne pokrzykiwania doszło do tej katastrofy. W każdym razie naczynie na szczęście nie było wiele warte. Nie wyglądało na część rodowego dziedzictwa. Stare, owszem, ale z pewnością niezbyt cenne.

Zamykając kredens, Elizabeth ze zdziwieniem poczuła zimny dreszcz na plecach. Nagle zapragnęła jak najszybciej opuścić spiżarnię i schronić się w znajomej, ciepłej kuchni, choć uchwytynego powodu tej paniki nie było. Może po prostu zrobiło jej się nieprzyjemnie od zimna i wilgoci. Pewnie miała też poczucie winy.

Ruszyła do kuchni, ale nie była w stanie uwolnić się od dziwnego poczucia niepewności. Z trudem oparła się pokusie, by spojrzeć za siebie.

Rozdział drugi

Ogrody Downham Hall rozświetliło wiosenne słońce, a na równo przystrzyżonych żywopłotach perliły się krople rosy. Po zimowych miesiącach stanowiło to miłą obietnicę, ale chłodny wiatr i groźba kolejnych ulew sprawiały, że cztery ściany domu ważyli się opuszczać na dłużej tylko najsumienniejsi ogrodnicy i najbardziej zahartowani amatorzy piękna natury lub samotności.

Kobieta otulona peleryną z kapturem na głowie odnosiła się całkiem obojętnie do idealnej symetrii rabat i wspaniale skomponowanego ogrodowego pejzażu. Interesował ją wyłącznie klęczący u jej stóp mężczyzna.

- Kate, czy zechcesz mnie poślubić? Przecież wiesz, że cię kocham. Nie może to być dla ciebie niespodzianką po tylu miesiącach, a nawet latach.

Była zaskoczona, jak wiele emocji pobrzmiwało w tym wyznaniu, bowiem kuzyn znany był z tego, że w każdych okolicznościach zachowywał niewzruszony spokój.

- Ja... Och, wstań, Richardzie! Bardzo proszę, wstań! Jeśli wuj nas tak zauważy, to tylko pogorszy sytuację, która i tak nie jest już dobra. Poza tym klęczysz w kałuży.

Podniósł się z ziemi, ani na chwilę nie puścił jednak dłoni Kate.

- Bądź poważna, Kate. Dobrze wiesz, że małżeństwo może rozwiązać wszystkie nasze problemy, cokolwiek sądzi o tym sir Henry. Zresztą wiem, że mnie kochasz. Niemożliwe, żebym się mylił.

Gwałtownie puściwszy jej dłonie, Richard zsunął kaptur z głowy Kate, aby musiała na niego spojrzeć. Jednak mimo śladów łez na policzkach, w jej wzroku dostrzegł wielką determinację.

- Znasz moje uczucia, Richardzie. Zawsze byłeś miły mojemu sercu. Jeszcze jako dziecko podziwiałam w tobie starszego, wspaniałego kuzyna. A w ostatnich latach... chyba nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo na tobie polegamy.

Odwzajemnił uśmiech, potem mocno chwycił ją za ramiona. Kate wyraźnie czuła dotyk jego palców przez wytarty aksamit sukni.

- Skoro tak, to skąd u ciebie tyle niepokoju? - Delikatnie nią potrząsnął. - Dlaczego nie przyjmiesz moich oświadczeń? Nie pozwolisz mi zwrócić się do twojego wuja?

Kate westchnęła i odwróciła się, zmuszając go do cofnięcia rąk.

- Wiesz, że to niemożliwe - tłumaczyła cierpliwie. - Chodź, pospacerujemy. Mam wrażenie, że ściany mają uszy, a w domu jest aż nadto ludzi, którzy nie życzą nam dobrze i usłużnie pośpieszą do wuja z donosem.

Podał jej ramię, skłoniwszy się elegancko. Przemierzyli brukowany taras i po kilku stopniach zeszli pomiędzy rabaty, wciąż jeszcze zimowe z wyglądu. Kate ciasniej otuliła się peleryną i usiadła na kamiennym obmurowaniu fontanny.

- Czy jesteśmy już wystarczająco daleko od domu? Tu świadkami są tylko skąpo odziane nimfy. - Richard skinął dłonią ku marmurowym syrenom i konikom morskim, które wypluwały wodę do sadzawki.

Jednak Kate nie dostroiła się do jego żartobliwego tonu.

- Nie jesteśmy! Nigdy nie będę dość daleko od tego domu!

Wiem, że powinnam być wdzięczna ze wszelch miar, ale wdzięczność też ma swoje granice, a ja muszę nią żyć nieustannie od dwudziestu lat.

- Wobec tego poślub mnie. Dzięki temu zamieszkasz dostatecznie daleko od domu, by cieszyć się wolnością i niezależnością, czego tak pragniesz.

- Nie rozumiesz, Richardzie? Rzecz właśnie w niezależności. Wujowi zawdzięczam wszystko, podobnie jak moja matka. Od czasu, gdy Winteringham Priory po oblężeniu zostało zajęte przez rojalistów, jesteśmy całkowicie na łasce sir Henry'ego. - Przesunęła dłoń po łącie na pelerynie. - Rodzinnego domu nawet nie pamiętam. Miałam trzy miesiące, kiedy go opuściliśmy. Śmierć ojca pod Naseby jeszcze bardziej skomplikowała i tak beznadziejną sytuację. Od dwudziestu lat sir Henry zapewnia mojej matce i mnie wikt i opierunek, nie można więc lekceważyć jego planów co do mojej przyszłości. Pozostaje również kwestia pieniędzy! - Oczy Kate zabłyśły gniewem. - I zapisu ziemi!

- Dzięki naszemu małżeństwu będzie można rozwiązać problem spadku. - Richard usiadł obok niej na murku i znów ujął w dłoń jej zmarznięte palce. - Jesteś pierwszą dziedziczką majątku. Wiemy wprawdzie, że roszczenia kobiet są trudniejsze w realizacji, ale w dalszej kolejności również ja mam tytuł do tego spadku, i to jako pierwszy mężczyzna. Dzięki naszemu małżeństwu Winteringham

Priory mogłoby wrócić do rodziny, której prawowicie się należy. Nie wierzę, by sir Henry sprzeciwił się naszemu związkowi. To byłaby dla niego wyśmienita okazja, żeby raz na zawsze pozbyć się ciężaru. Wywód, mimo że przekonujący, wcale nie uspokoił Kate.

- Och, znam na pamięć te wszystkie argumenty, odkąd król powrócił trzy lata temu, słyszałam je wiele razy. Wcale jednak nie jestem pewna, czy o ostatecznym wyniku zadecyduje prawo i sprawiedliwość. Przynajmniej mój wuj tak nie uważa. Och, Richardzie! Dlaczego to wszystko musi być takie trudne?

- Przez politykę, naturalnie. I, jak sama powiedziałaś, przez pieniądze. - Raptownie wstał i podszedł do balustrady. Boleśnie przeżywał to, że nie potrafi rozwiązać problemów zrujnowanej i zhańbionej rodziny zwolenników parlamentu, nastał bowiem czas bogacenia się rojalistów.

Kate bardzo mu współczuła. Jej ojciec również opowiedział się za parlamentem, ale jego śmierć w bitwie pod Naseby w 1645 roku definitywnie usunęła rodzinę Harleyów ze sceny politycznej. Jej brat Edward zmarł we wczesnym dzieciństwie, jeszcze zanim się urodziła, natomiast wuj Henry Jessop bardzo pilnował, by w czasie interregnum nie angażować się zbyt głośno w żadną działalność.

- Rozsądny człowiek siedzi w domu ze spuszczoną głową - mawiał często.

Czas przyznał mu rację. Richard, naturalnie, miał zgoła odmienny punkt widzenia. Hothamowie zawsze wyrażicie akcentowali swoje poglądy czy to polityczne, czy religijne. Simon,

ojciec Richarda, zyskał sobie reputację bezkompromisowego purytanina, a jako żołnierz doszedł do wysokiej szarży w zorganizowanej na nową modłę armii Cromwella. Sir Henry podejrzewał go nawet, że poparł decyzję o egzekucji króla Karola w 1649 roku. W każdym razie nowemu monarsze nazwisko Hotham kojarzyło się nieodmiennie z zaprzysięgłymi wrogami.

Ponieważ zaś rojaliści odzyskali władzę, ci, którzy w swoim czasie stanęli po stronie Olivera Cromwella, mieli małe szanse na odzyskanie majątków czy zrobienie kariery politycznej. Najwyżej mogli liczyć na przebaczenie za zło, które uczynili w imieniu parlamentu.

Richard znów podszedł do Kate. Słońce nadawało połysk jego jasnym falującym włosom, a także uwydatniło przetarcia i ślady zużycia na czarnym płaszczu. Nie wkładał już charakterystycznego białego kołnierzyka, jak w młodzięczych latach, ale nikt by nie wątpił, że ma do czynienia ze zbiedniałym synem purytańskiego ziemianina. Jako taki zaś Richard nie miał szans na względy czy choćby uwagę sir Henry'ego, planującego przyszłość siostrzenicy.

- A co z twoją matką? - spytał. - Czyżby nie potrafiła wywrzeć najmniejszego wpływu na brata w sprawie twojego małżeństwa?

Kate roześmiała się niewesoło.

- Jak w ogóle możesz o to pytać? Bardzo kocham matkę, ale nie oczekuję od niej pomocy. Jest całkowicie zdominowana przez wuja, więc bez słowa sprzeciwu zgodzi się na wszystkie jego plany. Niczego nie boi się bardziej niż kłótni i różnicy zdań.

- Najwyraźniej się w nią nie wrodziłaś - zauważył Richard z ironią.

- Nie. - Kate wcisnęła pod kaptur targane przez wiatr włosy. - Chociaż wszyscy by woleli, żeby tak było. Wuj często powtarza, że jestem w każdym calu spadkobierczynią Harleyów. Zdecydowana, uparta i głucha na dobre rady. Naturalnie w jego ustach nie jest to komplement.

- Milady! - Richard wykonał przed nią pełen przesadnej galanterii zawijas kapeluszem. - Nie kochałbym cię nawet w połowie tak mocno, gdybyś była potulną myszką. A czy wiesz o tym, że masz wyjątkowo czarujący uśmiech?

- Dziękuję, sir. - Wstała i elegancko dygnęła, po czym wyciągnęła przed siebie dłoń, aby mógł ją ucałować, co zresztą skwapliwie uczynił.

- Promieniejesz w moim życiu jak słońce, droga Kate.

- Jesteś flirciarzem, sir - odparła z uroczym chichotem. - Co powiedziałby na to twój surowy ojciec?

- Powiedziałby, że wolą Boga jest, abyś została moją żoną i wraz ze mną odbudowała majątek Harleyów.

- Obawiam się, że w ostatecznym rozrachunku bardziej będzie to zależeć od sir Henry'ego niż od Boga.

- Ależ Katherine, to jest bluźnierstwo! - Błysk w oczach Richarda nie do końca odebrał tym słowom krytyczny wydźwięk. - Zresztą mój ojciec gorąco popiera nasz związek. Z radością przyjmie cię jako swoją synową, podobnie jak moja matka. Pozwól mi się

zwrócić do sir Henry'ego. Nie możemy planować przyszłości, jeśli nie damy mu okazji, aby przyjął lub odrzucił moją kandydaturę.

- Jesteś bardzo zdeterminowany, sir. I przekonujący. - Znowu wsparła się na jego ramieniu i ruszyli dalej, pozostawiając nimfy ich igraszkom.

- Co w tym dziwnego? Z naszego punktu widzenia mój pomysł ma same zalety. Czy zgodzisz się ze mną?

- Projekt naszego małżeństwa jest mi bardzo miły, drogi Richardzie - zapewniła go Kate. - Rzecz w tym, że... - Zawahała się, ale decyzję już podjęła. - Jeśli mój wuj się nie zgodzi, może zabronić ci wizyt w naszym domu. A cóż ja z sobą pocznę, wiedząc, że nigdy już cię nie zobaczę? Nie ufam tolerancji i współczuciu sir Henry'ego.

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległ się chrzęst kroków na zwirowej ścieżce. Zbliżał się Swynford, rządcą sir Henry'ego. Z kamienną twarzą skłonił się przed Richardem, a następnie przed Kate, do której powiedział:

- Proszę mi wybaczyć, panno Harley. Sir Henry przysłał mnie z wiadomością. Pan i lady Philippa są w bibliotece i życzą sobie panią zobaczyć. - Po krótkim wahaniu dodał: - Sir Henry chce panią widzieć niezwłocznie.

- Dziękuję, Swynford. - Kate знаła rządcę dostatecznie dobrze, by wychwycić ostrzeżenie zawarte w jego tonie. - Powiedz, proszę... czy sir Henry jest świadom tego, że pan Hotham złożył mi... złożył nam wizytę?

- Nie, proszę pani. Sądzę, że nie jest świadom tej okoliczności, chociaż gości u niego w tej chwili pan Simon Hotham. Nie sądę - dodał tym samym tonem - aby jego lordowska mość koniecznie musiał o tym wiedzieć.

- Dziękuję, Swynford. - Gdy rządcą zawrócił ku domowi, Kate spojrzała na Richarda. - Myślę, że to nie jest dobra chwila na twoją rozmowę z sir Henrym. Nie wiem, do czego jestem mu tak niezwłocznie potrzebna, ale mam przeczucie, że niczego przyjemnego nie powinnam się spodziewać. Rozmowa o małżeństwie mogłaby podziałać jak wsadzenie kija w mrowisko.

-Chcesz więc, abym cię zostawił samą na łasce sir Henry'ego?

- Tak byłoby lepiej.

- Pamiętaj, że cokolwiek się stanie, kocham cię nad życie.

Obiecuję zawsze stać przy tobie i chronić cię.

W ogrodzie zapadła pełna napięcia cisza. Richard musiał wyczytać zachętę w oczach Kate, bo przyciągnął ją do siebie i pocałował, najpierw w czoło, a gdy nie spotkał się z protestem, także w usta. Był to czuły, delikatny pocałunek, stanowiący jedynie zapowiedź przyszłej namiętności. W każdym razie zanim Kate zdecydowała, jak zareagować, Richard wypuścił ją z objęć i się odsunął. Sprawy między nimi pozostały nierozwiązane.

- Życzę miłego dnia, panno Harley. - Odzyskał już panowanie nad sobą. - Może zresztą powinienem powiedzieć „żegnam”.

Skłonił się jeszcze raz, przyciskając dłoń do serca.

- Żegnam, panie Hotham - odszepnęła Kate.

W ostatnim geście pożegnania Richard uniósł jej dłoń do warg.

- Daję ci słowo, Kate, że któregoś dnia zostaniesz moją żoną.

Będziesz należeć do mnie. Nic ani nikt mi w tym nie przeszkodzi.

Sprężystym krokiem odszedł ku stajniom. Kate stała jeszcze przez chwilę, spoglądając za nim, a potem ruszyła naprzeciw temu, co nieuniknione. W drodze do domu zauważyła, że słońce zasnuły ciemne chmury. Zaraz potem spadły pierwsze krople deszczu.

-Nie!

To jedno słowo wybrzmiewało w zapadłej nagle ciszy. Kate powoli zaczerpnęła tchu, spoglądając wyzywająco na sir Henry'ego Jessopa, i czekała, aż rozpęta się burza. Nie trwało to długo. Nawet obecność Simona Hothama, który z posepną miną siedział w fotelu przy kominku, nie zdołała powstrzymać jej wuja przed głośnym wyrażeniem dezaprobaty.

- Nie?! - Sir Henry wstał zza biurka. - Może źle cię zrozumiałem?

Kate skłoniła głowę, ale nie w geście poddania. Dalej stała sztywno wyprostowana pośrodku pokoju.

- Nie - powtórzyła z godnym podziwu spokojem. - To nie jest nieporozumienie. Nigdy nie poślubię wicehrabiego Marlbrooke'a.

Sir Henry gwałtownie zerwał się z krzesła i natarł na siostrę, która skuliła się w popłochu.

- A cóż to ma znaczyć? Czy nie poleciłem ci pouczyć córki, jakie mam wobec niej oczekiwania?

- Naturalnie, Henry, ale... to znaczy ja nie...

- Rozumiem aż za dobrze, pani! Miałem nadzieję, że mogę na tobie polegać w sprawach dotyczących dobrobytu tej rodziny. Wygląda na to, że i tym razem się omyliłem. Czy naprawdę wymagam zbyt wiele?

- Doprawdy, bracie...

- Moja matka nie miała okazji powiadomić mnie, panie, o twoich życzeniach - ratowała Philippę Kate. - Rano byłam zajęta, naradzałam się z gospodynią. - Zerknęła na matkę, by potwierdziła wymyśloną właśnie wersję, ale nie doczekała się żadnego gestu. - Jednak bez względu na to, czy znałam wcześniej twoje plany, panie, czy też nie, nie zamierzam im się podporządkować.

- To ci dopiero! Najwyższy czas, abyś dostała męża, który nauczy cię posłuszeństwa i dobrych manier, ponieważ moja siostra całkiem w tym zawiodła. Przyjmiesz oświadczyzny Marlbrooke'a, a jeśli nie, to każę cię zamknąć w pokoju i chłostać, póki nie wyrazisz zgody.

Oczy Kate zabłysły gniewem.

-Jak śmiesz, panie?! Przez całe życie byłam posłuszna wszystkim twoim życzeniom. To jest jednak całkiem inna kwestia. Mój ojciec walczył za parlament przeciwko królowi i lojalnie wypełnił swój obowiązek.

- Dobrze wiem, jak nierozsądnie postąpił twój ojciec, nie tylko opowiadając się po stronie parlamentu, co wielu z nas, w tym ja, też uczyniło, ale i robiąc z tego wielkie larum, przez co do dziś nazwisko

Harleyów należy do najbardziej znienawidzonych na dworze króla Karola.

Kate nie pozwoliła jednak zbić się z tropu tą prowokującą uwagą.

- Ojciec pod Naseby oddał życie za swoje przekonania. Jak mogłabym zbezcześcić jego pamięć, biorąc za męża jakiegoś fanfaroną rojalistę? Dworaka, którego interesują jedynie przyjemności?

- Nic o nim nie wiesz, moja panno! Bo niby skąd miałybyś wiedzieć? Co zaś do reszty, to przeszłość jest przeszłością i należy szybko o niej zapomnieć. Nic nam nie przyjdzie z podtrzymywania dawnych więzów lojalności.

Zrozpaczona Kate zwróciła się do matki.

- Ojciec nie chciałby tego, czyż nie? - Z szelestem spódnic uklękła przy jej krześle. - Czy nie masz nic do powiedzenia, aby mnie wesprzeć?

Lady Philippa tylko odwróciła oczy, udając, że całkowicie pochłania ją koronka przy chusteczce do nosa.

- Twój ojciec nie żyje - ciągnął sir Henry. - Na mnie, jako twoim wuju, spoczywa więc obowiązek wydania cię za mąż. Wojna i twój ojciec są sprawcami naszej ruiny. Musimy odbudować majątek, a właśnie nadarza się ku temu okazja.

Kate poderwała się i stanęła twarzą w twarz z wujem.

- O złym stanie rodzinnego majątku słyszę od dziecka. Główną przyczyną naszej ruiny był, o ile wiem, wicehrabia Marlbrooke. Teraz

zaś chcesz, abym weszła do rodziny Oxen-denów jako żona jego syna. To jest wyjątkowo pokretna logika, zakrawająca wręcz na hipokryzję.

- Dobrze pamiętasz. Marlbrooke zajął Winteringham Priory w 1643 roku, a...

- Wiem! Matko, jak możesz sprzyjać temu małżeństwu? Pamiętasz przecież, co wówczas ciebie spotkało, nie możesz teraz milczeć! Wicehrabia Marlbrooke wygnał cię z domu, w żałobie po śmierci synka, z kilkumiesięczną córką na rękach, pozbawioną mężowskiej opieki... Jak możesz to tolerować?

Lady Philippa przytknęła chusteczkę do policzków, po których obficie popłynęły łzy.

- Masz rację, kochanie. To wszystko prawda. Ale... - Głośno wytarła nos. - Twój wuj wierzy, że takie małżeństwo będzie korzystne, bo przywróci Priory naszej rodzinie. Nie do końca to rozumiem, ale proszę, posłuchaj go, kochanie. Wuj myśli i o tobie, i o odtworzeniu rodzinnego majątku. - Rozszlochała się na dobre ku widocznemu obrzydzeniu brata, który wzniósł oczy ku niebu.

- Jakie korzyści może więc dać moje małżeństwo z wicehrabią Marlbrookiem? - spytała stanowczo Kate, straciwszy wszelką nadzieję na wsparcie ze strony matki.

- Jak mniemam, pańska siostrzenica ma rację, sir Henry. - Simon Hotham do tej pory trwał w milczeniu, opierając dłonie z nienaturalnie powykręcanyimi przez chorobę palcami na poręczy fotela. Kiedyś był znaną postacią w armii Cromwella, jednak kula pod

Worcesterem zrujnowała mu zdrowie, a republikanizm i purytanizm, dwie wielkie idee jego życia, poniosły sromotną klęskę. Teraz ten wysoki i muskularny mężczyzna z trudem przechodził kilka kroków bez laski, a na twarzy miał wypisane cierpienie. Po upadku sprawy, w którą niezłomnie wierzył, jego główną ambicją stało się odbudowanie pozycji rodziny Hothamów. Wierzył, że dokona tego przy pomocy Richarda. Pierworodny syn pozostał jedynym światłem w jego życiu. Jasne włosy Simona były przerzedzone, zaciśnięte usta tworzyły cienką linię, policzki miał zapadnięte, jednak Kate dostrzegła w nim Richarda. Uśmiechem skwitowała nagłe wsparcie. Nie spodziewała się pomocy z tej strony. - Nie uwierzę, że może pan poważnie brać pod uwagę małżeństwo panny Katherine z Oxendenem -ciągnął - W ten sposób zdradziłby pan Harleyów i zanegował wszystko, co wycierpiała pańska siostra po wygnaniu z domu.

- Proszę mi wybaczyć, Simonie... - Sir Henry usiłował zapanować nad złością. - Śmiem nadmienić, że to jednak nie jest pańska sprawa. Zresztą z całą pewnością świetnie pan rozumie, że takie małżeństwo zagwarantuje nam odzyskanie Priory, nam i naszym przyszłym spadkobiercom.

- Możliwe. - Hotham skrzywił się kpiąco. - Czy jednak nie lepiej walczyć o to dziedzictwo w sądzie? Czy naprawdę chce pan być dłużnikiem rodziny Oxendenów, tej samej, która sprofanowała Priory?

- Nie sądzę, żebym miał inną możliwość.

- Możliwość istnieje, a pan doskonale o tym wie. Niech Katherine poślubi Richarda. Ten związek na pewno będzie miły Bogu. Richard jest drugi w kolejności dziedziczenia, po Katherine, małżeństwo sprawi więc, że z roszczeniami będzie mógł wystąpić mężczyzna. W sądzie taki argument ma znaczenie. Przy okazji rodzina zjednoczy się i umocni. Naprawdę nie widzę lepszej możliwości.

- Nigdy nie poprę tego małżeństwa. - Sir Henry pokręcił głową, uważając, by nie skrzyżować spojrzeń z Simonem. - Nie mam nic przeciwko pańskiemu synowi. Richard jest prawdziwym dżentelmenem, ale taki sojusz nie przyniósłby żadnych korzyści rodzinie. Nie dam się przekonać, że jest inaczej.

- Mimo wszystko uważam, że Kate ocenia kwestię właściwie - obstawał przy swoim Simon - nawet jeśli odrzucam sposób, w jaki przedstawia swoje racje, bo taka obcesowość młodej kobiecie nie przystoi. Mam zresztą nadzieję, że jako żona mojego syna, Kate nauczy się zachowywać godniej i odnosić z większym szacunkiem do tych, którzy wiedzą, co dla niej najlepsze. - Udał, że nie widzi gniewnego błysku w jej oczach. - Zgadza się z nią jednak, że w tej sytuacji związek z rodziną rojalistów byłby haniebnym. Proszę to jeszcze rozważyć, sir Henry, zanim będzie za późno.

- Niczego nie będę rozważał.

- Wobec tego nie mam już nic więcej do powiedzenia -oznajmił Simon. - Nie pojmuję pańskiego rozumowania, ale nie zamierzam też prowokować kłótni, więc zaraz się pożegnaj. Sir Henry, czy mógłby

pan polecić, aby podstawiono mój powóz? - Niezgrabnie się skłonił, po czym, wspierając się na kulach, pokuśtykał na korytarz.

Sir Henry milczał przez chwilę, a następnie wrócił do spraw rodzinnych:

- Decydują tu kwestie dziedziczenia i polityki. - Przeszył wzrokiem Kate. - Przyszłość Winteringham Priory wciąż jest wątpliwa. Gdyby twój ojciec wyżej stawiał obowiązki rodzinne i był w domu, aby odeprzeć atak w 1643 roku, nie doszłoby do obecnej sytuacji.

- Przecież nie oddaliśmy naszej własności dobrowolnie, dlaczego więc nie mielibyśmy teraz otrzymać jej z powrotem? Kto może mieć do naszych gruntów lepszy tytuł niż ja?

- Jestem pełen zrozumienia dla twojej dumy rodowej, Kate, ale musimy myśleć realistycznie.

- Fakty są takie, że dom wydarto naszej rodzinie przemocą. Gdy go opuszczaliśmy, rojaliści deptali nam po piętach.

- To prawda, moja droga. I właśnie dlatego, w nowej sytuacji politycznej, Winteringham Priory stało się majątkiem rojalistycznym, zarządzanym przez wicehrabiego Marlbrooke'a, popiecznika króla. Jak sądzisz, co się działo z czynszami w tych latach, kiedy poprzedni król jeszcze trzymał władzę?

I dlaczego nie ma śladu po rodzinnych srebrach? Sprzedano je albo przetopiono! - Podał Kate jakiś dokument. - Oto najnowsze doniesienia z Londynu, związane z dochodzeniem przez Marlbrooke'a

jego praw. Czytaj, jeśli potrafisz cokolwiek zrozumieć z prawniczego języka.

Podeszła do okna i zaczęła studiować tekst.

- A więc to tak - powiedziała wreszcie. - Wygląda na to, że mój spadek sąd przekaże temu, kto ma najbardziej pękata sakiewkę i najgłośniej krzyczy.

- Właśnie. I obawiam się, że nie będzie to rodzina Harleyów. - Sir Henry odebrał od niej dokument. - Roszczenia wysuwane przez kobiety nigdy nie mają wielkiej mocy, poza tym twój ojciec nie pozostawił testamentu. Gdyby czarno na białym przekazał ci ziemię, sprawa wyglądałaby inaczej, jednak w tej sytuacji nie ma dla nas wielkiej nadziei.

- A Richard? - Lady Philippa wyłapała z rozmowy przynajmniej tyle, by dostrzec szansę dla swego ulubionego kuzyna. - Czyż nie jest męskim dziedzicem Priory?

- Zapomnij o tym! To głupi pomysł, który może sprowadzić ostateczną klęskę na rodzinę. Poza tym on też dziedziczy po kądzieli, przez matkę. - Sir Henry ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową. - Marlbrooke jest bogaty i ma posłuch u króla. Zgłosił roszczenia do majątku, więc sąd najpewniej postąpi po jego myśli. Zrozumcie wreszcie, że sprawa wygląda beznadziejnie.

- Czy nowy król rzeczywiście mógłby postąpić tak niesprawiedliwie? - ze zdumieniem spytała Kate.

- Sprawiedliwość niejedno ma imię - z goryczą rzekł sir Henry - i tylko ktoś, kto żywi się złudzeniami, może myśleć

inaczej. Bo czyż niesprawiedliwe jest nagradzanie popleczników kosztem tych, którzy podnieśli na ciebie rękę? Nie sędzę. To właśnie nazywam realistycznym myśleniem. - Podszedł do Kate i wyciągnął do niej dłoń. - Przepraszam cię, moja droga. Twardo walczyłem o twoje prawa. Nie tylko ze względu na rodzinę, lecz również dlatego, że jesteś mi córką, której nigdy nie miałem. Byłbym bardzo szczęśliwy, widząc cię w Priory jako panią na włościach. Z konieczności jednak musimy zrewidować te plany.

- Rozumiem, dlaczego chcesz mnie wydać za wicehrabiego Marlbrooke'a - powiedziała z rezygnacją.

- To naturalne. Jesteś inteligentną osobą. Zaczniemy więc pracować nad tym, co przyniesie nam korzyść. Jaki może być lepszy sposób na odtworzenie naszego majątku i naprawienia stosunków z dworem, niż poprzez to małżeństwo?

- A czy mogę spytać, jakie są w tej kwestii odczucia wicehrabiego?

- Nie wiem, ale i tak nie mają żadnego znaczenia. Ważne jest, że wicehrabia zamierza ci się oświadczyć. Zaoferował bardzo korzystne warunki i nie pozwolę, żebyś odrzuciła taką szansę. To jest małżeństwo polityczne, więc nie szukaj w nim miłości. Ufam, że z czasem polubisz Marlbrooke'a, a jeśli nie... cóż, wasz związek i tak spełni swój cel, a ty będziesz mogła poświęcić się wychowywaniu dzieci.

Kate zaczerpnęła tchu i gwałtownie machnęła ręką, nie bacząc na konwenanse. Dyplomacja nie miała sensu, musiała bez ogródek powiedzieć, co leży jej na sercu.

- Powinnam ci to powiedzieć, wuju... - Ze złością stwierdziła, że jej głos nie brzmi dostatecznie pewnie. - Otóż chcę poślubić Richarda. Kocham go. Wiem też, że i on pragnie tego małżeństwa.

Wszelkie współczucie, jakie mógł być odczuwać dla niej sir Henry, ulotniło się w jednej chwili. Wrócił za biurko i znowu przybrał pozę pana i władcy.

- Zapomnij o swoim kuzynie. I o tych banialukach Simona Hothama.

- Ale ja go kocham - powiedziała cicho, z najwyższym trudem powstrzymując łzy.

- Małżeństwo ze zdrajcą i zwolennikiem parlamentu to coś o wiele więcej niż nierozsądny uczynek.

- Hothamowie nie dopuścili się większej zdrady niż my - błagalnie argumentowała Kate - ale i tak wszystkim nam przebaczone. Jak więc możesz potępiać Richarda? Proszę, przynajmniej go wysłuchaj.

- Nasza sytuacja, choć niedobra, nie jest aż tak zła jak Hothamów. Simon był zbyt blisko z tymi, którzy wydali wyrok śmierci na króla Karola. W jego obecności nie podniósłbym tej kwestii, ale taka jest prawda. Gdyby anglikanie wrócili do swojego pomysłu, by ukarać tych królobójców, którzy jeszcze pozostali przy życiu, Simon znalazłby się na samym początku ich listy. I co byłoby

wtedy z nami, gdybyś poślubiła Richarda? Nie chcę aż tak ryzykować.

Kate w duchu musiała przyznać słuszność wujowi, który to wyczuł, bo ponownie przeszedł na polubowny ton. Zależało mu na zgodzie Kate, bo przecież również dla niego małżeństwo z wicehrabią było trudne do przyjęcia.

- Proszę, moja droga, zapomnij o Richardzie i zastanów się nad zaletami małżeństwa z Marlbrookiem. Zyskasz bogactwo, pozycję, łaski nowego króla i znaczenie na dworze. No i najważniejsze, wrócisz do Priory, do swego rodzinnego domu, który powinien należeć do ciebie, tak po prostu będzie sprawiedliwie. - Spojrzał na nią łagodnie. - Jest jeszcze coś, Kate. Masz już dwadzieścia lat i sama wiesz, że to najwyższy czas na małżeństwo. Z determinacją pokręciła głową.

- Nie poślubię wicehrabiego Marlbrooke'a. Sir Henry spojrzał na nią ostro.

- Wobec tego nie mam innego wyjścia... - W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Swynford. - Co tam? Przecież wyraźnie poleciłem, aby nam nie przeszkadzać.

Rządca z szacunkiem skłonił głowę, przyzwyczajony do opryskliwego tonu pana.

- To prawda, milordzie, mamy jednak gościa. Uznałem, że powinienem niezwłocznie o tym powiadomić milorda.

- Tak? A któż to taki?

- Wicehrabia Marlbrooke, milordzie. - Swynford szerzej otworzył drzwi, by przepuścić nieoczekiwanego przybysza, na którym zatrzymały się trzy pary badawczych oczu.

Marcus Oxenden, wicehrabia Marlbrooke, pojawił się w pełnym majestacie dworskiego stroju. Wprawdzie nie miał peruki, więc kruczoczarne włosy swobodnie opadały mu na ramiona, poza tym jednak hołdował najnowszej modzie. Ubrany był w czarną aksamitną pelerynę do kolan i takiż wams, czyli krótki kaftan, a wszystko obficie zdobione było srebrnymi haftami i barwnymi taśmami. Kate skrzywiła się z niesmakiem, widząc w tym oczywiste wpływy francuskie. Białą koszulę, widoczną spod bufiastego zakończenia rękawów, uszyto z najprzedniejszego jedwabiu, podobnie jak pończochy. Czarne trzewiki z rozetkami i karmazynowymi obcasami przydawały wicehrabiemu wzrostu i powagi. Światło rozszczepiało się w klejnocie wpiętym w halsztuk. Cenne koronki piętrzyły się wokół mankietów i przysłaniały dłonie. Kate uznała, że takie entrée zostało dobrze przemyślane i miało wywołać określony efekt.

Marlbrooke był młodszy, niż się spodziewała, miał około trzydziestu lat, ale zmarszczki w kącikach pozbawionych uśmiechu ust zapewne świadczyły o głębokim znużeniu światem. Jego twarz zwracała uwagę nie tylko szarawymi oczami, lecz również surowością rysów. Serce Kate zabiło mocniej, w skrytości ducha i niejako wbrew sobie musiała bowiem przyznać, że o takim oblubieńcu marzyłaby każda panna. Wicehrabia był wyższy od Richarda, barczysty, jak przystało na żołnierza władającego na co

dzień białą bronią, a ponadto także elegancki i opanowany, co było niezbędne na dworze.

Wydawał się nieświadom oględzin, jakim został poddany przez damę, którą wybrał na żonę. Zamaszystym gestem zdjął kapelusz z piórami i skłonił się szarmancko, nawet z pewną przesadą. Nie ulegało wątpliwości, że jest przystojny, więc Kate, jakżeby inaczej, odczuła irytację, że człowiek, który ośmielił się poprosić o jej rękę, jest tak atrakcyjny.

- Malowany fireyk! - mruknęła całkiem głośno.

Wicehrabia nie dał po sobie znać, że to usłyszał, jednak Kate, ku swej satysfakcji, wiedziała, że tak się stało. Niestety jej niechęć nie miała tu żadnego znaczenia, bo nie ona podejmowała ostateczne decyzje dotyczące jej losów. To rozsierdziło ją jeszcze bardziej, szczególnie że nagle zdała sobie sprawę ze swego niezbyt schludnego wyglądu po pobycie w ogrodzie. Niedobrze się stało, że przy pierwszym spotkaniu Marlbrooke, po którym ani trochę nie było widać męczącej podróży, zyskał nad nią przewagę.

- Milordzie! - Kate rozbawiło, że wuj zmieszał się nieoczekiwanym pojawieniem się osoby, o której właśnie deliberowali. - Proszę nam wybaczyć brak powitania, ale nie spodziewaliśmy się tej wizyty. W każdym razie z pewnością nie dzisiaj.

Kate znów coś mruknęła ze złością. To była już nie tyle oznaka zmieszania, co przejaw nadmiernej służalczości.

Wuj odwzajemnił ukłon Marlbrooke'a i wyciągnął do niego rękę.

- Rozumiem, że nie byłem oczekiwany - odrzekł Marlbrooke znużonym tonem, jakby nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia. - Nie chcę jednak zabierać wiele czasu ani nadużywać gościnności.

No, teraz przynajmniej wiem, na czym stoję, pomyślała Kate. Przyjechał w interesach, też mi coś! Pochwyciła spojrzenie matki i zdziwiła się, że może z niego wyczytać tyle zrozumienia. To jednak w niczym jej nie pomogło.

- Proszę mi pozwolić - mówił tymczasem wuj - że przedstawię milordowi moją siostrę, lady Philippę Harley... wicehrabia Marlbrooke.

Lady Philippa uśmiechnęła się niepewnie, gdy wicehrabia z galanterią pocałował ją w rękę.

- Jest mi bardzo miło, że możemy się poznać, lady Philippo. O ile wiem, znała pani moją matkę, lady Elizabeth.

- O tak... Lecz to było tak dawno, prawie zapomniałam...

- Natomiast moja matka wspomina przyjaźń z panią bardzo ciepło.

-Naturalnie. - Zerknęła ukradkiem na brata, szukając u niego wsparcia, lecz się nie doczekała. Zapadło kłopotliwe milczenie.

- A oto... - sir Henry wreszcie spojrzał na Kate - moja siostrzenica, panna Katherine Harley, jedyna dziedziczka majątku po sir Thomasie Harleyu, zmarłym właścicielu Winteringham Priory.

Pierwszy raz zdarzyło się Kate, że ktoś przyglądał jej się tak beznamytnie. Aż przebiegły ją ciarki.

- Naturalnie. - Marlbrooke skłonił się znowu, a Kate odpowiedziała ledwie zauważalnym ruchem, który mógł od biedy ujść za dygnięcie. - Panno Harley, wiele słyszałem o pani urodzie. Proszę pozwolić, że potwierdzę te opinie w każdym szczególe. - Jego twarz pozostała nieporuszona.

A kto niby miał opowiadać ci o mojej urodzie? - pomyślała. Marlbrooke rutynowo posługiwał się pochlebstwami, bo choć powiedział piękne słówka, to zupełnie nie zwracał uwagi na obiekt swej admiracji.

- Dziękuję, milordzie. - Zmarszczyła brwi, aby wyrazić swą dezaprobatę, ignorując ostrzegawcze spojrzenie sir Henry'ego.

Jednak Marlbrooke nie przejął się chłodną odpowiedzią. Zaproszony przez sir Henry'ego, usiadł przy kominku na fotelu i założył nogę na nogę.

- Naturalnie spodziewaliśmy się wizyty waszej lordowskiej mości - rzekł sir Henry - ale nie tak szybko. Obecna pogoda nie sprzyja podróżom.

- Ostatnią noc spędziłem u znajomych, niedaleko stąd. Od dawna już zamierzałem ich odwiedzić, a teraz zdarzyła się ku temu okazja.

Swynford przyniósł piwo.

- Miejmy nadzieję, że będziemy mogli wypić za pomyślny koniec sprawy - stwierdził sir Henry.

Marlbrooke, skłoniwszy głowę, wziął od niego kufel.

- Sprawa wydaje mi się prosta. - Omiótł wzrokiem trójkę graczy, z którymi stawał do rozgrywki. - Musimy szczerze porozmawiać o rozwiązaniu problemu Winteringham Priory. Obaj przedstawiliśmy roszczenia do tego majątku. Jest mało prawdopodobne, by komisja, zważywszy na okazywane przez pana sympatie polityczne i zaangażowanie w wojnę, przychylnie odniosła się do pańskich argumentów.

Sir Henry wiedział, że stoi na straconej pozycji, ale starał się zachować pozory.

- Z mocy prawa majątek należy do rodziny Harleyów. Nie został sprzedany, lecz odebrany siłą przez pańskiego ojca, milordzie. Moja siostrzenica ma do majątku tytuł prawny. Temu pan nie może zaprzeczyć.

- Na to wygląda. - Marlbrooke pozostał absolutnie nieporuszony i pewny swego. Stać go było na okazanie szczodrości zwycięzcy. - Majątek został zarekwirowany mojemu ojcu przez komitet hrabstwa w 1651 roku. Gdyby właśnie wtedy wystąpił pan o tytuł prawny, sytuacja przedstawiałaby się zgoła inaczej, jednak pan tego zaniechał. Natomiast mój ojciec ułożył się w sprawie majątku i zapłacił za niego znacznie więcej, niż ta ziemia jest warta. To oczywiście nie zamyka waszych roszczeń, ale wzmacnia moją pozycję. - Upił łyk piwa. - Przez ostatnich dziesięć lat, aż do czasu szczęśliwego powrotu króla, byliśmy odsunięci od polityki i władzy, poświęciliśmy więc całą energię na pomnażanie dorobku. Mógłbym dodać, że nie bez

powodzenia. - Uśmiechnął się chłodno. - Będzie mi o wiele łatwiej przekupić członków wysokiej komisji niż panu, to chyba zrozumiałe, prawda?

Sir Henry uniósł dłonie w geście poddania.

- Czyli nie mam wyboru, muszę pogodzić się z losem. Zakładam, że nie przyjechał pan tutaj, aby się chełpić. Jaka jest treść propozycji?

- Proszę tylko, aby panna Harley wyświadczyła mi zaszczyt i zgodziła się zostać moją żoną. - I dodał z łagodnym wyrzutem: - Doprawdy, proszę nie podejrzewać mnie o chełpliwość... A wracając do mojej propozycji, dzięki niej dojdziemy do satysfakcjonującego obie strony rozwiązania wszelkich problemów związanych z dziedziczeniem majątku. Panna Harley... - skłonił głowę przed Kate - ma tytuł do posiadłości de jure, ja go mam de facto. Czy może istnieć lepsze rozwiązanie? Majątek jest duży i lepiej będzie, jeśli nie dopuścimy do jego roztrwonienia przez długotrwałe spory prawne.

Sir Henry spojrzał z niesmakiem na beznamiętnego, aroganckiego dworaka. Sam doskonale znał wysunięte przez niego argumenty, ale nie mógł się z nimi pogodzić.

- No dobrze - przerwał wreszcie milczenie. - Jest moja zgoda dla tej propozycji. Katherine? - Zwrócił się do siostrzenicy, która podczas tych bezdusznych negocjacji, nie liczących się z jej uczuciami, pozostawała milcząca i nieruchoma. - Przecież rozumiesz sytuację. Jaka jest twoja odpowiedź?

Milczała. Co miała powiedzieć? Zdawało jej się, że straciła nie tylko mowę, ale i zdolność myślenia.

- Katherine?

Zanim milczenie stało się nie do zniesienia, przerwał je Marlbrooke:

- Może będzie mi wolno porozmawiać na osobności z panną Harley? Nie chcę, żeby czuła się zmuszona do tego małżeństwa wbrew swojej woli.

Na twarzy sir Henry'ego malowały się sprzeczne emocje. Z jednej strony pragnął tego małżeństwa, z drugiej jednak miał cichą nadzieję, że siostrzenica odrzuci aroganckiego lorda. No, ale skoro ten nadmiernie ambitny rojalista jest tak pewny swego, to niech próbuje!

- Naturalnie, milordzie. Bardzo proszę. Może zaprowadzisz milorda do salonu, Katherine?

Nie było sensu się sprzeciwiać. Posłusznie wyszła z biblioteki, wyrażając bunt całą swą postawą. Wkrótce znaleźli się w przytulniejszym pokoju, z boazerią i widokiem na podjazd. Kate podeszła do okna i odwróciła się do gościa. Wiedziała, że pod światło jej twarz będzie dla niego prawie niewidoczna. Marlbrooke zamknął za sobą drzwi i postąpił kilka kroków w jej stronę. W pokoju panowała cisza, której żadna ze stron nie śpieszyła się przerwać.

Kate wciąż stała nieruchomo, gdy Marlbrooke wreszcie się odezwał:

- A więc, panno Harley, do tej pory nie powiedziała pani ani słowa na temat tej umowy. Ucieszyłbym się, mogąc poznać pani opinię. - Powiedział to cicho, lecz stanowczo, niemal rozkazująco.

Kate wreszcie odzyskała głos.

- Czy oczekuje pan, że z entuzjazmem powitam pańską propozycję?

- Skądże! - Roześmiał się cicho. - Ale nie chcę też, żeby oblubienica wyglądała jak jeden wielki protest. To byłoby bardzo kłopotliwe, nieprawdaż?

- Czyżby miało dla pana jakiegokolwiek znaczenie, że do tego związku zmusza mnie rodzina? - spytała ze zdziwieniem.

- Naturalnie. Nie jestem potworem, wbrew niektórym pogłoskom. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Jeśli nie potrafi pani zaakceptować mojej osoby i nie wyrazi zgody, to pogodzę się z odmową.

- Cieszy mnie to, milordzie, niestety mój wuj nie wykaże tyle zrozumienia. - Z przerażeniem poczuła pod powiekami piekące łzy. Tylko nie to, pomyślała w popłochu. - Milord jest bardzo uprzejmy - zdołała jeszcze wybąkać.

- Czy w pani sercu jest miejsce dla kogoś innego?

- Nie - szepnęła, przejęta głębokim poczuciem winy z powodu tej zdrady. Nie mogła jednak dać wicehrabiemu jeszcze większej przewagi nad sobą. Nie ufała jego współczuciu.

- Pani matka zdaje się nie mieć nic przeciwko temu.

- To oczywiste - odrzekła bezbarwnie.

- Rozumiem. Czy przyjmuje pani moje oświadczyzny?

To przypomina rozmowy o cenie zwierzęcia na targu, pomyślała Kate, bliska histerycznego wybuchu śmiechu. Po chwili spojrzała mu w oczy.

- Niestety nie mogę odmówić, milordzie.

- Wobec tego bądźmy praktyczni. Małżeństwo przyniesie pani korzyści. Jestem dostatecznie bogaty, by zapewnić pani wszystkie wygody. Jeśli zechce pani bywać na dworze, to proszę bardzo. Co najważniejsze, będzie pani mogła wrócić do rodzinnego domu, z którym na pewno łączą ją różne wspomnienia.

- Nie mam żadnych wspomnień! - odparła zajadle. - Miałam zaledwie kilka miesięcy, kiedy nas stamtąd brutalnie wyrzucono. Jak mogłabym uważać Priory za swój dom?

- Może jednak z czasem stanie się dla pani prawdziwym domem. Proszę się zastanowić, panno Harley, bo korzyści są oczywiste. I co pani odpowie?

- A co pan na tym zyska?

Bezceremonialne pytanie Kate tylko na chwilę zbiło go z pantafelku. Wyciągnął ku niej ramię.

- Proszę tu podejść - polecił. Kate niechętnie zbliżyła się doń i podała mu rękę. Uniósł ją do warg i pocałował ceremonialnie, potem spojrzał Kate w oczy. - Ponieważ rozpoczynamy tę znajomość od uczciwej rozmowy, powiem pani, co zyskam. Otóż zyskam niepodważalny tytuł do Winteringham. W przyszłości nikt z pani spadkobierców z bocznych linii nie będzie miał podstaw do

zgłoszenia roszczeń, natomiast pani... nasze dzieci będą jedynymi dziedzicami. Co więcej, zdaniem króla byłby to znakomity sposób, aby z jednej strony wynagrodzić moje zasługi, a z drugiej okazać troskę o tych poddanych, którzy niefortunnym zrządzeniem losu dopuścili się zdrady przeciwko Koronie.

Teraz wszystko stało się jasne. Słuchając tej całkiem wyzutej z emocji propozycji człowieka interesów, Kate czuła, jak cała martwieje. Raptownie cofnęła rękę.

- Jakie to szczęście, że tak skomplikowane sprawy dają się tak łatwo rozwiązać. - Starła się przynajmniej trochę zamaskować gryzącą ironię. - Jeśli życzy sobie tego również król, to jak mogłabym odmówić? Z pewnością już nigdy nie dostanę równie hojnej propozycji. Jak rozumiem, powinnam czuć się zaszczycona, że w obecnej sytuacji politycznej ktoś o pańskiej pozycji jest gotów zawrzeć sojusz z moją rodziną.

- To prawda, pani. Bądź co bądź - przypomniał jej układnym tonem - pani wuj, choć nie obnosił się z tym zbyt, a teraz w ogóle chciałby to zamazać w swojej i innych pamięci, należał do najbliższych współpracowników Cromwella. Trudno dziś nazwać to dobrą rekomendacją.

Kate zrozumiała ukrytą w tych słowach groźbę. Marlbrooke nie posunął się oczywiście do szantażu, wykazał tylko, jak niepewna jest przyszłość jej rodziny pod panowaniem nowego króla. Gdyby do głosu doszli fanatyczni rewanżyści, mogłyby polecieć nawet głowy.

Tylko ona była zdolna zapewnić bezpieczeństwo rodzinie. Nie miała więc wyboru.

- Rozumiem, milordzie. Przekonał mnie pan do tego, do czego rodzina nie zdołała mnie namówić. Oskarżyłam wuja, że błędnie definiuje naszą sytuację, ale jak widać, niesłusznie.

- Przykro mi to mówić, ale rzeczywiście była pani w błędzie... - Spojrzał na nią. - A więc jaka jest pani decyzja?

- Przyjmuje pańskie oświadczenia, milordzie. Zgadzam się na małżeństwo. Muszę panu podziękować za... za zniesienie się do poziomu maluczkich.

Zignorował ten przytyk.

- Jestem zaszczycony, panno Harley. Może powinienem był dodać, że zyskam również piękną żonę?

Przyjrzała się jego wyrazistej twarzy. Szarawe oczy z gęstymi, czarnymi rzęsami robiły naprawdę duże wrażenie, nie było w nich jednak ciepła ani w ogóle niczego krzepiącego, jedynie chłodna, wyrachowana siła.

- Dziękuję, milordzie. Mam nadzieję, że okażę się niekłopotliwą żoną.

- Cieszę się, że to słyszę. - Czyżby się uśmiechnął? Jeśli nawet, to na twarz szybko wrócił mu cyniczny grymas. - Jestem pewien, pani, że będziemy dobrze się rozumieli. Powiadomię sir Henry'ego o pani zgodzie. Powinien przyjąć to z wielką ulgą, jak sądzę. Natomiast my musimy być w kontakcie. Powiadomię panią o postępach w załatwianiu formalności i o innych niezbędnych krokach. - Ruszył do

drzwi, ale zatrzymał się w progu. Wahał się przez chwilę i zawrócił. Gdy stanął przy Kate i otoczył ją ramieniem w talii, zaskoczona wstrzymała oddech. Wsunął jej rękę we włosy i przyciągnął ją bliżej.

- Niech pani na mnie spojrzy. - Gdy machinalnie usłuchała, odnalazł jej usta. Pocałunek był krótki, delikatny, zakończył się ledwie na musnięciu warg, ale gdy Marlbrooke uniósł głowę, nie wyglądał już na całkiem obojętnego. - Cóż, panno Harley, nie ma pani nic do powiedzenia?

- Nie. Ja...

- Choć nasza znajomość trwa krótko, jestem przekonany, że tak uroczej osobie jak pani rzadko brakuje słów. Czy mam rację?

- Mam na końcu języka niejedno, milordzie - rzuciła ze złością - niestety dobre maniere nie pozwalają mi nic powiedzieć.

Marcus wybuchnął śmiechem, po czym objął ją mocniej i pochylił się, by powtórzyć pocałunek. Tym razem okazał się znacznie bardziej zaborczy, a Kate wbrew sobie poddała się woli jego ust. Mimo że rozsadzała ją wściekłość na tego aroganta, który pozwalał sobie na intymne gesty, nie była w stanie opanować ognia, jaki w niej wybuchł. To była wojna rozumu ze zmysłami. Kate drżała na myśl, że ani się obejrzy, jak zmysły ostatecznie wezmą górę.

Lecz oto Marlbrooke puścił ją tak samo nagle, jak nagle pochwycił w objęcia. Półprzytomna stwierdziła, że to było coś zupełnie innego niż niewinne pieszczoty z Richardem, jak choćby dziś w ogrodzie.

Wicehrabia wykonał przed nią dworski ukłon, zawijając przy tym kapeluszem.

- Żegnam, panno Harley... do naszego ślubu.

Ruszył do drzwi, a Kate zdołała jeszcze dygnąć i coś bąknąć na pożegnanie.

- Prawie bym zapomniał - dodał od progu i wydobył coś z fałd peleryny. - Na znak zawartej umowy przywiozłem pani prezent. Proszę go odpakować, gdy już mnie nie będzie. Mam nadzieję, że się spodoba. Moja matka kiedyś go nosiła, lecz już nie może, i uznała, że to właściwy podarunek dla oblubienicy. - Przerwał na chwilę. - Mam nadzieję, że mama panią polubi. - Skłonił się raz jeszcze. - Klejnot podkreśli urodę pani oczu. - Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu. - A zatem proszę przyjąć prezent od malowanego fircyka. Sługa uniżony, panno Harley.

Z tymi słowami zniknął na korytarzu. Jak we śnie słuchała odgłosu oddalających się kroków. Wreszcie trzasnęły drzwi wejściowe i na zwirowym podjeździe rozległ się tętent kopyt. Przez okno ujrzała przyszłego męża, jak cwałuje ku bramie na gniadym ogierze. Patrzyła jego śladem, póki nie wtopił się w zapadający mrok.

Dopiero wtedy podeszła do stołu i z płóciennego zawiniątka wyjęła puzderko oklejone aksamitem. W środku znajdował się pierścionek, delikatny kwiatek z niedużych szafirów i pereł, osadzonych na złotej obrączce. Ostrożnie przesunęła palcem po klejnocie. Był piękny. Mimo to szybko zamknęła puzderko. Wystarczyło emocji jak na jeden dzień.

Po chwili jednak nagły impuls kazał jej ponownie wyjąć pierścionek. Na znak wyzwania wsunęła go na palec. Zgodziłaś się na to małżeństwo, napomniała się surowo, wobec tego będziesz go nosić. Zapomnisz o Richardzie i staniesz się lojalną żoną. Musisz jednak cały czas mieć się na baczności przed wicehrabią Marlbrookiem.

Z tej przyczyny postanowiła wyrzucić z pamięci wspomnienie pocałunku, tak niepokojąco żywe i dominujące. Wolno wyszła z bezpiecznego salonu i skierowała się do biblioteki, gotowa na przyjęcie życzeń i gratulacji od rodziny.



Rozdział trzeci

Marcus przeciągnął się, by rozprostować zesztywniałe nogi. Nie mógł doczekać się końca podróży. Zastanawiał się, czy matka już śpi. Pewnie nie, jeśli znowu dręczą ją bóle. Poza tym będzie chciała jak najszybciej usłyszeć relację z jego wizyty w Downham Hall.

Szczęśliwie byli już blisko domu. Minęli zagajnik i stary dąb przy moście, przejechali przez strumień Wyvern i zbliżali się do rozstaju. Stamtąd, jadąc w lewo, tylko godzina jazdy dzieliła od Glasbury Old Hall, natomiast droga w prawo prowadziła przez błonia, za którymi leżała wieś, a nieco dalej Winteringham Priory. Marcusowi trudno było nazwać ten dwór swoim domem, ale nie zmieniało to faktu, że właśnie tam teraz mieszkał.

Nagle powóz szarpnął, zatrząsł się i stanął. Księżyc, lśniący na niebie w mroźny wieczór, rzucił blask na drzwi pojazdu. Trzy srebrne sokoły w herbie, które w tym oświetleniu wydawały się bardziej szare, rozpościerały skrzydła na czarnym tle. W okolicy dobrze znano ten symbol sprzyjającej królowi rodziny Oxendenów.

Powóz ruszył ponownie, wnet jednak znów gwałtownie się zatrzymał. Rozległ się zirytowany głos stangreta Jenksa. Marlbrooke wychylił się przez okno. Spłoszone konie parskwały i nie mogły ustać w miejscu, mimo że Jenks ścigał lejce. Zbójcy?

W ciemności Marcus niewiele widział, ale zawsze należało się z tym liczyć. W okresie, który minął od śmierci lorda protektora do przybycia nowego króla, lokalne władze bardzo osłabły, rozplenili się więc złodzieje i rabusie grasujący na drogach.

- Co się stało, Jenks?

- Nie wiem, milordzie, coś spłoszyło konie. - Stangret był zbyt zafrasowany, by wdawać się w długie wyjaśnienia. - Zeskakuj, Tom, tylko uważaj na tego diabła w pierwszej parze! Dobrze go trzymaj, bo jak stanie dęba, to będzie źle!

Marcus zdjął rękawiczki i zrzucił z ramion pelerynę i płaszcz, by pomóc swoim ludziom. Wprawdzie w koszuli groziło mu przemarznięcie do szpiku kości, ale za to nie miał skrepowanych ruchów jak w aksamitach. Wyskoczył z powozu.

- Co je tak spłoszyło? - spytał Jenksa i chwycił za uzdę przy łbie jednego z koni pierwszej pary, żeby nie zerwał wędzidła.

- Nie mam pojęcia, milordzie. Coś musi być na skraju lasu. Jechaliśmy całkiem spokojnie i nagle tuż przed nami śmignęły jakieś dwa ciemne kształty. No i zaczęło się piekło. Bardzo przepraszam, milordzie.

Konie wreszcie trochę się uspokoiły. Marlbrooke zapalił podaną przez Jenksa latarnię i ruszył w stronę zarośli. Zdarzali się tu zbójcy, więc należało się rozejrzeć, choć byłby się gotów założyć, że tym razem na żadnego rabusia się nie natknie. Przeczucie go nie omyliło i po chwili wrócił do powozu.

- Nic się nie stało. Pewnie przerwaliśmy lisom biesiadę, stąd to całe zamieszanie. Jedziemy do domu, Jenks.

Ledwie wsiadł do powozu, gdy dobiegł go jakiś odgłos.

- Z południa zbliża się jeździec - powiedział stangret. - Gna na złamanie karku.

- Stanowczo za szybko jak na te warunki - stwierdził Marcus. - Lepiej poczekajmy, żeby go ostrzec.

Wkrótce tętent kopyt stał się całkiem wyraźny. Jenks wydał okrzyk, mogący uchodzić i za powitanie, i za ostrzeżenie.

Wyłaniający się z mroku jeździec ściągnął wodze, by zatrzymać się przy powozie.

Księżyc wysunął się zza chmury i zalał trakt srebrzystą poświatą. Z wiązu wyfrunęła zaniepokojona sowa, a z lasu dobiegł przeraźliwy kwik jakiegoś zwierzęcia.

Koń obok powozu stanął dęba, a potem strzelił z grzbietu i jeździec wyleciał w powietrze, by po chwili z wielkim impetem uderzyć o ziemię. Spłoszony wierzchowiec pogalopował przed siebie, a na ziemi pozostała skulona, nieruchoma postać.

Marlbrooke podbiegł do niefortunnego jeźdźca i zaczął ostrożnie przesuwać dłońmi po jego ciele, by ocenić następstwa upadku. Żadnych złamań nie stwierdził, ale młody człowiek leżał nieprzytomny, najpewniej bowiem uderzył się mocno w głowę. Marcus zdjął mu kapelusz i obrócił twarzą ku księżycowi. Na jednej skroni dostrzegł wyraźne ślady uderzenia i dużo krwi. Sposepniał.

Sprawa wyglądała poważnie, a na drodze nie można było nijak pomóc.

Również Tom przyklęknął obok rannego.

- Pan Jenks mówi, milordzie, że powinniśmy się stąd zabierać jak najszybciej, póki panuje nad końmi. Są bardzo spłoszone.

- Rozumiem, Tom. Dzielnie się spisałeś, a teraz musisz mi pomóc. - Marlbrooke wstał. - Ten człowiek uderzył głową o ziemię. Trzeba go ostrożnie załadować do powozu. Zajmiemy się nim w Priory.

- Tak, milordzie.

Owinęli nieruchomą postać peleryną Marlbrooke'a, aby złagodzić skutki wstrząsów powozu, i umieścili rannego na siedzeniu.

- W porządku, Jenks. - Wicehrabia nałożył płaszcz oraz rękawiczki. - Jedziemy do Priory. Mam nadzieję, że ten młodzieniec nie umrze nam w powozie. W drogę!

Pan Oliver Verzons, od niepamiętnych czasów rządcą Winteringham Priory, słysząc nadjeżdżający powóz, otworzył wielką dębową bramę. Cały w czerni wyglądał bardzo surowo, stosownie do zajmowanej pozycji i spoczywającej na nim odpowiedzialności. Mimo późnej pory biały kołnierzyk i białe, pozbawione ozdób mankiety, były równie nieskazitelne jak z samego rana.

- Dobry wieczór, milordzie. Czy mogę w czymś pomóc? Cofnął się do sieni, widząc, że wicehrabia wnosi na schody wydłużony, bezwładny kształt.

- Witaj, Verzons! - Marlbrooke ulokował młodzieńca na dębowej ławie przy drzwiach. Spojrzawszy na rządcę, pomyślał o dziwaczności tej sytuacji. To, że Verzons pozostał w Priory, by służyć nowemu, rojalistycznemu panu, było dla wicehrabiego niepojęte, chyba że lojalność wobec dworu była dla Verzonsa ważniejsza niż lojalność wobec rodziny. Może zresztą liczył na to, że któregoś dnia dokona się akt sprawiedliwości boskiej i Harleyowie wrócą na miejsce znienawidzonych Oxendenów. W każdym razie jak do tej pory Verzons zarządzał posiadłością z wielką biegłością i zaangażowaniem.

- Czy ten młody człowiek jest poważnie ranny? - Verzons pochylił się nad ławą. - Mogę zawołać Elspeth...

- Nie trzeba. - Marcus zdjął rękawiczki i płaszcz i podał je rządcy. - Spadł z konia na rozstaju przy błoniach i uderzył się w głowę. Myślę jednak, że o tej porze nie ma sensu stawiać całego domu na nogi. Zaniosę go na górę do którejś sypialni, a ty przyślij koce, a także ciepłą wodę i wino. Jeśli nie dla niego, to przynajmniej dla mnie.

- Naturalnie, milordzie. Jest też przygotowany posiłek, kiedy tylko milord zechce coś zjeść.

Marlbrooke skinął głową.

- Czy matka mnie oczekuje?

- Nie, milordzie. Lady Elizabeth już udała się na spoczynek.

Niestety, nie czuła się dziś najlepiej. O ile wiem, w salonie jest jeszcze panna Felicity.

Wicehrabia skrzywił się nieznacznie.

- Nie będziemy jej przeszkadzać.

-Naturalnie, milordzie. To zupełnie zbędne. - Verzons skłonił się i znikł w mrocznym korytarzu.

Marcus podniósł z ławy młodego człowieka, wdrapał się z nim po schodach i ramieniem pchnął drzwi do pierwszej wolnej sypialni. W pokoju panował chłód, a umeblowanie było nader skąpe, ale łoże zaopatrzone w świeżą pościel, niedawno zmieniono też zasłony, a przy kominku był zapas drewna.

W powietrzu unosił się miły zapach wosku i ziół. Gdy wicehrabia złożył swój ciężar na łożu, wszedł służący ze świecami.

- Dziękuję, Robercie - powiedział Marlbrooke. - Rozpal ogień, bo zimno tu jak w psiarni.

- Tak, milordzie. - Służący przykląkł obok kominka. - Verzons pyta, czy przysłać posiłek na górę.

- Najpierw sprawdźmy, co się stało temu nieszczęśnikowi.

Postawiwszy świecę przy łóżku, uwolnił rannego z zawojów peleryny. Miał rację. Istotnie był to młodzieniec, w dodatku wątłej budowy. Twarz miał bardzo bladą, z sinawym odcieniem, co bardzo zafrasowało Marlbrooke'a, wyczuł jednak puls na szyi. Krótkie ciemne włosy zlepiała krzepnąca już krew z głębokiego rozcięcia na głowie. Marlbrooke ostrożnie zbadał ranę palcami. Krwawienie, choć zrazu obfite, jak zwykle przy ranach głowy niemal już ustało. Na czole i skroni rannego pojawił się wielki siniejący guz, spory kawałek skóry był zdarty. Kołnierz i rękaw kaftana nasiąkły krwią, podobnie

jak wams, na szczęście jednak wyglądało na to, że cała krew pochodziła z jednej tylko rany. Niepokoił natomiast płytki oddech, lecz na to nie było rady. Należało jedynie oczyścić ranę i czekać, aż natura zrobi swoje.

Kim jednak był ten chłopak? Odzienie miał dobrej jakości, choć skromne i praktyczne. Pewnie ziemiański syn purytańskiej rodziny, ponieważ strój był pozbawiony tasiemek i koronkowych ozdób, tak chętnie noszonych przez rojalistów. Kaftan był zapięty pod samą szyję, ale wystawała spod niego zakrwawiona lniana koszula. Skórzane trzewiki, również solidne, zdradzały jednak oznaki długiego używania. Lecz kim był ów młodzieniec? Jak się zwał, skąd pochodził? Przeszukanie kieszeni też nie dało na to pytanie odpowiedzi.

Marcus delikatnie zsunął chłopcu z ramion płaszcz. Wciąż nie objawiły się oznaki innych obrażeń, oprócz spuchniętego nadgarstka, prawdopodobnie lekko skreconego. Tym Elspeth mogła się zająć nazajutrz. Zdjął chłopcu buty - nogi również wydawały się zdrowe. Potem rozluźnił kołnierz koszuli - i zmartwiał.

W migotliwym świetle świecy przekonał się bowiem, że ma przed sobą młodą kobietę. Widok niewielkich, lecz jędrnych piersi z różowymi sutkami sprawił, że Marlbrooke głęboko odetchnął. To mogło rozmarzyć każdego mężczyznę. Ostrożnie przesunął palcem po jej obojczyku. Nieznajoma kojarzyła mu się z pisklęciem, które wypadło z gniazda. Westchnął jeszcze raz, a potem pieczołowicie zasnurował koszulę.

Zaczął przyglądać się twarzy nieznajomej. Teraz, kiedy odkrył największy sekret, musiał przyznać, że jej rysy są wyraźnie kobiece. Twarz zapadała w pamięć, tym bardziej że była wyeksponowana dzięki krótkim włosom. Ścięto je zresztą bardzo niewprawnie, a co gorsza, jakimś tępym narzędziem. Przyciągały za to uwagę długie gęste rzęsy i mocno zaznaczone brwi. Dłonie, które dokładnie obejrzał, miały długie, smukłe palce i niewątpliwie należały do damy. Nie była to ani wieśniaczka, ani służąca, co więcej, kobieta była piękna. Jak mógł wziąć ją za chłopca? Dotknął jej policzka, miękkiego i bardzo delikatnego.

Ranna otworzyła oczy. Były intensywnie niebieskie, w kolorze ostróżki, choć teraz zamglone i niespokojne. I zaraz pojawił się w nich strach. Po policzkach na zmierzwione włosy i poduszkę zaczęły spływać łzy.

Nie mógł oderwać oczu od szafirowego spojrzenia, oczarowany jego mocą ścierał krople z policzków.

- Nie płacz - szepnął. - Jesteś tu bezpieczna. Nikt cię nie skrzywdzi. - Jakież to straszne okoliczności zmusiły ją do ścięcia włosów i panicznej ucieczki w męskim przebraniu?

Kobieta nie dała żadnego znaku, że go słyszy. Zamknęła oczy, jakby chciała odciąć się od zagrażającego jej świata.

Marcus przełknął ślinę i wstał z łóżka. Zwrócił się do czekającego pod ścianą służącego, który jeszcze nie wiedział, jaką niespodziankę zgotował im los.

- Czy on doszedł do zmysłów, milordzie? Nie wygląda najlepiej, prawda?

- Rzeczywiście nie, Robercie. Zbudź, proszę, panią Neale. Przepróż ją bardzo w moim imieniu i powiedz, żeby jak najszybciej tu przyszła. Potrzebuję jej pomocy. - Przykrył nieruchomą postać haftowaną narzutą, potem podszedł do krzesła, aby poczekać na gospodynię przy rozpalającym się ogniu. Nie mógł jednak oderwać oczu od nieznajomej.

RS

Rozdział czwarty

- Dzień dobry, matko. Pięknie wyglądasz. I bardzo ci do twarzy w różowym jedwabiu. Czy to nowa suknia? O, i Felicity tutaj... Przywiozłem ci książki, o które prosiłaś. Odbierz je od Verzonsa. A te... - z ukłonem podał kilka tomików lady Elizabeth - powinny cię zająć i sprawić, że serce zabije ci szybciej, milady.

Damy siedziały we wspaniałej bibliotece Winteringham Priory. Ustawiono dla nich krzesła we wnęce pod oknem, gdzie miały dobre oświetlenie, a obok trzaskał ogień w kominku. Od jego blasku połyskiwała skóra opraw ze złotymi tytułami, a także blat politurowanego stołu dębowego, na którym leżały haftowane jedwabne serwetki.

- Widzę, że w podróży nie zatraciłaś biegłości w czarowaniu - odrzekła oschle Elizabeth, ale dyskretnie się uśmiechnęła, odwzajemniając powitalne cmoknięcie w policzek. - Czy niezwykła panna Lovell nie próbowała zatrzymać cię na dworze?

- Och nie. Widzę, że nie jesteś au courant z ploteczkami, moja droga. - Oczy Marcusa przekornie zaśniły. - Niezwykła panna Lovell postanowiła poszukać szczęścia w wyższych sferach, co tam jakiś

wicehrabia. Kiedy odjeżdżałem, wodziła wzrokiem za samym królem, a on wykazywał godną pożałowania skłonność do zajmowania jej rozmową, ilekroć ich drogi się skrzyżowały, co zresztą zdarzało się często. Lady Castlemaine ostrzy pazury.

- Mam nadzieję, że król nie będzie tego żałować. - Uśmiechnęła się przekornie. - Za to ja na pewno nie będę. To taka zachłanna kobieta, mimo że niezaprzeczalnie piękna.

- Wątpię, żeby Karol zauważył jej pazerność, póki będzie zainteresowany urodą. Nie sądzę, by długo musiała czekać, aż skapitułuje i przyjmie jej dary.

- To dla ciebie dyshonor, synu - zaśmiała się lady Elizabeth.

- Przegrać konkurencję z królem!

Felicity parsknęła gniewnie.

- Doprawdy, Marcusie! Po co te plotki i komentarze. Cóż to za nielojalność wobec króla! W ogóle całe twoje postępowanie jest naganne. - Skierowała na niego karcące spojrzenie.

- Oczekujemy twojego powrotu od dwóch tygodni, prawda, najdroższa Elizabeth? Długą nieobecnością wystawiłeś matkę na ciężką próbę i naraziłeś na wiele trosk. Tyle słyszy się o rabusiach i zbójcach. Nie mogłeś dać znać, że jesteś cały i zdrowy, i zapowiedzieć, kiedy przyjedziesz? Oszczędziłbyś matce niepokoju. Czyż nie mam racji, Elizabeth?

Lady Oxenden powściągnęła westchnienie. Stanowczo nie zamierzała wspierać kuzynki. Po prostu była zachwycona powrotem Marcusa, a jeszcze bardziej ucieszyło ją to, że zauważył jej starania,

by wyglądać tego ranka szczególnie ładnie. Wszak mimo kalectwa wciąż interesowała się modą i najnowszymi kreacjami. Była zresztą zdania, że gdyby również Felicity chociaż trochę zadbała o swój wygląd, przejawiałaby znacznie więcej zadowolenia z życia. Jak kobieta, która chodzi w niemodnej ciemnozielonej sukni i koronkowym czepku, może uniknąć zgorzknienia?

- Cóż więc porabialiście podczas mojej nieobecności? - spytał wicehrabia. - Mniemam, że nie wywołałyście żadnego skandalu, bo inaczej Verzons już by mnie o tym poinformował. - Podniósł kawałek tkaniny, która zsunęła się na podłogę. - Będą nowe zasłony na łóżko? Jeszcze trochę i zrobicie ich tyle, że można by wyposażyć całe Hampton Court. Jak się czujesz, matko?

Lady Elizabeth mimo woli nieznacznie się uśmiechnęła.

- Chłód szkodzi moim dłoniom... - Ukryła obrzmiałe palce na podolku. - Ale przyjdą cieplejsze dni i powinno być lepiej. - Bardzo się pilnowała, by zachować lekki ton. Nie mogła przecież opowiadać synowi o bólu, który nie pozwalała jej spać i przeszkadza w ulubionych zajęciach. Haftowanie stanowiło teraz dla niej prawdziwy koszmar, a do szpinetu nawet nie odważała się zbliżyć. Również przebiśniegi i narcyzy w ogrodzie kwitły bez jej udziału.

Nie musiała zresztą niczego mówić. Marlbrooke i tak czytał to wszystko z jej twarzy.

- Wiem, że chciałabyś wrócić do Londynu - powiedział wprost, jak zwykle gdy rozmawiał z matką. - Czujesz się tu samotna, brak ci przyjaciółek, z którymi mogłabyś wymieniać dworskie plotki. Proszę

cię jednak, pozostań w Priory do czasu, aż zakończę sprawy związane z moim małżeństwem i przyjazdem przyszłej żony, a potem odwiozę cię do stolicy. Wytrzymasz jeszcze trochę?

- Naturalnie, Marcusie. - Uśmiechnęła się, gdy pochylił się i z szacunkiem pocałował ją w rękę. - Powiedz mi teraz lepiej, jaka jest Katherine Harley. Czy ją polubię?

- Tak sądzę. Ty zresztą z natury lubisz wszystkich!

- Kiedy cię słucham, czuję się bardzo niemądra - odrzekła z uśmiechem. - Czy panna Harley jest ładna?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Widziałem ją tylko raz, trochę potarganą, jakby przyszła prosto z deszczu. I patrzyła na mnie niezbyt przychylnie.

- Ojej, czyżby nie powitano cię życzliwie? Sir Henry z pewnością oczekiwał twojej wizyty.

- No cóż, po dwakroć nie. Sir Henry wydawał się mocno zakłopotany faktem, że musi prowadzić pertraktacje z rojalistą, natomiast lady Philippa uparcie milczała, a także wzdrygnęła się, kiedy spoglądałem w jej stronę. Natomiast zachowanie mojej przyszłej żony mógłbym opisać tylko jako wrogie. Niby to mówiąc do siebie, ale tak, żebym usłyszał, nawała mnie „malowanym fircykiem”, czyli że brak mi pojęcia o stylu i elegancji. Oni wszyscy najchętniej wysłaliby mnie do diabła.

-I co? - Elizabeth nie zdołała powściągnąć uśmiechu, żywo wyobrażając sobie tamtą scenę, kompletnie przy tym ignorując fuknięcie oburzonej Felicity. - Czy wobec tego zamierzasz nadal

dążyć do tego małżeństwa? Czy Katherine okazała się dostatecznie urodziwa, by mimo wrogości tych ludzi nadal kusił cię ożenek?

- Muszę wyznać, że niedostatek świec, zapewne związany z oszczędnością, przeszkodził mi w wyrobieniu sobie jasnego poglądu.

Mam tylko bardzo ogólne wrażenie. W każdym razie Katherine jest całkiem zgrabna i ma na głowie burzę czarnych włosów.

Powiedziałem jej zresztą, że jest ładna, chociaż nie wiem, czy mi uwierzyła. Z pewnością nie jest najlepszego zdania o mojej osobie, co zadokumentowała kąśliwymi uwagami. - Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Och, Marcusie! Jesteś taki podobny do swojego ojca.

- To komplement czy przygana, milady?

- Wybór zostawiam tobie. Ale, ale, czyżbyś wbrew mojej radzie przeraził tę biedaczkę swym dworskim majestatem? Koronki, aksamity i te okropne trzewiki z czerwonymi obcasami? - Przyjrzała mu się z niejakim uznaniem, po przyjeździe przebrał się bowiem w strój bardziej odpowiedni dla właściciela ziemskiego i nierażący nadmiarem francuszczyzny. Nawet kwestionowane trzewiki ustąpiły miejsca zwyczajnym czarnym butom z cholewami.

- Moja droga matko, nie sądzisz chyba, że mógłbym złożyć wyrazy szacunku przyszłej żonie w mniej eleganckim stroju?

- Czy po poznaniu sir Henry'ego będziesz dalej czynił starania o zawarcie tego małżeństwa?

- Dlaczego nie? On jest do niego raczej pozytywnie nastawiony, bez względu na opinię panny Harley. Moje roszczenia do

nieruchomości zyskałyby w ten sposób sankcję prawną, a panna Harley, ulegając rozumowi, złagodziła swą wrogość do tego pomysłu. Zresztą mam niepłonną nadzieję, że z czasem znajdziemy wspólną płaszczyznę porozumienia.

Felicity naląła piwo do niedużych cynowych kufli, a Marcus rozparł się wygodnie w fotelu przy kominku.

- Pani Neale opowiedziała mi, co się stało wczoraj wieczorem. - Elizabeth uznała, że czas porzucić drażliwy temat. - Wspomniała o młodej kobiecie, którą znalazłeś na drodze.

- Och, zupełnie o tym zapomniałem. Jestem jednak pewien, że pani Neale przekazała ci wszystko ze szczegółami. Kiedy przyjechałem, już spałaś. Gdy uświadomiłem sobie, że to kobieta, natychmiast wezwałem panią Neale do pomocy.

- Bardzo rozsądnie! Szczerze mówiąc, mało kto oczekiwałby z twojej strony takiej delikatności, w każdym razie jeśli wierzyć plotkom. - W jej głosie zabrzmiała nuta dezaprobaty.

- Moja taktowność i troskliwość najlepiej ujawniają się w takich sytuacjach. - Cyniczny błysk w jego oczach nie uszedł uwagi matki.

- Trzeba było posłać po mnie, drogi Marcusie - włączyła się do rozmowy Felicity. - Kiedy przyjechałeś, byłem zajęta w saloniku porządkowaniem haftów naszej najdroższej Elizabeth, więc z pewnością mogłam pomóc. - Jej głos miał wątle i oschłe brzmienie, dopełniające całości obrazu, jaki sobą przedstawiała. - Nie było potrzeby, żebyś troszczył się o jakąś uciekinierkę, to bardzo nieroztropny czyn, nie sądzisz?

- Dziękuję ci, Felicity. Chyba po prostu o tym nie pomyślałem. -
I na pewno nie chcę słuchać twoich tyrad o moralności młodych
dziewcząt, dodał w myśli.

- Wyjątkowy brak przyzwoitości, moim zdaniem. Bez wątpienia
ta panna czuje się już dostatecznie dobrze, by dzisiaj opuścić nasz
dom.

- Pani Neale wspominała o ciężkiej ranie i uszkodzonym
nadgarstku. Ta kobieta wymaga opieki i jest pod naszym dachem. -
Elizabeth zajęła się sączeniem piwa, całą swą uwagę demonstracyjnie
kierując na syna.

- Moim zdaniem mogła to być zwykła sztuczka, żeby dostać się
do tego domu - ciągnęła niezrażona Felicity. - Takie kobiety są
gotowe posunąć się bardzo daleko, by zyskać zainteresowanie osób
wyżej postawionych. Elizabeth westchnęła.

- Czy proponujesz, żebyśmy zamknęli srebra na klucz? Mnie się
to nie wydaje potrzebne. Wiesz, Felicity, w tym pokoju jest zimno.
Czy będziesz taka dobra i przyniesiesz mi z sypialni pikowany szal?
Przepraszam cię za kłopot.

- Ależ naturalnie, droga Elizabeth. Zawsze jest mi miło, kiedy
mogę coś dla ciebie zrobić.

- Jest zbyt pochopna w sądach. - Elizabeth z niechęcią spojrzała
za oddalającą się Felicity. - A wobec mnie zawsze taka służalcza.
Czasem chciałabym, żeby mi nawymyślała, bo wtedy mogłabym jej
odpłacić pięknym za nadobne. Ona rzecz jasna nigdy tego nie robi.
Wdzięczność jej nie pozwala.

- Nie rozumiem, jak możesz ją znosić każdego dnia przy sobie. Jest strasznie małostkowa, wciąż zrzedzi i krytykuje. Czy choć raz powiedziała o kimś dobrze?

- Może nawet dwa razy. - Elizabeth się roześmiała. - Pamiętaj jednak, że pomaga mi w różnych intymnych czynnościach, z którymi już nie daję sobie rady. Dlatego muszę być i wdzięczna, i tolerancyjna.

- Rozumiem. Wybacz mi, proszę, moją godną pożałowania gruboskórność.

- Poza tym to jej jedyny dom, nie miałyby się gdzie podziąć. Wiedząc o tym, staram się nad nią nie litować ani nie być dla niej protekcyjna.

- Masz w sobie więcej dobroci niż ja.

- A co z tą panną? - spytała nagle Elizabeth. - Czy może pochodzić ze wsi?

- Nie sędzę. Na moje oko jest dobrze urodzona. Świadczy o tym jej strój, mimo swej niekonwencjonalności, poza tym ręce, rysy twarzy. To wszystko wskazuje na zamożną rodzinę, dbającą o wychowanie dzieci.

- Czy rzeczywiście jest ciężko ranna?

- Rana na głowie jest głęboka, twarz i ręka stłuczone, ale więcej nam powie pani Neale, która się nią opiekuje. Zresztą i tak musimy poczekać, żeby przekonać się, co z tego wyniknie. Ona ścięła włosy na krótko - dodał nieco bez związku.

Elizabeth uniosła brwi.

- Przynajmniej nie będzie cię korciło, żeby z nią flirtować.

- O to się nie bój! Zaręczyłem się i zamierzam wziąć ślub, więc nie w głowie mi szaleństwa młodości. Poza tym, jak wiesz, nigdy nie flirtuję.

- Hm... - Lady Elizabeth nie zdążyła skomentować tej niezbyt wiarygodnej deklaracji, ponieważ rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Weszła pani Neale, jak zwykle będąca uosobieniem spokoju, z rękami splecionymi na fartuchu i pękiem kluczy pobrzękujących przy pasku. Przystanęła tuż za progiem.

- Proszę wybaczyć, milordzie. Przepraszam, milady. Jest ze mną ta młoda dama. Powiedziała, że czuje się już na tyle dobrze, by wstać z łóżka, chociaż namawiałam ją, by dobrze dzisiaj wypoczęła. Mnie się widzi, że jeszcze dużo jej brakuje do tego, żeby wydobrzcć.

- Naturalnie, pani Neale. Proszę, wejdźcie.

Po chwili pani Neale wprowadziła do pokoju młodą kobietę, ubraną w źle dopasowaną, lecz za to czystą suknię, pożyczoną od Elspeth. Była bez nakrycia głowy, widać więc było nierówno przycięte włosy. Połowę twarzy pokrywał jeden wielki siniak. Ramię z zabandażowanym nadgarstkiem trzymała tuż przy ciele. Nieznajoma była blada, stała z trudem, czekała jednak, aż pani domu wykaże inicjatywę.

- Wejdz, proszę, biedne dziecko. To straszne, co cię spotkało. Usiądź tu przy mnie. - Lady Elizabeth szczerze jej współczuła.

Pani Neale dygnęła i opuściła bibliotekę. Młoda kobieta nadal stała przy drzwiach, jakby nie usłyszała zaproszenia. Marcus

zauważył jej zagubienie, więc podszedł i wziął ją za lodowato zimną dłoń. Kobieta pozwoliła wprowadzić się do pokoju, ale nie reagowała na nowe otoczenie. Jej twarz pozostała całkiem beznamiętna. W trudnym do wytłumaczenia odruchu Marlbrooke uniósł dłoń nieznajomej i złożył na niej zgodny z etykietą konwencjonalny pocałunek

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedział krzepiąco. - Wczoraj wieczorem miała pani wypadek nieopodal dworu, więc przywiozłem tu panią. Jestem Marcus Oxenden, a to moja matka lady Elizabeth. Znajduje się pani w Winteringham Priory. Może słyszała pani tę nazwę?

Przeniosła wzrok na jego twarz i chciała pokręcić głową, ale natychmiast skrzywiła się z bólu. Pobladła jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

- Dziękuję. Państwo są bardzo uprzejmi. - Głos miała czysty i pewny, ale pozbawiony intonacji, jakby myślami błądziła gdzie indziej.

- Proszę wybaczyć, że nie wstaję. - Elizabeth wyciągnęła do niej rękę na powitanie i przesłała uśmiech. - Zimno bardzo utrudnia mi życie. W każdym razie proszę nam powiedzieć, dokąd pani jechała. Na pewno pomożemy w dokończeniu podróży. Musi pani mieć rodzinę i przyjaciół, którzy się teraz bardzo niepokoją. Trzeba wysłać im wiadomość. Jak się nazywasz, moja droga?

Nieznajoma, miał poczucie ulgi w życzliwym otoczeniu, wyrwała rękę z uścisku Marlbrooke'a i wybuchnęła nieopanowanym szlochem.

- Co się stało? - Elizabeth była wstrząśnięta tym pełnym bólu wybuchem. - Jestem pewna, że nie mogło stać się nic takiego, czego nie można naprawić.

-Nie!

- Skąd u pani taka rozpacz? - Marcus zerknął kątem oka na matkę, ta jednak dała znak, że nie ma pojęcia, co robić. - Chyba można coś na nią zaradzić?

W spojrzeniu, które młoda kobieta mu przesłała, malowała się czysta trwoga.

- Nie wiem, dokąd jechałam - powiedziała przez łzy. - Nie wiem, kim jestem, nie wiem, jak się nazywam. Niczego nie pamiętam.

W panice popatrzyła na ludzi, którzy przyjęli ją pod swój dach. Dama, kiedyś niewątpliwie wielkiej urody, miała życzliwy uśmiech i chore nogi. Dżentelmen o skupionym spojrzeniu i ciemnych włosach roztaczał władczą aurę. Oferowali jej wsparcie i pokrzepienie, choć ich nie znała. Jak mogło do tego dojść, że stała się całkowicie zależna od obcych sobie ludzi?

Dama lekko popchnęła ją ku kominkowi, posłusznie usiadła więc na miękkiej kanapie przy kominku. Starsza pani zajęła miejsce obok i zaczęła głaskać ją po dłoni.

- Nie martw się. Masz za sobą straszne przeżycia, spadłaś z konia i rozbiłaś sobie głowę. Pamięć na pewno ci wróci, niedługo wszystko sobie przypomnisz.

Spojrzała w emanujące spokojem, szare oczy Elizabeth.

- Ale co ja tutaj robię? Proszę mi opowiedzieć, co się stało wczoraj wieczorem.

- Obawiam się, że niewiele mam do powiedzenia - zaczął Marcus. - Jechała pani z południa, ale nie wiem dokładnie skąd. Znalazła się pani na rozstaju, gdzie stał mój powóz, bo konie czegoś się wystraszyły. Chcieliśmy panią ostrzec, że trakt jest oblodzony. Za szybko pani galopowała. - Chwilę czekał, czy na jej twarzy pojawi się choćby najmniejsza oznaka powrotu pamięci. Bez rezultatu. - Kiedy pani nadjechała, spłoszony koń wysadził panią z siodła. Uderzyła pani głową o ziemię i straciła przytomność, więc przywiozłem panią tutaj. To wszystko, co wiem o tym zdarzeniu.

Skinieniem głową potwierdziła, że rozumie, wciąż jednak miała w głowie pustkę.

- Czy my już się kiedyś poznaliśmy? - bez wielkiej nadziei spytała Marcusa.

- Nie, moja droga - westchnęła smutno Elizabeth. - W tym ci nie pomożemy. Wydaje mi się, że nie mieszkasz w pobliżu, chociaż wróciłam tu niedawno po długiej nieobecności, więc mogę się mylić. Musimy popytać ludzi, prawda, Marcusie?

- Naturalnie.

- Pewnie miałam z sobą jakieś rzeczy? Czy nie mówią nic o tym, kim jestem?

- Nie. - Marcus nalał kieliszek wina i podał go nieznajomej. - Możliwe, że pani koń miał juki, ale uciekł. Już rozesłałem wiadomość i przypuszczam, że niedługo powinien się znaleźć albo w majątku, albo we wsi. Spłoszone konie rzadko odbiegają daleko.

- Pani Neale powiedziała mi, że byłam w męskim przebraniu. - Spuściła wzrok, a policzki lekko jej się zaróżowiły. - I mam ścięte włosy. - Dotknęła głowy z lekkim niedowierzaniem. - Zdaje mi się, że wcześniej miałam długie. Nic z tego nie rozumiem!

- No tak... - Lady Elizabeth zupełnie nie wiedziała, jak ją pocieszyć. - Musiałaś mieć jakiś ważny powód, żeby ściąć włosy i samotnie ruszyć w drogę.

- Pewnie tak.

Do biblioteki weszła Felicity, niosąc szal. Jej nadęta mina wskazywała, że zasięgnęła już języka u pani Neale, a to, co usłyszała, bardzo ją zgorszyło.

- To jest Felicity, moja kuzynka - przedstawiła ją lady Elizabeth z pewnym niepokojem. Felicity, gdy jej poczucie moralności zostało obrażone, potrafiła zachować się nieprzewidywalnie. - A to... - Nagle bardzo się zmieszała. - Musimy wymyślić, drogie dziecko, jak cię nazywać, póki nie odzyskasz pamięci. - Elizabeth uśmiechnęła się, usiłując zatuszować kłopotliwą sytuację.

- Mnie... Nie wiem.

- Ale ja wiem. - Marcus przyglądał jej się do dłuższego czasu z uwagą, zaintrygowany odcieniem niebieskich oczu i delikatnymi rysami. - Będiesz Violą, nie ma dwóch zdań. Mistrz Szekspir miał rację, nazywając w ten sposób swoją bohaterkę, która występowała w przebraniu. Pożyczmy od niego imię, choćby tylko na krótko. - Ujął jej dłoń i skłonił się. - Witaj więc w Winteringham Priory, panno Violu.

Chciała odwzajemnić uśmiech, ale niezbyt jej się to udało, szybko też cofnęła rękę, jakby dotyk wicehrabiego ją zawstydził. Widząc, że przebiegł ją dreszcz, Marcus wziął szal od Felicity i okrył nim ramiona Violi.

- Dziękuję. Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za tę życzliwość.

-No cóż... - Wicehrabia się uśmiechnął. - Prawdę mówiąc, mieliśmy zamiar zostawić panią samą sobie na mrozie. Na ogół niezbyt przejmujemy się gośćmi, zwłaszcza jeśli mają kłopoty.

- Przestań, Marcusie - skwitowała ten niewczesny żart lady Elizabeth. - Nie zwracaj na niego uwagi, moja droga. Pamiętaj, że jesteś tutaj mile widzianym gościem i możesz u nas mieszkać, póki nie dowiemy się, co począć dalej.

Viola znów spróbowała się uśmiechnąć, ale jej lęk był widoczny, Marcus spróbował więc zatrzeć wrażenie wywołane swym nieszczęsnym żartem.

- Panno Violu, naprawdę nie ma powodu do niepokoju. Spotykałem się już z podobnymi przypadkami podczas wojny. Silne

uderzenie w głowę rzeczywiście może spowodować czasową utratę pamięci, ale potem na ogół pamięć wraca, czasem stopniowo, czasem w jednej chwili. Musi pani wypocząć. Zostanie pani u nas tak długo, jak będzie trzeba. Zgodnie z sugestią mojej matki postaramy się jak najszybciej czegoś o pani dowiedzieć.

- Nie wiem, jak mam dziękować. - Odstawiła na stolik prawie nietknięte wino. - Trochę boli mnie głowa. Jeśli państwo mi wybaczą, pójdę się położyć.

- Naturalnie - ze zrozumieniem powiedziała Elizabeth. -

Pani Neale przyniesie pani wszystko, co będzie potrzebne. Felicity, jeśli możesz, odprowadź pannę **Violę** do jej pokoju.

Kuzynka skłoniła głowę i robiąc dobrą minę do złej gry, ruszyła do drzwi, wskazując Violi, by szła za nią.

-I co, Marcusie? - spytała lady Elizabeth, gdy zostali sami. - Biedaczka, prawda? Jest zupełnie bezbronna w tej sytuacji.

Wzruszył ramionami i nalał wina do dwóch kieliszków. Jeden podał matce, po czym usiadł w drugim w fotelu.

- Najpewniej pamięć jej kiedyś wróci, trudno jednak odgadnąć, co ją mogło tak przerazić, że ścięła włosy i jak szalona pędziła samotnie po zmroku. Może jej lęk ma głębsze korzenie, może nie chodzi tylko o samą utratę pamięci. Musimy być bardzo ostrożni. Viola może nie chcieć, by ją znaleziono.

- Zgadzam się. - Felicity zdążyła wrócić do biblioteki w porę, by usłyszeć ostatnie zdanie Marcusa. - Panna, która nie wstydzi się ubrać

tak niestosownie i sama wyruszyć w drogę, może mieć naprawdę wiele do ukrycia. Nie mamy pojęcia, jakie winy mogą ją obciążać.

Elizabeth zauważyła wyzywające spojrzenie syna, szykującego się do ciętej riposty. Musiała przejąć inicjatywę, bo inaczej Felicity nadała się jeszcze bardziej i atmosfera stanie się zupełnie nie do zniesienia.

- Twój brak miłosierdzia wobec panny Violi nie przynosi ci chwały, Felicity - powiedziała spokojnie, lecz bardzo dobitnie. - To bardzo niefortunna postawa. Oczekuję, że będziesz odnosić się do niej z wzorową uprzejmością, póki nie dowiemy się, kim jest. Nie chciałabym usłyszeć, że w naszym domu obrażono gościa.

Felicity parsknęła przez mocno zaciśnięte wargi.

Rozdział piąty

Viola obudziła się następnego poranka z tą samą niewiedzą o swojej przeszłości, z jaką położyła się spać. W dodatku gdy służąca odciągnęła zasłonę łóżka, ogarnął ją nagły lęk. Zachowaj spokój, powiedziała sobie. Musisz się pogodzić z losem. Wszystko sobie przypomnisz, kiedy rana się zagoi. Tymczasem przynajmniej ból głowy ustąpił. Uśmiechnęła się do służącej i natychmiast poczuła się nieco lepiej.

- Milady przysłała panience nową suknię zamiast tej, którą panienska włożyła wczoraj. Może jest trochę za duża, ale na długość dobra. Milady już jej nie nosi, a szkoda byłoby zostawić ją na pastwę moli.

- Jacy tu wszyscy są dla mnie mili. Piękna suknia, dziękuję. Szybko wstała z łóżka, włożyła koszulkę i halki, na koniec zaś wdziała suknię, a służąca pomogła jej w sznurowaniu.

- No, gotowe. - Dziewczyna sprawnie zakończyła pracę. Granatowy adamaszek nie wyglądał wprawdzie jak uszyty na miarę, ale z grubsza pasował, akcentując wąską talię i zarys piersi Violi. Pełna spódnica wierzchnia w tym samym ciemnym odcieniu, podwinięta u dołu, odsłaniała drugą spódnice, misternie zdobioną na rąbku haftem przedstawiającym kwiaty i liście. Głęboki dekolt został nieco zmniejszony przez koronkowy kołnierzyk, zharmonizowany z koronkowymi zdobieniami rękawów. Viola westchnęła, tkanina była bowiem cudownie miękka w dotyku.

Stała przed lustrem i przesunęła dłońmi po brokatowych zdobieniach spódnicy. Widok ją zaskoczył. Wydawało jej się, że nigdy w życiu nie nosiła niczego równie eleganckiego, ale kobieta w lustrze sprawiała wrażenie całkiem nieznanym. Nagle zachnęła się, gdy jej wzrok przesunął się nieco wyżej. Włosy miała ścięte w barbarzyński sposób, a co gorsza były tak krótkie, że odsłaniały całą poznaczoną sińcami twarz. Zwłaszcza guz, który zniekształcał jej skroń, wyglądał okropnie, a należało się liczyć z jego obecnością jeszcze przez wiele dni.

Pochwyciła wzrok pokojówki i wzdrygnęła się, widząc litość w jej spojrzeniu.

- Wyglądam okropnie - szepnęła.

- Wcale nie, panienko. Wygląda panienka o wiele lepiej niż wczoraj, nie jest już taka blada. A włosy niedługo odrosną.

-Tak, oczywiście... Przynajmniej czesanie nie będzie mi zajmować dużo czasu. - Skrzywiła się, bo zawadziła grzebieniem o ranę. Co ją zmusiło do radykalnego skrócenia włosów? Była tym zaintrygowana, wiedziała jednak, że nie ma sensu snuć jałowych domysłów. Musiała zachowywać się praktycznie. Wyprostowała się więc i zerknęła na służącą.

- Możesz coś dla mnie zrobić?

- Jestem Bessie. Milady kazała mi zaopiekować się panienką. Co panienka poleci?

- Czy mogłabyś wyrównać mi włosy? Obciąłabyś te sterczące kosmyki.

- Z przyjemnością, panienko. Przyniosę nożyce od pani Neale.

Gdy po wyrównaniu włosów Bessie wprowadziła Violę do saloniku, lady Elizabeth siedziała w nasłonecznionej części, trzymając na kolanach zapomnianą robótkę. Felicity pilnie zajmowała się obok podobnym wzorem tkaniny na obicie krzesła. Na widok gościa lady Elizabeth z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Dzień dobry, panno Violu. Pięknie pani wygląda. Czy może pani wykonać obrót?

Spełniła to życzenie, ciesząc się szelestem adamaszkowych spódnic, sunących po wypastowanej dębowej posadzce.

- Brak mi słów. Nie zasługuję na to wszystko, co tu dostałam. Felicity dała znać nadąsaną miną, że podziela tę opinię, nie odezwała się jednak i tylko z coraz większym zapamiętaniem wbijała igłę w materiał.

- Niedorzeczność, moja droga. Posiedź tu ze mną i zabaw mnie trochę.

Viola zachwyciła się haftami lady Elizabeth.

- Pięknie pani wychodzą takie równiutkie ściegi.

- Powinno być lepiej, niestety obrzmiałe palce nie chcą mnie słuchać. Umiesz szyć?

- Tak, naturalnie. Pamiętam... - Urwała skonsternowana.

- No widzisz. Wiedziałam, że pamięć wróci, jeśli tylko przestaniesz o tym myśleć. Przypuszczam, że nauczyła cię matka.

- Możliwe. W każdym razie wiem na pewno, że haftowałam, nawet pamiętam wzory. Jeden był bardzo podobny do tego, który

wyszywa panna Felicity, też kwiaty i liście, tylko w ciemniejszych odcieniach zieleni. Nie jestem jednak przekonana, czy lubiłam to zajęcie. - Na wargach zaigrał jej nikły uśmiech. - Zdaje mi się, że robiłam to z musu.

- To doprawdy zadziwiające, jak wraca ci pamięć. - Ton głosu Felicity nie pozostawiał wątpliwości co do jej uczuć.

W pokoju na długą chwilę zapadło milczenie.

- Nie życzę takiej sytuacji nikomu - w końcu cicho powiedziała Viola.

Elizabeth z dużym ukontentowaniem stwierdziła, że młoda kobieta nie kładzie uszu po sobie, słysząc uszczypliwe uwagi Felicity.

- Może przyniesiesz nam wina, Felicity?

- Naturalnie, droga Elizabeth. - Mimo tonu pełnego słodczy kuzynka w drodze do drzwi nie omieszkała przesłać Violi karcącego spojrzenia.

- Powiedziała pani, że zamieszkała tu ponownie dopiero niedawno... - Viola uznała, że bezpieczniej będzie zmienić kierunek rozmowy.

- To zawiła historia. - Elizabeth z ulgą zgodziła się na neutralny temat. - Kiedyś mieszkaliśmy w Glasbury Old Hall. Pewnie tego nie wiesz, ale ta posiadłość leży niedaleko stąd. Przeniosłam się tam jako młoda kobieta, zaraz po ślubie. W czasie wojny dwór został zniszczony, więc przeprowadziliśmy się tutaj.

- Nigdy tam pani nie jeździ?

- To byłoby bardzo przykre. Zbyt wiele złych wspomnień łączy się z tym miejscem.

- A dlaczego nie została tu pani na stałe?

- Powiedziała ci, że historia jest zawiła. Priory wpadło w nasze ręce po oblężeniu i ucieczce dawnych mieszkańców, więc gdy utraciliśmy własny dom, mogliśmy się tu przeprowadzić. Po 1649 roku znaleźliśmy się jednak po złej stronie, król został stracony, więc majątek skonfiskował parlament i przeznaczył czynsze na własne potrzeby. W ten sposób straciliśmy kolejną posiadłość. Myślę, że dlatego mój mąż odszedł z tego świata. Zamieszkaliśmy w Londynie, w domu, który wniosłam do małżeństwa jako posag, a tutaj dwór stał pusty. Mieszkała w nim tylko zdziwaczała stara kobieta, która opiekowała się posiadłością, mając do pomocy naszego rządcę, Verzonsa, i panią Neale. Po restauracji monarchii mój syn wystąpił o pozwolenie na powrót do Priory i uzyskał zgodę króla. Dzięki temu wróciliśmy, aczkolwiek nie jest to budująca opowieść.

- A ta kobieta, która opiekowała się posiadłością? Co się z nią stało?

- Nie została tutaj. I wcale jej o to nie winię. Przepelniał ją jad.

Wróciła Felicity, a za nią Verzons, niosący tacę. Nalał wina, podał kieliszki i ustawił stół przy fotelu lady Elizabeth. Viola z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że rządcę przygląda jej się z wielką uwagą, gdy jednak pochwyciła jego wzrok, szybko spuścił głowę i znów stał się jedynie sługą. Mimo to Viola popadła w zakłopotanie. To spojrzenie musiało coś znaczyć.

Elizabeth sięgnęła po wino, ale smukła nóżka kieliszka wyslizgnęła się z obrzmiałych palców i naczynie z trzaskiem rozbiło się o podłogę. Na podłodze rozlała się czerwona kałuża.

Elizabeth jęknęła, a Felicity natychmiast zerwała się, żeby posprzątać.

- Jaka jestem niezdarna - powiedziała zmartwiona Elizabeth. - Są takie dni, że doprawdy trudno to znieść.

Viola z przerażeniem dostrzegła w jej oczach łzy, powstrzymane jedynie siłą woli.

- Czy to podagra tak się daje milady we znaki?

- Tak. Od niedawna bóle bardzo się nasiliły, bez wątpienia za sprawą chłodu i wilgoci.

- Zdaje mi się, że mogłabym pomóc, gdyby milady pozwoliła mi spróbować.

- Szczerze wątpię - wtrąciła Felicity, wciąż klęcząca nad kałużą wina i odłamkami szkła. - Lady Elizabeth cierpi od wielu lat i nikt nie umie jej pomóc. Pozostaje tylko modlić się o ulgę.

- Znam sposób, by ulżyć cierpieniom.

- Naprawdę? - Nadzieja w głosie lady Elizabeth była poruszająca.

- Tak, bo... - Zawahała się i zmarszczyła czoło, jakby powód, który miała przedstawić, nagle wyleciał jej z głowy. - Nie wiem skąd, ale jestem pewna, że umiem zmniejszyć opuchliznę i nieco uciszyć ból. Ktoś musiał mnie tego nauczyć. Pamiętam różne recepty na maści i balsamy, a także na napar przeciwbólowy. - Viola zaczerpnęła

tchu. - Dlaczego potrafię sobie przypomnieć takie szczegóły, a nie znam swojego imienia?

- Nie wiem, ale czy mogłabyś sporządzić dla mnie taki napar? Sądysz, że ból mógłby ustąpić?

- Na pewno zelżeć. Naprawdę chcesz, milady, abym spróbowała?

- Och tak. Czego potrzebujesz?

- Ziół. O tej porze roku nie ma świeżych liści, więc muszą być suszone. Przyrządzenie naparu nie będzie trudne.

- A co będzie, jeśli pamięć ją zawiedzie, droga Elizabeth? - spytała tonem przestrogi Felicity. - Jej zioła mogą wywołać trudne do przewidzenia następstwa. Zatrujesz się i nie będziemy wiedzieli, jak cię ratować. Jeśli o mnie chodzi, zdecydowanie odwodzę cię od tego pomysłu. - Spojrzenie przesłane Violi było pełne nieukrywanej nienawiści.

- Felicity, doceniam twoją troskę i szlachetne pobudki, ale są takie dni, że wzięłabym lekarstwo od samego diabła, gdyby choć tylko trochę miało mi pomóc.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek usłyszę z twoich ust takie bluźnierstwo, najdroższa kuzynko!

- To nie bluźnierstwo. - Lady Elizabeth zachowała spokój, chociaż w jej oczach pojawił się groźny błysk. - To desperacja. Nic mi nie pomaga i może Viola jest odpowiedzią na nasze modlitwy.

- Tego nie wiem, ale wykorzystam całą posiadaną wiedzę. Czy jest tu spiżarnia? Zakładam, że znajdzie się również jakiś ogródek kuchenny.

- Owszem, tylko bardzo zaniedbany, ale możesz z niego korzystać bez ograniczeń. - Lady Elizabeth zerknęła na obrzmiałe, poczerwieniałe stawy, po czym szybko ukryła dłonie w fałdach spódnicy. - Nawet jeśli zdołasz zmniejszyć ból tylko trochę, i tak będę ci wdzięczna na wieki. Zwykła próżność też jest nie bez znaczenia. Kiedyś miałam bardzo ładne dłonie - dodała ze smutnym uśmiechem.

Po jakimś czasie wicehrabia Marlbrooke odnalazł Violę w pełnej kurzu spiżarni. Piękną nową suknię miała okrytą największym fartuchem pani Neale. W pomieszczeniu rozpalono ogień w kominku i otwarto okienko, aby wpuścić jak najwięcej światła. Różne garnki, słoiczki, łyżki i talerzyki, pożyczone z kuchni, zapełniały ławę, a na ogniu bulgotała ciecz w kociołku. Obolały nadgarstek utrudniał Violi posługiwanie się moździerzem, lecz mimo to jakoś sobie radziła.

Marcus obserwował przez chwilę jej skupione ruchy. Jego obecność została w końcu dostrzeżona, bo Viola wyraźnie się usztywniła, przerwała na moment swoje zabiegi i z niepokojem odwróciła głowę. Rozpoznawszy, kto zacz, wnet jednak się uspokoiła.

- Przepraszam, milordzie, ja tylko...

- Dlaczego pani przeprasza? Nie zamierzałem pani przestraszyć.

- Postąpił ku niej.

- To nie pan. Miałam takie wrażenie, jakby ktoś stał za moimi plecami. Już mi się tutaj to zdarzyło kilka razy, ale może po prostu źle się czuję w ciasnym pomieszczeniu. Dlatego zostawiłam uchylone drzwi.

- Ciasnota nie jest bez znaczenia. - Wziął z ławy wiązkę ziół i wciągnął w nozdrza wyrazisty zapach. - Dzięki pani moja matka pierwszy raz od wielu miesięcy, a może nawet lat pozwoliła sobie na nadzieję. Czy te zioła pomogą?

- Tak.

- To byłaby prawdziwa ulga i dla niej, i dla mnie. Ona sądzi, że jest dla mnie wielkim ciężarem, a ja nie umiem jej wytłumaczyć, że się myli. Gdyby ból nie był taki dokuczliwy, mogłaby wreszcie spokojnie spać i zająć się tym, co kiedyś lubiła, a to podniosłoby ją na duchu. Poza tym źle znosi zależność od Felicity.

- Zapewniam, że zmniejszenie bólu będzie odczuwalne. - Viola uśmiechnęła się z zakłopotaniem, w niewielkim pomieszczeniu znaleźli się bowiem bardzo blisko siebie, ale na szczęście Marlbrooke zdawał się nie zwracać na to uwagi.

- Pani jest bardzo pewna siebie. Co to takiego?

- Kora wierzby. Łatwa do zdobycia. Pani Neale posłała po nią stajennego. Jeśli zaparzyć ją w gorącej wodzie i dać napar do picia... Och, zanudzę pana szczegółami. - Roześmiała się, widząc jego minę.

Marlbrooke nie pozostał jednak obojętny na radosne błyski w jej oczach z odcieniem fiołkowym. Na chwilę zapomniał o wszystkich

kłopotach, zajęty myślą, że miło byłoby dotknąć jej włosów, które mimo że krótko przycięte, zaczynały już się wić na wysokości ucha.

Na wszelki wypadek schował ręce do kieszeni.

- No, gotowe. - Zdjęła kociołek z ognia. - Czy milord może zanieść to matce? Gdy zacznie popijać napar, wkrótce odczuje ulgę.

- Naturalnie. Co pani teraz robi?

- Maść do nacierania obolałych stawów. Niestety brak najlepszych składników, takich jak dzięgiel albo tawuła, ale tymianek też skutecznie działa, a jest go pod dostatkiem. Pański ogródek kuchenny zarosły chwasty, jest w opłakanym stanie, ale różne zioła można tam jeszcze znaleźć.

Przyjął krytyczną uwagę z uśmiechem, potem powąchał zawartość słoiczka i dość nieufnie przyjrzał się temu, co wypełniało miskę.

- Jeśli lady Elizabeth rzeczywiście poczuje się lepiej, będę pani dłużnikiem do końca życia.

Odłożyła nagle wiązkę suszonego tymianku, wyraźnie czymś przejęta.

- Co się stało?

- Czy mogłam pana zdaniem pracować w kuchni? Wydaje mi się, że znam się na tym. I czuję się znajomo w spizarni.

- Niemożliwe!

- Dlaczego? Skąd ta pewność?

Ujął ją za ręce i zanim zdążyła zaprotestować, odwrócił je dłońmi do góry.

- Stąd. - Poglaskał kciukiem wewnątrz dłoni, a potem smukłe palce. - Nie pracowała pani w kuchni. Nie ma śladów oparzeń, skaleczeń, odcisków. Czy to panią martwi?

- Tak... Nie... Nie wiem. Gdybym była pomocą kuchenną, nie dziwiłoby, że nikt mnie nie szuka. Ale taka pustka w głowie jest straszna... Czy wyobraża pan sobie, jak czuje się człowiek, który patrzy w lustro i nie poznaje własnej twarzy?

Nie wiedział, jak jej pomóc, choć bardzo tego pragnął, więc po prostu uniósł jej dłoń do warg i delikatnie pocałował.

- Może pani istotnie jest darem zesłanym przez Boga, Violu - powiedział.

Pokręciła głową, świadoma ciepła, jakie pozostało na wierzchu jej dłoni w miejscu, którego dotknęły usta Marlbrooke'a.

- Nie sędzę, ale cieszyłabym się, gdybym mogła odwdziaczyć się lady Elizabeth za jej szczodrość i dobroć. - Usiłowała cofnąć rękę, lecz bez powodzenia.

- Jej pokłady współczucia są istotnie nieprzebrane. - Nagle spochmurniał. - Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że z takimi umiejętnościami jak pani można zostać oskarżoną o czary? W obecnym klimacie politycznym trzeba bardzo z tym uważać. Zatem zasługuje pani na więcej, niż tylko moje podziękowania. - W skupieniu czekał na odpowiedź.

- Nie pomyślałam o takiej interpretacji. - Szerzej otworzyła oczy, ale nie było w nich lęku, a jej głos brzmiał spokojnie.

- Nie wiem, skąd mam te umiejętności i jak je zdobyłam, ale założyłabym się, że nie od czarownicy! Zresztą nie mam zamiaru nikogo krzywdzić. - Spuściła wzrok. - A w ogóle to ja powinnam dziękować, bo mam u pana wielki dług wdzięczności. - I nagle wyrwało jej się to, co dręczyło ją najbardziej.

- A co będzie, jeśli nikt nie zacznie mnie szukać i nigdy się nie dowiem, kim jestem? Co wtedy zrobię?

- No, wtedy... - Zawahał się, ale tylko chwilę, po czym, nie zważając na konsekwencje, oświadczył: - Wtedy będę musiał sam się o panią zatroszczyć.

Na znak pożegnania mocniej zacisnął palce na jej dłoni, wziął stygnący kociołek z naparem i wyszedł.

Wróciła zimowa pogoda, wiały silne wiatry i padały deszcze, więc mieszkańcy Winteringham Priory woleli pozostawać w czterech ścianach. Dla Violi był to czas głębokiego zawodu i wielkich niepokojów. Przeszłość nie chciała do niej wrócić, za to ni stąd, ni zowąd nachodziły ją ataki lęku, które musiała ukrywać przed troskliwymi gospodarzami.

Jej krewni najwyraźniej nie przedsięwzięli żadnych poszukiwań. Mimo że wicehrabia Marlbrooke rozpuścił wieści, do Winteringham Priory nie dotarła żadna wiadomość. Naturalnie były też i powody do radości. Jej garderoba powiększała się, lady Elizabeth czerpała bowiem przyjemność z ofiarowywania jej sukien, podobno znacznie stosowniejszych dla młodej panny niż dojrzałej damy. Viola weszła

więc w posiadanie zdobionych wstążkami i koronkami atłasów i aksamitów, które cieszyły jej wzrok i dotyk.

Felicity nadal odnosiła się do niej z wielką podejrzliwością i nie skąpiła jej złośliwości, na otwartą wrogość nie mogła sobie jednak pozwolić, za bardzo zależało jej bowiem na przychylności lady Elizabeth. Także Verzons dyskretnie obserwował dziwnego gościa. Wprawdzie bardzo dbał o nienaganne maniery, ale Viola nieraz czuła na sobie jego wzrok.

Lady Elizabeth nie dawała się pokonać słońcu i niezmiennie przejawiała wielki hart ducha, tym bardziej że codzienne porcje naparu z wierzbowej kory powoli zaczynały przynosić efekty. Początkowo obawiała się wprawdzie, że dzieje się tak na skutek sugestii, lecz z czasem przekonała się, że jest inaczej. Łatwiej było jej chodzić, wreszcie mogła sama wyszczotkować sobie włosy, a oleista, wonna maść, którą Viola delikatnie nacierała jej obrzmiałe palce, także przynosiła ulgę. Lady Elizabeth pozwoliła sobie nawet na cichą nadzieję, że jej dłonie zaczynają wyglądać nieco lepiej.

Co jednak najważniejsze, wreszcie spokojnie mogła zasnąć, pierwszy raz od wielu miesięcy. Nic dziwnego, że łatwiej jej było teraz cieszyć się życiem. Dręczyła ją jednak pewna zadra, nieraz miała bowiem wrażenie, że jest obserwowana przez jakąś istotę pogrążoną w rozpacz. Mówiła sobie, że jest to wytwór wyobraźni i starała się o tym nie myśleć, nie wspomniała też o swoich obawach nikomu, lecz sprawa ta mocno ją absorbowwała. Dlatego umknęły jej uwadze poufne rozmowy pani Neale z Verzonsem, dotyczące pewnej

osoby, której obecność w Winteringham Priory jest wielce niepożądana.

Marcus natomiast coraz bardziej uświadamiał sobie niebezpieczeństwa, związane z wpatrywaniem się w niebieskie oczy o zadziwiającym fiołkowym odcieniu.

Czwartego dnia fatalnej pogody, gdy grad bębnił o szyby i niszczył wszystko, co zwiedzone obietnicą wiosny zdążyło wyrosnąć, Marlbrooke zorganizował domownikom rozrywkę. Wszyscy zebrali się na piętrze w długiej galerii, którą dla zmniejszenia przeciągów zastawiono parawanami. Na stolikach pojawiły się szachy, warcaby, talia kart, udało się też namówić Felicity, żeby zaśpiewała kilka pieśni i madrygałów, akompaniując sobie na szpincie, co wykonała z wielką swadą.

Viola siedziała w milczeniu, nie przyłączyła się nawet do śpiewanej przez wszystkich popularnej ballady.

- Nie lubi pani muzyki, panno Violu? - spytała słodko Felicity.

- Lubię, obawiam się jednak, że brak mi umiejętności w tym względzie. Nie znam ani tej melodii, ani słów.

- Czyżbyś nie śpiewała jako dziecko, moja miła? - zdziwiła się lady Elizabeth.

- Śpiewałam na pewno. Znam hymny.

- Och, to niewątpliwie była rodzina purytańska. - Marlbrooke przyjrzał jej się z uwagą. - Obawiam się, panno Violu, że sprowadzamy panią na złą drogę. Jeszcze trochę i pani surowi, przejęci bojaźnią bożą rodzice wystawią nam słony rachunek. - Wcześniej

okazało się, że Viola umie grać w warcaby, ale nie w karty, Marlbrooke nauczył ją więc grać w primero i pikietę.

- Co do mojej rodziny pewnie ma pan rację. Wiem, że nie było w domu instrumentów muzycznych. I nigdy nie grałam na szpincie, za to mam dużą wprawę w soleniu ryb i marynowaniu grzybów.

- Ja z kolei tego nie potrafię i na szpincie też grać nie umiem, więc wygląda na to, że jesteśmy kwita.

- Chyba nie! Pewne umiejętności są bardziej przydatne od innych. Jak żylibyśmy bez solonych ryb?

- Mogłabym łatwo się bez nich obyć, ale pani Neale bardzo je lubi - włączyła się do rozmowy lady Elizabeth.

Viola głośno się roześmiała, pierwszy raz odkąd znalazła się w Winteringham Priory. Oczy jej zabłysły, na twarz wystąpiły urocze rumieńce. Marcus był wprost oczarowany tym niespodziewanym wybuchem wesołości panny, która zwykle zachowywała niewzruszoną powagę.

- Chciałaby pani nauczyć się grać na lutni? W tej dziedzinie mogę się pochwalić pewnymi umiejętnościami. - Wyobraził sobie jej zgrabne palce przebiegające po strunach i smukłą szyję, która byłaby wyeksponowana podczas gry.

- Chętnie spróbuję. Przypuszczam, że sprawi mi to więcej radości niż skubanie i patroszenie kurczaka.

- Będę więc dawał pani lekcje, jednakże tylko pod warunkiem, że nie zostanę w zamian przymuszony do lekcji patroszenia kurczaka.

- Zgadzam się. - Uśmiech Violi zniewolił Marlbrooke'a ostatecznie.

- A więc sprawę edukacji muzycznej mamy załatwioną. - Wstał z fotela. - Czy umie pani tańczyć? Powinna pani wiedzieć, że moja matka jest wyśmienitą tancerką. - Podszedł do niej i skłonił się z galanterią. - A ponieważ czuje się ostatnio znacznie lepiej, więc może zechce pokazać, co potrafi.

- Nie dam rady, Marcusie. Nie tańczyłam od lat i nie mam na to ochoty. - Jej oczy mówiły jednak zupełnie co innego. - Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

- Jestem przekonana, że byłoby bardzo nierozsądnie ze strony drogiej Elizabeth tak się forsować. - Felicity przesłała wicehrabiemu karcące spojrzenie, zatrzymawszy dłonie nad klawiaturą szpinetu. - Dobrze wiesz, milordzie, że to może spowodować powrót bólu, który wyłączy drogą Elizabeth z życia na wiele dni. Wprawdzie zawsze chętnie jej towarzyszę...

- O niczym takim nie wiem. - Spojrzał groźnie na Felicity, potem zwrócił się do matki. - Widzę, że ostatnio poruszasz się z o wiele większą łatwością. Z pewnością możesz zatańczyć ze mną pawanę. Zagraj coś wolnego i dostojnego, Felicity, jeśli łaska.

Elizabeth z błyskiem w oczach pozwoliła, aby syn pomógł jej wstać. Kroki naturalnie doskonale pamiętała i okazało się, że może je wykonać prawie bezboleśnie. Nie zdołałaby już przetańczyć całej nocy, ale ta chwila odzyskanej przyjemności była bezcenna. Wkrótce

dygnęła z wdziękiem przed wicehrabią i wróciła na swój fotel, a Viola podała jej kieliszek wina.

- Bardzo dobrze wpływasz na mój nastrój, Marcusie. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek... - Głos jej się lekko załamał. Pokręciła głową i wyjęła chusteczkę do nosa, dając synowi znak, aby odszedł. - Teraz muszę trochę odpocząć.

Marcus skłonił się przed nią elegancko i by dać jej czas na pokonanie wzruszenia, zwrócił się z szelmowskim uśmiechem ku Violi.

- Teraz pani kolej.

- Nie mogę pokazywać publicznie swojej ignorancji!

- To jest miejsce prywatne. Jeśli ja zaryzykowałem zadyszkę, to i pani może się zdobyć na odrobinę poświęcenia.

- Wstydź się, Marcusie - zbeształa go matka. - Jeśli Viola pochodzi z purytańskiej rodziny, to na pewno nie będzie tańczyć.

- Zaradzimy temu.

Ku zadowoleniu lady Elizabeth, gdy Marcus zachęcająco wyciągnął ramię, Viola nie była w stanie oprzeć się zaproszeniu.

- Sądzę, że rzeczywiście możesz spróbować, moje dziecko. -I dodała z szelmowskim uśmiechem: - Jeśli masz na to ochotę, ukarż go za arogancję i solidnie podepcz mu nogi.

- Obawiam się, że niezależnie od moich intencji nogi milorda i tak ucierpią, ale chcę spróbować. - Viola zajęła miejsce obok wicehrabiego w oczekiwaniu na instrukcje.

- Dobrze więc. Niech pani stanie tutaj. Wyciągnie rękę, o tak. Dygnie... znakomicie. Tylko dlaczego tak sztywno... Przecież nie idzie pani na szafot. Po prostu proszę robić to, co powiem.

Raz jeszcze w galerii rozbrzmiały dźwięki pawany, a przodkowie poprzednich właścicieli w milczeniu przyglądali się lekcji tańca, wyglądając ze złotych ram. Viola z całą mocą skupiła się na skomplikowanych krokach i poddała się wprawnemu prowadzeniu wicehrabiego. Miała naturalny wdzięk i szybko się uczyła, więc wkrótce dorównywała już Marcusowi pewnością siebie, choć jego tanecznej gracji jeszcze nie osiągnęła.

- Kiedy uda się już pani zapomnieć podczas tańca o swoich nogach, to warto czasem wymienić spojrzenie z partnerem powiedział w pewnej chwili z lekką ironią. - Co więcej, można nawet pozwolić sobie na konwersację.

- Pragnę zauważyć - odparła Viola, zamiatając srebrzystymi spódnicami posadzkę podczas obrotu - że gdybym sobie na to pozwoliła, zostałby pan kaleką.

- Zaryzykuję, proszę na mnie spojrzeć. O, doskonale, choć trochę za krótko.

Viola wybuchnęła śmiechem, zadowolona z pochwały, choć bliskość wicehrabiego bardzo ją onieśmielała. Mimo że zachowywał się z wielką rezerwą, wręcz bezosobowo, jak prawdziwy nauczyciel tańca, to dotyk jego dłoni czy ramienia otaczającego jej talię, wprawiał ją w zakłopotanie. Starła się koncentrować na jego słowach i nie myśleć o przyspieszonym oddechu i mocno bijącym sercu.

Musiała jednak przyznać, że wicehrabia jest niezwykle przystojny. Jak mogła trwać w skupieniu, kiedy ktoś tak wspaniały znajdował się tuż przy niej?

Powtórzyli całą sekwencję kroków wiele razy, zanim Marlbrooke uznał postępy Violi za zadowalające. Gdy zatrzymali się przy końcu galerii, skłonił się przed nią i pocałował ją w rękę.

- Uważa pan taniec za coś grzesznego? - Na czole Violi pojawiło się zakłopotanie. - Bo ja mam poczucie, że powinnam tak uważać.

- A czy taniec sprawił pani przyjemność? - zareagował na jej śmiertelną powagę Marlbrooke.

-Tak.

- No właśnie. I zanim zacznie pani drażnić temat, muszę zaznaczyć, że nie jestem przygotowany do spierania się z poglądem, potępiającym wszelkie przyjemności i uznającym je za efekt diabelskiej intrygi, mającej skłonić nas do zła. Z pewnością w tym przypadku nie ma on zastosowania.

Viola parsknęła śmiechem, zachwycona przenikliwością wicehrabiego, który odgadł jej zamiar.

- Jeśli jednak mamy mówić poważnie - dodał, korzystając z tego, że znaleźli się z dala od reszty towarzystwa - muszę wyrazić pani moją bezgraniczną wdzięczność. Dar, jaki otrzymała od pani moja matka, jest nie do przecenienia.

- Och, milordzie, po prostu okazało się, że mogę jej pomóc. To i tak mało, aby odwdzińczyć się za troskę i wielkoduszność, jakich tu

doznałam. Latem, gdy jest więcej ziół, efekt kuracji powinien być jeszcze lepszy.

Uśmiechnął się do niej.

- Zasinienie powoli schodzi pani z twarzy. - Ostrożnie przesunął palcem po jej skroni i natychmiast zrozumiał, że nie powinien tego robić. Znieruchomiał.

Viola wstrzymała oddech. Marlbrooke był blisko, tak blisko. Przez jedną oszłamiającą chwilę zdawało jej się, że ją pocałuje... miała nadzieję, że tak zrobi. Przyglądał jej się w wielkim skupieniu, a ona nie była w stanie odwrócić wzroku, jakby nagle powstała między nimi czarodziejska więź.

Marcus gwałtownie cofnął się i opuścił ramiona.

- Proszę mi wybaczyć. Pozwalam sobie na zbyt wiele - powiedział cicho, z niezwykłą jak na siebie szorstkością. Obrócił się na pięcie, by odprowadzić Violę w drugi koniec galerii, ale nie podał jej ramienia. Ruszyła więc za nim, zdezorientowana tą nagłą rejteradą. Naprawdę chciała, żeby ją pocałował, a on tymczasem zawiódł jej oczekiwania. Najwidoczniej źle odczytała jego intencje. Ale jesteś niemądra, skarciła się w duchu.

Tymczasem Marlbrooke próbował się opanować. Przed chwilą czuł przecież jej drzenie, marzył o tym pocałunku i tak pięknie go sobie wyobrażał. Niestety w żadnym wypadku nie mógł sobie na niego pozwolić. Miał obowiązki wobec przebywającej daleko narzeczonej, nawet jeśli ta panna, zupełnie bezbronna i zdana na łaskę obcych, mieszkała pod jego dachem.

Wkrótce znowu usiedli przy lady Elizabeth i zaczęli prowadzić niezobowiązującą konwersację, choć w jej oczach dało się wyczytać pewne zatroskanie. To nie jest rozsądne, myślała pełna obaw zacna matrona. Taka młoda kobieta w tarapatach, nieświadoma swojego czaru, łatwo mogła obudzić w dżentelmenie rycerską naturę. Wdzięku zaś Violi nie można było odmówić. I te oczy, którym nie sposób się oprzeć. Lady Elizabeth westchnęła. Prawdę mówiąc, bardzo współczuła narzeczonej syna, nieznannej Katherine, która w porównaniu z tą roześmianą panną musiała wydawać się nudna. To nie wygląda dobrze, myślała z troską. Viola, choć zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy, była na najlepszej drodze do zawojowania uczuć jej znanego ze zmienności upodobań syna.

Rozdział szósty

- Dzień dobry, Verzons. Jak miło znowu ujrzeć słońce. Myślę, że po południu wyjdę na spacer do ogrodu.

- Oczywiście, milady. - Rządca skłonił się i postawił talerzyk ze słodyczami na stołeczku przy fotelu Elizabeth. - Miło jest widzieć, że milady może skorzystać z dobrodziejstw ładnej pogody.

Damy siedziały w salonie od frontu nie tylko dlatego, że było tu słonecznie, lecz również ze względu na miły widok całych połaci przebiśniegów, które wyrosły pod rzędem buków wzdłuż podjazdu.

- Pani Neale pyta, czy życzy pani sobie zacząć spisywanie obrusów i pościeli. Jej zdaniem duża część jest tak zniszczona, że nie nadaje się już do cerowania.

- Naturalnie. Wiosna to dobra okazja do robienia porządków w różnych zakamarkach. Verzons, proszę powiedzieć pani Neale, że przyjdę porozmawiać z nią na ten temat mniej więcej za godzinę. Czy jego lordowska mość poszedł do stajni? O ile wiem, zamierza sprawdzić, czy w lesie po burzy są powalone drzewa do pocięcia.

- Wydaje mi się, że tak, milady. Pan przysłał lokaja z listem do panny Violi. - Skłonił głowę w jej kierunku.

- Do mnie? - Viola raptownie podniosła głowę znad książki o ziołach.

- Znalazł się pani koń, panno Violu. Dobiegł do majątku za wsią. Pan Stamford, jak wszyscy w okolicy, był powiadomiony przez

milorda, zwrócił więc konia z jukami, zdaje się, że w nietkniętym stanie. Zaniósłem je do pani pokoju.

- Juki! Może w środku... - Spojrzała z podnieceniem na lady Elizabeth.

- Idź, idź, moja miła. Sprawdź, jakie skarby tam znajdziesz. - Gdy Viola zerwała się z fotela, lady Elizabeth przytrzymała ją za rękę. - Licz się jednak z rozczarowaniem. Być może w jukach nie ma niczego wartościowego... zwłaszcza niczego, co pomogłoby ci odzyskać pamięć.

- Naturalnie. - Uśmiechnęła się. - Ale muszę się dowiedzieć, co tam jest.

Niemal pobiegła do sypialni. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami, żeby wyrównać oddech. Serce biło jej jak szalone, gdy zatrzymała wzrok na zniszczonych skórzanych jukach.

Po chwili położyła je na łóżku. Nie były zbyt ciężkie. Drżącymi palcami rozwiązała rzemyki i odchyliła klapę pierwszej torby. Wyjęła stamtąd kilka zrolowanych i pogniecionych sztuk odzieży, zawilgoconych i wydzielających zapach pleśni. Zupełnie ich nie pamiętała i za nic nie włożyłaby na siebie. Zwykła, pozbawiona ozdób dwuczęściowa suknia z ciemnogrnatowego wełnianego sukna. Do tego płócienna koszulka i pończochy. Pokręciła głową. Nie było to nic godnego uwagi. Takie rzeczy mogły należeć do każdego. Na dnie znalazła parę trzewików z czarnej skóry, ozdobionych srebrnymi klamrami. Z nich mogła mieć przynajmniej korzyść, bo jeśli były jej własnością, nie musiała się obawiać, że nosząc je, nabawi się

pęcherzy. Otworzyła drugą torbę i jęknęła z zawodu. Pajda chleba, twardego jak kamień, zbrązowiałe, poobijane jabłko. Usiadła na krawędzi łóżka, starając się nie poddać uczuciu kompletnego zawodu.

Trudno, musiała cieszyć się tym, co ma. Zsunęła pantofle, pozyczone jej nie bez fałszywej życzliwości przez Felicity, i wzięła odzyskaną parę trzewików. Przypuszczała, że będą pasować. Prawy istotnie ułożył się na nodze wręcz idealnie i niewątpliwie stanowił jej własność. Potem przyszła kolej na lewy. Au! Ten nie dał się włożyć. Odwróciła go i wytrząsnęła na łóżko małe zawiniątko.

Niecierpliwie rozwinęła płótno i odkryła nieduże puzderko. Otworzyła je. Wewnątrz na aksamitnej poduszeczce leżał pierścionek. Nieduże szafiry i perły układały się w kwiat, osadzony na złotej obrączce.

Podeszła do okna, by dokładnie obejrzeć znalezisko. Szlifowane niebieskie kamienie załamywały światło, mleczne perły połyskiwały. Pierścionek na jej palcu prezentował się wyjątkowo ładnie. Czyżby i on należał do niej? Czy to możliwe, że nosiła tak piękne klejnoty? Może to była pamiątka rodzinna, którą otrzymała jako najstarsza córka? W każdym razie musiała cenić sobie ten pierścionek, jeśli ukryła go w trzewiku i zabrała w drogę, wbrew wszelkim niebezpieczeństwom. Czemu nie zostawiła go w domu? Poza tym, jeśli posiadała tak wartościowy przedmiot, czy nie dowodziło to, że miała troskliwą rodzinę, która niepokoi się jej nieobecnością?

Zajęta podziwianiem kunsztu jubilera, zwróciła jednak uwagę na tętent kopyt. Zerknęła przez okno. Ciemnowłose, barczysty

jeździec, dosiadający rasowego ogiera, oddalił się galopem w stronę głównej bramy. Raz jeszcze zerknęła na szafiry, a potem na szybko malejącą sylwetkę jeźdźca.

I nagle jakby otworzyły się przed nią drzwi do zalanego światłem pokoju. Cała przeszłość wróciła do niej w jednej chwili. Już wiedziała, jak się nazywa. I gdzie spędziła dzieciństwo. I co skłoniło ją do przebrania się w chłopięcy strój i ścięcia włosów. W pierwszym odruchu poczuła ulgę, wnet jednak jej miejsce zajęły złość i niedowierzanie. Oto znajdowała się w Winteringham Priory, chociaż wcześniej nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego faktu. A mężczyzną, który właśnie odjechał, był nie kto inny, jak Marcus Oxenden, wicehrabia Marlbrooke. Bezsilnie usiadła na podłodze pod oknem i zsunęła pierścionek z palca. Nie czas na emocje, powiedziała sobie. Musi dokładnie wszystko przemyśleć, ogarnąć nową sytuację, w jakiej się znalazła.

Ponieważ wróciła jej pamięć, sięgnęła do juków po płócienną koszulkę. Potrząsnąwszy nią, odnalazła kartkę, którą wcześniej tam ukryła.

Czekała na niego, kiedy wrócił ze stajni. Wiedziała, że najłatwiej spotkać go w bibliotece. Gdy wszedł, siedziała na ławie pod oknem i wpatrywała się w drzewa za oknem. Podobała mu się w różowej aksamitnej sukni z koronkowym kołnierzykiem i takim samym wykończeniem bufiastych rękawów, na de półek z oprawnymi w skórę woluminami, zdobnymi w złote napisy. Słońce otaczało jej głowę nimbem. Uśmiechnął się, wbrew głosowi rozsądku uradowany

tym spotkaniem. Nic nie wróżyło burzy, która miała zaraz się rozszaleć.

- Czekala pani na mnie, Violu?

Wstala i obrócila się ku niemu. Od wielu godzin przygotowywała się do tej chwili, podsycala w sobie gniew. Wyraz jej oczu zaskoczył go do tego stopnia, że opuścił rękę, wyciągniętą na powitanie.

- Co się stało? - zafrasował się.

- Przypomniałam sobie! Wszystko! Jak się nazywam, skąd pochodzę, dokąd jechałam. I ciebie też pamiętam, milordzie. Jest pan moim wrogiem, lordem Marlbrooke'em.

Wyminęła go i zamiatając spódnicami dębową posadzkę, stanęła przy biurku, wzięła do ręki oklejone aksamitem puzderko i wyciągnęła je ku niemu. Natychmiast odgadł, co to jest. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wziął je i otworzył. Zerknął na pierścionek, a potem na stojącą przed nim pannę.

- No właśnie. - Wyczytała z jego oczu, że ją poznaje. - Jestem Katherine Harley! Pańska narzeczona! I przyszła żona! A pan nawet mnie nie poznał! - Roześmiała się ponuro. - Nawet nie skojarzył pan twarzy. - Wróciła do okna i znów zajęła się kontemplowaniem krajobrazu.

- Na to wygląda. - Jak mógł zaprzeczyć? Było mu naprawdę wstyd, czego zresztą Katherine nie mogła dostrzec, bo na niego nie patrzyła.

- Czy pojmuje pan, jakie to dla mnie upokarzające, jakie poniżające?

Wolałby widzieć ją w gniewie, to byłoby łatwiejsze. Z tą myślą podszedł do niej, chwycił ją za ramię i zaprowadził przed lustro.

- Niech pani na siebie popatrzy. - Stał za jej plecami. - Niech pani dokładnie się przyjrzy. Nie wspomnę już o tym, że nie spodziewałbym się spotkać mojej narzeczonej późnym wieczorem na rozstaju dróg, jak samopas galopuje w męskim przebraniu. W Downham Hall widziałem panią krótko, a przez większą część rozmowy stała pani na de jasnego okna, zapamiętałem więc tylko długie, ciemne, kręcące się włosy, opadające na ramiona. Jak miałem panią poznać?!

Zerknęła na swoje odbicie. Żałośnie krótkie kędziorki, blednące siniaki na twarzy. Nie, rzeczywiście nie przypominała Katherine Harley. Nie zamierzała jednak mu wybaczyć ani zadowolić się takim tłumaczeniem. Znowu podsyciła w sobie gniew.

- Gdybym się panu podobała, zapamiętałby mnie pan na pewno!
- Nie starała się nawet ukryć pretensji. - Najwyraźniej jednak nie dorównuję damom, których towarzystwem cieszył się pan na dworze, choć obłudnie nie szczędził mi pan pochlebstw, prosząc mnie o rękę. Powiedział pan nawet, że jestem piękna. Cóż, dostałam nauczkę, wiem już, co sądzić o męskiej uczciwości i rzetelności.

Wyrwała rękę z jego uścisku i odsunęła się. Marcus postanowił przejść do kontraktaku.

- Może lepiej poproszę, panno Harley, o wyjaśnienie, co robiła pani w środku nocy, kiedy zabrałem ją z drogi. Sama, daleko od domu, galopująca na złamanie karku, w męskim przebraniu, z obciętymi włosami! Wnoszę, że nie jechała pani do mnie w odwiedziny.

- Istotnie, nie. Do pana nie wybrałabym się za nic w świecie! Poza tym to gruba przesada, bo nie było jeszcze środka nocy. A przebrałam się i ścięłam włosy dla bezpieczeństwa, bo kto by tam napadał na jakiegoś biednego chłopaka. Jechałam do Widemarsh Manor i dotarłabym tam godzinę później, jednak wyjątkowo niefortunnym zrzędzeniem losu koń wysadził mnie z siodła akurat w pańskiej obecności.

- Widemarsh? Wdowi Dom? Po co tam pani jechała?

- Do ciotki Gilliver Adams.

- Co takiego?! Do tej starej wiedźmy, która gnieździła się tutaj, zanim objąłem Winteringham Priory?

- Ciotka Gilliver mieszkała tutaj w czasie bezkrólewia, bo inaczej dom stałby pusty - wyjaśniła Kate pełnym pogardy tonem. - Moja matka nie chciała tu wrócić, a wuj nie interesował się Priory. Ciotka Gilliver administrowała majątkiem z pomocą pana Verzonsa i pani Neale. Dawniej służyli u mojego ojca i zostali tu w nadziei, że któregoś dnia Harleyowie wrócą na swoje włości. - Zmierzyła go nienawistnym spojrzeniem. - Teraz ja zamierzam tego dokonać!

Marcus uznał, że wygodniej będzie puścić to wyzwanie mimo uszu.

- Dobrze pamiętam panią Adams - powiedział. - Sypała na nasze głowy barwne przekleństwa i odrzuciła moje zaproszenie, kiedy zaproponowałem, by tu została. Wyniosła się do Wdowiego Domu, chociaż prawnie nie ma do niego tytułu. To wszystko jednak nie wyjaśnia, dlaczego przebyła pani taki szmat drogi, aby ją zobaczyć, zresztą w wielkim pośpiechu i potajemnie.

- Ciotka napisała do mnie list - Kate wyciągnęła przed siebie kartkę. - Proszę przeczytać.

List był krótki i konkretny, pismo drobne i schludne, zdobione charakterystycznymi pętelkami i zawijasami.

Najdroższa Katherine,

Doszło do moich uszu, że sir Henry dał błogosławieństwo twojemu związkowi z Marcusem Oxendenem. Trudno uwierzyć, że ktoś może być aż tak nieczuły, nieraz jednak sama przekonałam się, jak nielogiczni potrafią być mężczyźni, szczególnie tknięci chciwością lub skąpstwem. Mam pewną informację dotyczącą twoich praw do Winteringham Priory i sądzę, że może ona być dla ciebie przydatna. Twój ojciec jasno wyraził swoją wolę, a dokument można wykorzystać w staraniach o usunięcie rodziny Marlbrooke'a z domu, który według prawa jest twój. Gdybyś chciała dowiedzieć się czegoś więcej, znajdziesz mnie jak zwykle w Widemarsh Manor. Jeśli w odróżnieniu od swojej matki masz w sobie coś z ducha Harleyów, odwiedź mnie raczej prędzej, niż później.

Gilliver Adams

- Rozumiem. Czy testament sir Thomasa naprawdę jest dla pani tak ważny?

Roześmiała się cicho.

- Od urodzenia wciąż jestem na czyjejś łasce, a to jest przecież mój dom, więc dlaczego miałabym z niego zrezygnować z powodu pańskich wielce wątpliwych roszczeń? Zamierzam przejąć Winteringham Priory, na moje imię zdobyć do niego tytuł prawny. Testament zapewnia mi silną pozycję w sądzie. Nawet jeśli król uważa, że rezydencja i wszelkie przynależne włości należą się panu, to zyskam prawne podstawy do roszczeń. Poza tym dlaczego właściwie nie miałabym odwiedzić ciotki Gilliver?

- Ponieważ jest to mściwa i zgorzkniała starucha. Nawiasem mówiąc, ciekaw jestem, dlaczego tak długo siedziała cicho, jeśli ma ów testament?

- Tego jeszcze nie wiem. Richard był jednak zdania, że niczego nie stracę, jeśli z nią porozmawiam. - Nieustępliwie skrzyżowała z nim spojrzenia.

- A kim jest Richard? - Zmierzył ją lodowatym wzrokiem. Nie ulegało wątpliwości, że na temat własności domu ma zupełnie inne zdanie.

- To mój kuzyn, Richard Hotham.

- Aha, zaczynam rozumieć. - Marlbrooke zerknął na puzderko z pierścionkiem. - On również, jak sędzę, miałby wtedy podstawy wystąpić z roszczeniami do Winteringham Priory. A może chodzi mu także o panią?

Z dumnie uniesioną głową zbyła to pytanie wzgardliwym milczeniem.

- Proszę mi powiedzieć, panno Kate, czy pani kuzyn był świadom, że wybiera się pani do Widemarsh sama, bez niczyjej opieki, chociaż podróż może potrwać dłużej niż jeden dzień? I że taka wyprawa w niespokojnych czasach wiąże się z licznymi niebezpieczeństwami?

- Oczywiście, że nie był - odburknęła, zirytowana fałszywie przesłodzonym tonem Marlbrooke'a, z którym zupełnie nie harmonizowały nienawistnie zaciśnięte usta. Ten człowiek nie miał prawa krytykować jej postępowania. - O tym nie wiedział nikt. W gruncie rzeczy moja matka... Takie rozwiązanie wydawało mi się najrozsądniejsze.

- Czy uznała pani za stosowne poinformować matkę lub wuja o swoich zamiarach?

- Zostawiłam im list z wiadomością, że będę u ciotki Gil-liver w Widemarsh Manor i po rozmowie z nią zaraz do nich napiszę.

-I sądzi pani, że to uspokoiło ich na tyle, że wcale się o panią nie martwią? W życiu nie słyszałem o większej głupocie!

- Nie widziałam konieczności wyjawiania im czegokolwiek więcej. - Miała jednak z tego powodu pewne wyrzuty sumienia, co odbiło się w tonie jej głosu. - Z pewnością nie pozwoliliby mi jechać do ciotki, zależy im bowiem na moim małżeństwie z panem. Nie mogłam liczyć na ich wsparcie. To zresztą nie pańska sprawa!

- Myli się pani. - Podszedł do niej i oddał jej list. - Łączy nas spór prawny o majątek, a także spisywana przez naszych prawników intercyza małżeńska, więc sprawa jest jak najbardziej moja. - Chociaż powiedział to całkiem cicho, nie mogła mieć wątpliwości co do jego stanu ducha. Wszystko się w niej kurczyło, kiedy stał tuż przed nią. - Co pani teraz zamierza, panno Harley?

- Zgodnie z planem, wybieram się do Widemarsh Manor najszybciej, jak tylko będę mogła.

- Zawiozę tam panią jutro.

- Dziękuję za tę propozycję, ale nie widzę konieczności pańskiego towarzystwa. Potrzebuję jedynie konia.

- Pani kuzyn mógł pozwolić pani jeździć bez opieki i bez przyzwoitki, ale choć może się to wydać zaskakujące, mnie bardziej zależy na pani bezpieczeństwie.

- To rzeczywiście zaskakujące, skoro nawet nie poznał pan we mnie swojej narzeczonej. Mimo że mnie pan całował!

Źle dobrała słowa. Zorientowała się niemal natychmiast, gdy dostrzegła w jego oczach przekorny błysk. Nie należało odsłaniać prawdziwego źródła doznanego upokorzenia.

A więc to tak! Powinien był zrozumieć wcześniej.

- Ma pani rację. Może jednak gdybym pocałował panią tutaj drugi raz, zauważyłbym podobieństwo. Tymczasem przez cały czas koncentrowałem się na tym, żeby pani nie pocałować. I oparłem się pokusie pocałowania Violi, choć nie zawsze było to łatwe!

Nie rozumiała, do czego zmierza, ale spodziewała się najgorszego.

- Zobaczmy więc, panno Kate, czy to pomoże mnie, a również i pani, coś sobie przypomnieć. Mam nadzieję, że nie przeżyjemy rozczarowania.

Zanim zdążyła się odsunąć, ujął ją za ramiona, przyciągnął do siebie i wycisnął na jej ustach żarłoczny pocałunek. Nie było w nim cienia delikatności, jedynie złość i pożądanie. Nie spotkał się jednak z żadną odpowiedzią. Kate nie poddała się jego woli, jej wargi pozostały chłodne.

Cofnął głowę i spojrzał jej w oczy.

- Nie, obawiam się, że to też nie obudziłoby we mnie wspomnień. Poprzednio pani usta były znacznie słodsze. Szczerze mówiąc, ja też byłem wtedy w lepszym humorze. Spróbujmy jeszcze raz.

Teraz nie był już taki zaborczy. Z wielką wprawą pieścił jej wargi i zachęcał ją do wspólnej zabawy. Ku swemu głębokiemu zawstydzeniu Kate stwierdziła, że nie potrafi dłużej opierać się temu naporowi czułości. Sile mogła przeciwstawić swą dumę i złość, ale wobec bardziej subtelnych metod nie miała żadnej broni, chociaż złościło ją to ponad wszelką miarę.

- O tak. - Przerwał pocałunek i uśmiechnął się do niej uroczo. - Właśnie to pamiętam.

Oburzyła się. Jak on śmie! Bez zastanowienia wymierzyła mu siarczysty policzek. Zaskoczony puścił ją, a ona omal nie straciła

równowagi. To, co zrobiła, wstrząsnęło nią do głębi. Jak mogła go uderzyć? A on... jak śmiał ją tak upokorzyć!? Wybuchnęła płaczem i wybiegła z biblioteki.

W drzwiach minęła się z lady Elizabeth. Nawet nie przystanęła, tylko bąknęła pod nosem słowa przeprosin. Wiedziała, że ślady łez na jej twarzy są aż nadto widoczne.

- A cóż to znowu? - Lady Elizabeth popatrzyła zaskoczona za Kate. - Słyszałam podniesione głosy. - Spojrzała surowo na syna. - Czyżbyś zapomniał, że jesteś dżentelmenem? Co jej takiego powiedziałeś, że z płaczem stąd uciekła?

- Dziękuję za wyrazy zaufania, matko. Tym razem muszę jednak przyznać, że wina rzeczywiście leży po mojej stronie. Ponieważ jednak historia jest długa, lepiej usiądź, a ja podam ci wina. - Nalał dwa kieliszki bordo. - Nie jest łatwo o tym opowiadać i nie czuję się z tym dobrze. - Zamilkł na chwilę, wnet jednak rozpoczął skrupulatną relację.

Lady Elizabeth słuchała bez słowa, zwróciła jednak uwagę, że syn nie szuka usprawiedliwień i sobie przypisuje całą winę.

- Przybyłaś na końcówkę, wielce żalosalną scenę. Całkiem nieźle udało mi się sprowokować Kate do wyładowania gniewu. -Przesunął dłonią po policzku. - Bardzo dobitnie mi to uświadomiła. W dodatku nie mogę mieć do niej pretensji.

- Ja też nie! - Elizabeth potrafiła zrozumieć sytuację, a nawet współczuć Marcusowi, jednak rozpacz, jaką zobaczyła na twarzy Violi, najlepiej uzmysłowiła jej, jak bardzo boleśnie przeżyła

odkrycie prawdy. Trochę wyrzutów sumienia na pewno nie zaszkodzi Marcusowi.

- Nawet jej nie poznałeś? - spytała surowo. - Wyobrażam sobie, jakie to dla niej było upokarzające. Mało tego. Tyle przykrych rzeczy dziś się dowiedziała, a jeszcze okazało się, że znalazła gościnę w domu, który, jak sądzi, powinien należeć do niej. I że pomoc zawdzięcza ludziom, których jej rodzina uważa za wrogów. Bardzo jej współczuję.

- Mea culpa. - Marcus ciężko usiadł na fotelu. - Sam mam do siebie pretensje. Ona ma do mnie pretensje. Ty masz do mnie pretensje. Byłbym gotów przywdziać włosiennicę i posypać głowę popiołem, gdyby miało to cokolwiek pomóc. Tymczasem jednak nie widzę sposobu wybrnięcia z tej sytuacji. W gruncie rzeczy wątpię, czy w ogóle jakiś istnieje.

- Cóż więc dalej?

- Jutro odwiozę ją do Widemarsh Manor i oddam pod opiekę ciotki, tak jak sobie tego życzy. A potem zobaczymy.

- Zgadzam się z tobą. Ona właśnie tam chce teraz być, a ponadto zyska czas na przemyślenie wszystkiego, co zaszło. - Lady Elizabeth zerknęła na swe splecione dłonie. - Będzie mi brakowało Violi.

- Kate też da się polubić.

- Marcusie, myślę, że ta niefortunna sytuacja może ci pomóc w rozwiązaniu poważnego dylematu.

- Wytłumacz mi tę zagadkową uwagę, matko. Wywołała w mojej głowie taki zamęt, jak policzek wymierzony mi przez Kate.

Lady Elizabeth uśmiechnęła się.

- Widziałam, jak zachowujesz się przy Violi. Jak na nią patrzysz. I jak starasz się utrzymać dystans, żeby oddalić pokusy, jak myślę, z powodu zobowiązań wobec Kate.

- Jesteś zbyt spostrzegawcza... Obawiam się jednak, że Viola znacznie chętniej przyjmowałaby wyrazy mojego zainteresowania niż Kate.

- Daj jej trochę czasu. Znalazła się w okropnej sytuacji.

- Wiem, niech więc ma tyle czasu, ile potrzebuje. Wspomniała mi zresztą o swoim kuzynie Richardzie, który jest zainteresowany skutkami obecnych zdarzeń, a może również osobą Kate.

Słyszając zadumany ton jego głosu, lady Elizabeth uniosła brwi. - Czyżby?

- Tak. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o Richardzie Hothamie. To nazwisko budziło kiedyś respekt w całym kraju, pewnie ze względu na jego ojca. Wiem naturalnie o pokrewieństwie Harleyów z Simonem Hothamem, ale nie miałem pojęcia, że ma syna. Pewnie ma mniej więcej tyle lat co ja. - Wypił duszkiem wino z kieliszka. - Muszę wiedzieć, co zamierza Richard Hotham, bo bez względu na to, czy ona nazywa się Viola, czy Kate, prawda jest taka, że jestem w niej zakochany.

Kate zbudziła się nagle. Z niepokojem zaczęła wsłuchiwać się w otaczającą ją ciszę. Słyszała tylko głośnie bicie swojego serca. Poza tym cały dom spał. Westchnęła, wtulając twarz w poduszkę, i

spróbowała się odprężyć. Niewątpliwie wyczerpany wcześniejszymi zdarzeniami umysł płatał jej figle.

Wsunęła się głębiej w pościel i zamknęła oczy. Wkrótce jednak wbrew jej woli znowu coś wyrwało ją z pólśnu. Temperatura gwałtownie spadła, nawet pod grubą kołdrą przebiegały ją zimne dreszcze.

Może po prostu przez pokój przebiegła mysz albo za oknem zahukała sowa. Drżącymi palcami zapaliła świecę, stojącą obok na szafce, i stwierdziła, że pokój jest pusty, chociaż chwilę wcześniej była przekonana o czyjejś obecności. Za to chłód wypełniający pomieszczenie aż drażnił płuca i towarzyszył mu dziwny nastrój bezgranicznego smutku. Kate na chwilę wstrzymała oddech. Wrażenie było tak intensywne, że spodziewała się zobaczyć kogoś szlochającego z rozpacz. Nic takiego się jednak nie stało, a dookoła wciąż panowała niezmacona cisza.

- Kim jesteś? - szepnęła Kate, ale nie otrzymała odpowiedzi. - Czy mogę ci pomóc? - Uświadomiła sobie, że ma w oczach łzy.

I nagle chłód znikł tak samo niespodziewanie, jak się pojawił. Temperatura w pokoju znów się podniosła, zapachniało lawendą i rozmarynem. Wszystko to mogło być snem, Kate wiedziała jednak, że zdarzyło się naprawdę.

Przez chwilę zdezorientowana siedziała na łóżku. Z pewnością już nie zaśnie. Dokąd jednak odeszła zjawą? Jak mogła znieść tak rozpaczliwy smutek, nie mogąc od nikogo zaznać pokrzepienia? Kate odchyliła kołdrę, wzięła lichtarz, narzuciła chustę na ramiona i po

cichu wyszła z pokoju. Nie wiedziała, czy chce kogoś pocieszyć, czy sama tego potrzebuje, w każdym razie skierowała się ku długiej galerii, bo zdawało jej się, że tam właśnie przeniosła się zjawą.

Wicehrabia Marlbrooke nie spał. Zamiast położyć się do łóżka, zamknął się w bibliotece, rozsiadł na krześle za biurkiem i rozpoczął walkę z ponurymi myślami. Kolejne kieliszki czerwonego wina wcale mu jednak w tej walce nie pomagały.

Dziwnym zrzędzeniem losu jego dylemat istotnie doczekał się rozwiązania. Zamierzał poślubić Katherine Harley, aby zabezpieczyć spadek. Bez miłości, bez komplikacji, bez innych zobowiązań prócz prawnego umocowania swych roszczeń

i spłodzenia dziedzica. Zdarzyło się jednak tak, że znalazł się na najlepszej drodze do zakochania w Violi. Nie było to zwykłe pożądanie, jakie odczuwał wobec doświadczonych dam na dworze, lecz uczucie tak silne, że niemal zbijające z nóg. Niewiele brakowało, by padł przed nią na kolana i błagał o przebaczenie, że bez pozwolenia nasycił oczy jej pięknem.

Teraz, kiedy problem rozwiązał się sam, wyglądało jednak na to, że jego miłość ma niewielkie szanse na wzajemność. A to dlatego, że głęboko zranił i Violę, i Kate. Gdyby celowo chciał urazić godność narzeczonej, nie mógłby znaleźć lepszego sposobu. Konwersować z nią, ustalać w jej domu warunki małżeństwa, komplementować ją i całować, a potem jej nie poznać! Doprawdy miała wszelkie prawo odrzucić jego tłumaczenia i przeprosiny. I na pewno go znienawidziła. Tylko czy na pewno?

Nagle coś wyrwało go z zadumy. Jakiś odgłos? Wstał i otworzył drzwi. W korytarzu było ciemno. Zauważył jednak w długiej galerii błysk światła. Czyżby był tam ktoś ze świecą? Cicho przemierzył korytarz, wszedł na schody i stanął przy końcu galerii.

- Katherine! - Na jego okrzyk ruszyła ku niemu, ubrana jedynie w płócienną koszulę nocną, z chustą narzuconą na ramiona. Stopy miała bose, a wosk ze świecy kapał na podłogę. - Panno Kate, coś się stało? Czegoś pani potrzebuje?

Wydawała się całkiem zagubiona. Dlaczego jednak milczała? Wyszedł jej naprzeciw, przez chwilę podejrzewając, że może jest lunaticzką. Widział jednak, że ma otwarte, skupione oczy, a na jego głos zareagowała przyśpieszeniem kroku. Wziął od niej świecę i uniósł ją wysoko. Wielkie nieba! Kate już nie płakała, ale ślady łez były wyraźne. Przeklinając się w duchu, odstawił świecę i ujął ją za rękę.

- Niech pani nie płacze, Kate. Nie chciałem pani upokorzyć ani sprawić przykrości. Wiem, że nie ma dla mnie usprawiedliwienia, ale moja wina nie jest warta pani łez.

Ku jego zaskoczeniu spojrzała na niego nieprzytomnie, jakby go nie zrozumiała.

Otarł resztki łez rąbkiem jej chusty.

- Zasluguję na solidną chłostę za to, że sprawiłem pani tyle bólu. Jeśli pani sobie życzy, będę na kolanach błagał o przebaczenie.

- Nie. - Pokręciła głową, czym znowu go zaskoczyła. - Nie!
Wcale nie chodzi o pana. Tu ktoś jest! - Obróciła głowę i zerknęła
przez ramię. - Ktoś zimny i opuszczony.

Dopiero teraz Marlbrooke uświadomił sobie, jak niezwykła aura
panuje w galerii. Ściągnął brwi. Rzeczywiście, było tu niezwykle
zimno, a powietrze wydawało się nasycone rozpaczą.

- Owszem, czuję.

- Nie mogę się uspokoić Nie wyobrażałam sobie, że istnieje tak
bezdenny smutek. I nie wiem, jak go rozproszyć.

Wziął Kate w ramiona. Oczekiwał protestu, był gotów ją puścić
na pierwsze słowo sprzeciwu, ale wcale nie próbowała się uwolnić.
Oparła mu głowę na ramieniu i tak trwali w pełnym napięcia
milczeniu.

- To coś już odeszło.

- Tak. Nie musi pani płakać, Kate. Byłem arogancki, sądząc, że
to ja jestem przyczyną tych łez.

- Nie - szepnęła.

Czar nagle się rozwiął. Zakłopotana płaczem, niekompletnym
strojem i obecnością w galerii w środku nocy, Kate chciała się
wyswobodzić z objęć Marcusa. Co on sobie musi o niej myśleć?

Zaskoczył ją jednak, bo zamiast rozewrzeć ramiona, wziął ją na
ręce.

- Proszę mnie mocno trzymać. Nic tu pani nie grozi, zaniosę
panią do sypialni. Nie musi pani dźwigać ciężaru cudzej rozpacz.

Te słowa wywarły zamierzony przezeń skutek. Kate przywarła do niego i tuliła się przez całą drogę do pokoju. Tam położył ją na łóżku i przykrył kołdrą. Wciąż jednak drżała, a gdy ujął ją za ręce, by wsunąć je pod kołdrę, okazały się lodowato zimne.

- Miała pani trudny dzień, Violu. Ale tu jest pani bezpieczna. Proszę spróbować zasnąć.

-Tak.

Wołał nic więcej nie mówić, dlatego odwrócił się ku drzwiom.

- Milordzie?

Zerknął na nią przez ramię. Nieśmiało pochwyciła jego spojrzenie.

- Proszę nie odchodzić. Proszę zostać ze mną jeszcze chwilę. To coś mnie nie przestraszyło, ale... - Zabrakło jej słów, chociaż nie umiałaby wyjaśnić powodu.

Zerknąwszy na jej pobladłą twarz, Marcus głęboko odetchnął. Czyżby nie wiedziała, o co go prosi? Pewnie rzeczywiście nie, ale cóż, między nimi nic nie działo się normalnie. Usiadł na łóżku i pogłaskał ją palcem po policzku.

- Nie zostawię cię, maleńka, skoro tak chcesz. Nie będziesz sama. - Zdmuchnął świecę i pokój zalała srebrzysta poświata. W ciemności zdjął buty, wyciągnął się na łóżku obok niej, przykrył ich oboje kołdrą i objął ją tak, że jej głowa spoczęła mu na ramieniu. - Wygodnie?

- Tak - szepnęła uspokojona.

- No to śpij.

Przez chwilę panowała cisza.

- Marcusie, cieszę się, że pan przyszedł.

- Nie ma potrzeby mi dziękować. Zdążyłem narobić dość zła, żeby przekleła mnie pani za moje występki raz na zawsze. Postaram się jednak poprawić. I spędzę tę noc z panią.

Jej oddech stał się głębszy, wkrótce Kate smacznie spała, wyczerpana gwałtownymi przeżyciami. Nawet nie wiedziała, że położyła mu rękę na torsie. Marcus uśmiechnął się w mroku, choć nie było mu łatwo zapanować nad sobą.

- Nie opuszczę cię - szepnął. -I nie pozwolę, żebyś ty mnie opuściła. Jesteś moja, najdroższa Violu!

Następnego ranka Kate zbudziło piękne słońce i szczebiot Bessie. Sama nie wiedziała, co z zapamiętanych doznań było prawdą, a co wytworem jej zniekanej wyobraźni. W każdym razie wspomnienie głębokiego smutku pozostało. Ponieważ zaś zagłębienie w poduszce przypomniało jej, że Marlbrooke troskliwie się nią opiekował, gdy zasypiała, więc póki nie skarciła się surowo, przez chwilę nawet żałowała, że uparła się pojechać do Widemarsh Manor.

Rozdział siódmy

Pożegnanie z lady Elizabeth było nadzwyczaj trudne.

- Rozumiem, że muszę nauczyć się nazywać cię Katherine. I że zamierzasz nas opuścić. - Elizabeth przyjrzała się pannie, która stała przed nią sztywno wyprostowana, z surową, pozbawioną uśmiechu miną. Cała pewność siebie, jaką nabyła w ostatnich dniach, nagle ją opuściła.

- Tak. Bardzo przepraszam za wszystkie kłopoty, które sprawiłam. - Nadal stała nieruchomo, ze spuszczoną głową.

Elizabeth przyglądała się temu z krwawiącym sercem. Nie mogła pozwolić, by ich rozstanie wyglądało w ten sposób.

- Podejdz do mnie, droga Violu. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła przed siebie ramię.

Kate walczyła z cisnącymi się łzami.

- Wolę nie wiedzieć, co pani teraz o mnie myśli. Mam takie poczucie, jakbym wdarła się do tego domu pod wydumanym pretekstem. I wykorzystała... - Westchnęła. - Zdaje się, że nagle stałam się przesadnie uczuciowa.

-Nie przejmuj się, moja miła. Padłaś ofiarą wyjątkowego kaprysu losu. Będę z tobą całkowicie szczerą. Cieszę się, że poznałam cię jako Violę, nie myśląc o tobie jak o przyszłej córce. Bardzo polubiłam Violę.

Życzliwość i zrozumienie lady Elizabeth zburzyły w Katherine z takim trudem osiągnięty spokój. Łzy potoczyły jej się po policzkach.

Opadła na kolana przy fotelu lady Elizabeth i ujęła ją za rękę. Matka nigdy nie okazała jej tyle ciepła i uczucia, co ta obca kobieta.

- Nie martw się - mówiła cicho lady Elizabeth, głaszcząc ją po głowie. - Nie obwiniaj się, Katherine. Teraz widzę, że jesteś córką Philippy.

- Rodzina mówi do mnie Kate.

- Wobec tego i ja tak będę do ciebie mówić. Znałam twoją matkę przed wieloma laty, gdy mieszkała tutaj, a ja w Glasbury. Nasze rodziny żyły w przyjaźni. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, przyglądałabym się, jak dorastasz, a tak pamiętam cię tylko jako niemowlę. Już wtedy miałaś takie czarne włosy. - Czułym gestem wsunęła jej za ucho smolisty kosmyk. - Nie będę przepraszać za grzech zaniedbania popełniony przez mojego syna. Musi zrobić to sam i sam musi uzyskać twoje przebaczenie. Uważam jednak, że istnieją okoliczności łagodzące.

- To prawda. - Kate westchnęła. - Jeśli mam być całkiem uczciwa, muszę to przyznać. Ale...

- Rozumiem. Nie chcesz zbyt łatwo przebaczyć Marcusowi. Jednak bez względu na to, co komplikuje wasze stosunki, proszę, nie odcinaj się od Priory. To był twój rodzinny dom, wróć więc, by dobrze go poznać.

- Chciałabym. Mieszkałam tutaj ponad tydzień, lecz żaden obraz z przeszłości mi nie pozostał. Ale cóż, gdy matka mnie stąd wywozła, byłam bardzo mała... Chciałabym jeszcze tu wrócić i odwiedzić milady. - Nieśmiało zerknęła na lady Elizabeth.

- Sprawiliby mi to wielką radość. Bardzo polubiłam twoje towarzystwo. Byłoby mi przykro, gdybyś miała poczucie, że bez zaproszenia nie jesteś tutaj mile widziana. Oczywiście godzę się z tym, że pani Gilliver nas nie kocha, ale nie chciałabym, żeby zatrula ci umysł myślą o naszej wzajemnej wrogości. Za wiele było nienawiści i mściwości w ostatnich latach. - Podniosła się, tak że stanęły twarzą w twarz. - Nie będę mówić o twoim małżeństwie. Cenię sobie przyjaźń, którą z własnej woli mi ofiarowałaś. Nie chcę jej stracić. - Cmoknęła Kate w policzek.

- Też tego bym nie chciała. Zresztą i tak muszę panią odwiedzić, żeby sprawdzić, czy zioła działają.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo mi pomagają.

- Teraz już wiem, gdzie zdobyłam o nich wiedzę. Kiedy mój ojciec zginął, a matka... matka opuściła Priory, odgradzona od świata w Downham Hall, poświęciła się ziołarstwu. Doszła do dużej wiedzy. Mój wuj, Simon Hotham, wskutek źle zagojonej rany odniesionej w bitwie także ma dokuczliwą podagrę. Zimą zdarza się, że nie może wstać z łóżka. W każdym razie zioła, które matka dawała stosownie do rad z zielnika pana Culpepera, przynosiły dobre efekty. Nauczyłam się wszystkiego właśnie od niej, nie było w tym żadnych czarów, cokolwiek sądzi panna Felicity! Moja matka jest życzliwa ludziom i widzi w nich tylko dobre strony.

Lady Elizabeth bardzo niestosownie parsknęła.

- Felicity często rozumuje w dziwaczny sposób i nie powinnaś się tym przejmować. Twoja znajomość książki pana Culpepera jest dla mnie prawdziwym błogosławieństwem.

Lady Elizabeth w zadumie przyjrzała się Kate i uznała, że powinna zawierzyć swojej intuicji. Chciała zdobyć odpowiedź na pewne pytanie, choć wiedziała, że musi zachować ostrożność. Wszak wtrącała się w nie swoje sprawy.

- Zanim odjedziesz... Marcus wspomniał mi, że masz kuzyna Richarda. Opowiedz mi o nim. Czy jesteście blisko?

Kate odwróciła głowę.

- On... on jest mi bardzo miły. - Jednak nie była już tego taka pewna. Miała prawdziwy mętlik w sercu. Czyżby była trzpiotowata? - Znam go i podziwiam od najwcześniejszego dzieciństwa. Chce mnie poślubić.

- Rozumiem. A ty? Czy też tego chcesz?

Kate tylko poruszyła głowę, nie umiała odpowiedzieć. Elizabeth przeżyła lekkie rozczarowanie, ale brak zdecydowania był i tak lepszy niż potwierdzenie.

Kate obróciła się ku drzwiom.

- Zostawiłam pani Neale korę wierzbową na napar i maść do nacierania stawów. Jest też nalewka z pierwiosnków, gdyby nie mogła pani zasnąć. Pomaga na ból głowy i na sztywność karku.

- O tak, wiem. Ale w spaniu nie przeszkadza mi ból. Już nie jest tak bardzo uciążliwy... - Zdawało jej się, że nie może tego

wytłumaczyć, zarazem jednak czuła wielką potrzebę zwierzenia się komuś, wypowiedzenia głośno swoich lęków.

- Cóż więc pani przeszkadza? - z troską spytała Kate.

- Nie odważę się powiedzieć.

- Proszę się nie krępować. To nie może być nic strasznego, a kto wie, czy nie uda mi się chociaż trochę pomóc.

- Bo widzisz... Marcusowi boję się o tym wspomnieć. -

Zaczęła nerwowo skubać chusteczkę do nosa. - Pomyślałby, że szukam pretekstów, by wynieść się z tego domu i wrócić do Londynu. Nigdy nie wierzyłam w duchy... - Gdy już zaczęła mówić, nie było odwrotu. - Wydaje mi się jednak, że tutaj straszy. Jakaś zjawa postępuje za mną krok w krok. Niesie z sobą zło i rozpacz. Czasem nocą... po prostu się boję. Marcus nie uwierzyłby mi, a ja nie wiem, co robić. Budzę się i czuję czyjaś obecność, jakby ktoś stał nade mną i przyglądał mi się. Potem nie mogę zasnąć ze strachu. Teraz to dopiero sobie o mnie pomyślisz...

- Wierzę pani.

Elizabeth popatrzyła na nią zaskoczona, trochę nieufnie, a trochę z ulgą.

- Naprawdę? Czy to znaczy, że i ty czułaś czyjaś obecność?

- Tak. - Kate się zawahała. - Wczoraj w nocy... tu, w domu.

Nagle przytłoczył mnie smutek... zaczęłam płakać.

- Mnie ta zjawa przeraża. - Lady Elizabeth przygryzła wargę. - Ale ulżyło mi, że nie jest to wytwór mojej wyobraźni.

- Niech pani porozmawia z lordem Marlbrookiem. On też czuł obecność zjawy. Nie jest pani sama. Milord nie wspomniał o tym, bo nie chciał dodawać pani trosk.

- A ja myślałam... To do niego podobne. - Elizabeth skinęła głową. - Czy nic nie możemy na to poradzić?

- Nie sądzę, żeby moje mikstury mogły wypłoszyć błędzącego ducha, a nawet wyleczyć złamane serce. Podejrzewam, że pan Culpeper nie wierzył ani w jedno, ani w drugie, ale porozmawiam z ciotką Gilliver. Może posiadać wiedzę, na którą moja matka kręciłaby nosem.

Lady Elizabeth uścisnęła jej rękę.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna. Szczęśliwej podróży, miła Kate. I nie bądź mi obca.

Wkrótce potem ruszyli do Widemarsh Manor. Przez większą część drogi wicehrabia i jego narzeczona milczeli. Kiepska pogoda trafnie odbijała nastrój Kate, dlatego próby nawiązania przez Marcusa niezobowiązującej pogawędki spęły na niczym. Kate nie zamierzała mu wybaczyć, w każdym razie nie tak szybko. Milczeli więc, aż dotarli nad strumień, znad którego widać było między drzewami brzozy ładny dom z drewnianym szkieletem, zbudowany w ubiegłym stuleciu dla wdowy Harley.

Marcus powściągnął konia, a ponieważ Kate nie poszła za jego przykładem, chwycił za uzdę jej wierzchowca, osadzając go w miejscu.

- Są sprawy, o których muszę pani powiedzieć, zanim oddam ją pod opiekę ciotki.

Nie patrząc na niego, trwała w milczeniu.

- Wysłałem wiadomość do pani rodziny, że jest pani bezpieczna. Nie wiem, jak zareagowali na pani list i zniknięcie, ale przynajmniej już wiedzą, gdzie szukać zguby.

- To bardzo miło z pańskiej strony. Przynajmniej wujowi na pewno ulży, kiedy dowie się, kto ma nade mną pieczę. Z jego punktu widzenia trudno o bardziej pomyślny rozwój wydarzeń.

Marlbrooke doszedł do wniosku, że jeśli Kate nie chce pamiętać o nocy spędzonej w jego objęciach, to należy jej na to pozwolić.

- Chcę prosić panią o przysługę - ciągnął. - Proszę nie zrywać znajomości z moją matką, bez względu na to, co dzieje się między nami. Ona bardzo sobie ceni pani towarzystwo. Moja matka od lat nie uśmiechała się tak często, wygląda też młodziej. Gdyby nagle panią straciła, przeżyłaby to głęboko, lecz nie zdradziłaby się z tym, nie zapraszałaby w gościnę, by nie wymuszać na pani niechcianych uczynków, nie ograniczać wolności.

- Lady Elizabeth i ja dobrze się rozumiemy. - Czego z pewnością nie można powiedzieć o nas, pomyślała.

- Cieszę się, że to słyszę. - Łatwo jednak odczytał także niewypowiedziane myśli. - Wiem, że będzie jej brakować pani towarzystwa.

- A panu? - Przeszyła go szafirowym spojrzeniem. - Czy panu będzie mnie brakować?

- Na Boga, tak! - Na chwilę popuścił wodze uczuciom, jednak zaraz je powściągnął. - Będzie mi pani brakowało znacznie bardziej, niż się pani zdaje. - I stanowczo za bardzo, bym mógł liczyć na spokój ducha, dodał w myślach.

Zanim zdążyła odczytać jego zamiary, przyciągnął ją do siebie. Konie zaniepokoił ten manewr, Marcus jednak nie przejął się tym i pocałował Kate w usta. Pocałunek, z konieczności krótki, był jak symbol posiadania.

- Proszę mnie zrozumieć, Kate. Gdy tylko skończę załatwiać formalności z pani wujem, weźmiemy ślub. Jest pani moja, bez względu na to, czy znajdzie pani testament ojca. Jest bowiem coś, o czym powinna pani wiedzieć. - Zawahał się, ale tylko na moment. Niech się dzieje, co chce, musiał jej to wyznać. - Kocham panią, Kate. Zakochałem się w Violi, chociaż nie wolno mi było tego zrobić z uwagi na zaręczyny z Katherine Harley. Jednak oparłem się wszelkim pokusom. Lecz teraz mogę panią kochać i nie wyrzeknę się tej miłości za nic! - Z dużą satysfakcją odnotował wyraz poruszenia na jej twarzy, a także uroczy rumieniec. - Moje serce należy do pani, nawet jeśli pani tego nie chce. I proszę nie zapominać... - Wsunął rękę do kieszeni, wydobyl aksamitne puzderko i zdecydowanym ruchem wsunął jej na palec pierścionek. - To jest jego miejsce, ma pani przypominać o mojej deklaracji i uczuciach.

Puścił ją zadowolony, że nagle zabrakło jej słów.

- Teraz możemy sprawdzić, jakie powitanie zgotuje nam ta stara wiedźma. Mam nadzieję, że jakoś to przeżyję. Ostatnim razem, gdy

zdarzyło nam się rozmawiać, groziła, że ustrzeli mnie jak kaczkę, jeśli postawię stopę na jej ziemi. Byłoby mi przykro, gdyby musiała pani wrócić do Priory na pogrzeb, a nie na ślub.

- Na Boga, Marlbrooke, jeśli zbliżysz się jeszcze o krok do mojego domu, to poszczuję cię psem! - Zwierzak miał imponujące zębiska i demonstrował je z głośnym charkotem, stojąc u boku małej, lecz wielce wojowniczej staruszki.

- Proszę trzymać psa, pani Adams. - Marcus nie przejął się groźbą i ku irytacji ciotki Gilliver uśmiechnął się przyjaźnie. - Nie przyjechałem naruszać granic pani posiadłości, tylko przywiozłem gościa.

- Znam cię, Marcusie Oxendenie! Nie chcę widzieć ani ciebie, ani twoich gości. Rojalistyczne śmiecie! - Przekrzywiła głowę, przyglądając się przybyszom. - Wynoście się.

Kate przesłała mu przepaszające spojrzenie, po czym zwróciła się do ciotki, która stała przed wejściem Widemarsh Manor, wsparta jedną ręką pod bok, a drugą przytrzymała psa za obrożę.

- Ciociu Gilliver, to ja, Katherine Harley. Przyjechałam, bo napisałaś do mnie list.

- Matko jedyna, dziewczyno droga! Co ty robisz w takim towarzystwie? Zsiadaj szybko z konia i choć tutaj, zanim zarazisz się rojalistycznymi herezjami. Dlaczego nie przywiózł cię Richard?

Kate zeskoczyła na ziemię, ale nie od razu podeszła do ciotki. Zerknęła jeszcze w górę, zatrzymała spojrzenie na twarzy Marcusa,

ale mimo że przyszedł czas rozstania, trudno jej było znaleźć słowa, które usprawiedliwiłyby fatalne maniery pani Gilliver Adams.

- Niech Bóg ma panią w opiece, Violu. - Ujął ją za rękę, uściskał palec z pierścionkiem, a potem uniósł dłoń do ust.

- Zawsze jestem do usług. - Skłonił się przed ciotką. - Sługa unizony, pani Adams. - Zawrócił konia w kierunku Priory.

Kate, przyglądając się jego odjazdowi, pomyślała, że nie powiedziała tego, co chciała, choć prawdę mówiąc, sama nie byłaby pewna szczerości tych słów. Na chwilę zamknęła oczy, by odgrodzić się od jego widoku. Miłość! Jak on śmiał wywołać taki zamęt w jej umyśle i sercu?!

- Wejdz, dziecko - z triumfem powiedziała ciotka Gilliver.

- Za zimno, żeby bez końca stać na wietrze. Skoro pozbyliśmy się tego czarciego nasienia, to możemy czuć się swobodnie.

Kate obróciła się i ruszyła na spotkanie groźnej kuzynki.

- No, niechże na ciebie popatrzę.

Kate przystanąła w świetle padającym od niewielkiego okna w salonie, sama też przyglądając się ciotce, która wydawała się jedną wielką sprzecznością. Nieduża, ale krągła, z ostrymi rysami i rumianymi policzkami, pomarszczona jak wyschnięte jabłko, lecz spoglądająca przenikliwie młodymi, piwnymi oczami, przed których oceną trudno było umknąć. Kate odniosła wrażenie, że chociaż staruszka liczy już sobie wiele lat, to lepiej jej nie wchodzić w drogę. Siwe włosy miała zebrane w niechlujny kok z tyłu głowy, czarne ubranie zniszczone i zakurzone, ale głos brzmiał energicznie. Fartuch,

którym była opasana, kiedyś zapewne biały, z czasem stał się szary i upstrzony plamami. Ciotka uśmiechnęła się, co niewątpliwie należało traktować jako oznakę przyjaźni. To wcale nie była mściwa stara czarownica, jaką spodziewała się ujrzeć Kate, ale nie sprawiała również wrażenia nieszkodliwej staruszki żyjącej na odludziu. Starcie z Marlbrokiem sprawiło jej niewątpliwą przyjemność.

Uwagę Kate zwróciła jednak przede wszystkim biżuteria, od której ciotka dosłownie błyszczała. Sznury pereł i kamieni szlachetnych wisiały na jej szyi, brylantowe brosze zdobiły obfite kobiece kształty i nawet w mocno przerzedzonych włosach tkwiła szpilka z drogim kamieniem. Na nadgarstkach podzwaniały bransolety, a na dalekich od czystości palcach pyszniły się kosztowne pierścienie. Kate nie mogła oderwać wzroku od ciotki, która zdawała się dźwigać na sobie cały zbiór rodzinnych klejnotów.

- Wiesz, Katherine, jesteś bardzo podobna do ojca. Dzięki Bogu, że nie przypominasz matki. W życiu nie spotkałam słabszej kobiety, a nie wydaje mi się, żeby z wiekiem nabrała stanowczości. Nawet nie mogę się zmusić, żeby ją odwiedzić. -Obeszła ją dookoła, dokładnie mierząc wzrokiem. Kate mimo woli spłonęła rumieńcem. - Wielkie nieba, dziewczyno! Kto ci podsunął pomysł, żeby tak skosić włosy? I popatrz na swoją twarz! Czy to Marlbrooke tak cię poobijał, żeby postawić na swoim? W tej rodzinie nic by mnie nie zaskoczyło. No dobrze, musimy porozmawiać. Dalej, opowiedz mi wszystko. Mason!

- Zaraz pojawiła jeszcze starsza od ciotki i równie niechlujna kobieta. Wyglądała tak, jakby przybyła z krainy magii. - Rozpal w kominku i

przynieś nam wina. Muszę lepiej poznać się z kuzynką. - Odprawiła ją skinieniem dłoni.

Mimo że przez całe popołudnie Kate spokojnie siedziała z kieliszkiem wina przy ogniu, czuła się bardzo wyczerpana. Została poddana drobiazgowemu przesłuchaniu, a potem poczęstowana porcją trudnych do przyjęcia informacji.

Widemarsh Manor dorównywał ekscentrycznym wyglądem swojej właścicielce. Utrzymywanie idealnego porządku z pewnością nie należało do priorytetów ciotki Gilliver. Krokwie były oblepione pajęczynami, a ściany, ciemne od dymu i sadzy, miały trudny do określenia kolor. Meble z rzeźbionymi zdobieniami pokrywała gruba warstwa kurzu. Kate odniosła wrażenie, że mogłaby bez trudu wypisać palcem swoje imię na blacie dębowego stołu, przy którym usiadły. Na listwach przy podłodze było widać ślady pozostawione przez myszy, lub też, ze zgrozą pomyślała Kate, przez szczury. Tak czy owak, gryzoni nie było widać, co wiązało się zapewne z obecnością tłustego burego kota, który z czujną miną siedział przy dużym kominku. Jeszcze bardziej niepokojące wydały się Kate wiązanki ziół, zajmujące niemal każdą wolną powierzchnię. Suszonych, a także świeżych. Zwisały z sufitu, stały wetknięte do słoików i wazonów, suszyły się nad ogniem, wypełniając pokój zapachem lawendy, rozmarynu, tymianku i wielu innych roślin, których Kate nie umiała rozpoznać. Nic dziwnego, że ku rozbawieniu ciotki zaczęła kichać.

Podczas ich rozmowy w kącie siedziała milcząca Mason. Pochwyciwszy jej dziwnie niepokojące spojrzenie, Kate pomyślała z lekkim dreszczem, że przypomina powiernicę czarownicy. Jakikolwiek były obowiązki tej kobiety w Widemarsh Manor, nie ograniczały się do zwykłych zajęć gospodyni. Kate zateśkniła nagle do lśniących boazerii i wyczyszczonych draperii Winteringham Priory.

- Dlaczego nie przywiózł cię Richard? - Ciotka Gilliver podjęła rozmowę w tym punkcie, w którym przerwały ją na progu.

- Nie poprosiłam go o to.

- Nie widziałam go, odkąd był dzieckiem. Przypuszczam, że musi już być dobrze ułożonym młodzieńcem. A jak się miewa Simon?

- Ból i obrzęki stawów zrobiły z niego kalekę. Rzadko rusza się z domu. - Kate się zawahała. - Czy mogę spytać, dlaczego nie utrzymujesz kontaktów z rodziną?

Staruszka tylko wzruszyła ramionami.

- Dziwię się, że Simon nie nalegał na Henry'ego, byś została żoną Richarda - ciągnęła. - To małżeństwo byłoby dla ciebie znacznie bardziej stosowne niż ten mezalians z Marlbrookiem. Mam nadzieję, że nie wydarzyło się między wami nic ważnego. - Ciotka zmarszczyła czoło, przypomniała sobie bowiem ich rozstanie.

- Nie, skądże. - Kate uznała, że byłoby nierozsądnie ujawniać przed Gilliver zbyt wiele. - Mój wuj, sir Henry, widzi duże zalety w tym małżeństwie - wyjaśniła spokojnie. - Właśnie spisują intercyzę.

-Wprawdzie patrząc na mój wiek, mogłabym być twoją babką, ale na przystojnym mężczyźnie jeszcze umiem się poznać - powiedziała ciotka z chytrym uśmieszkiem. - Nie byłabyś pierwszą panną, której zawróciłyby głowę ujmujący uśmiech i wypchana kieszeń. Widzę, że masz piękny pierścionek. Czy to od niego?

Kate spłonęła rumieńcem.

- Wicehrabiego Marlbrooke'a wybrał mój wuj, a nie ja.

- Mogłybyśmy łatwo położyć temu kres. - Sadystyczny uśmieszek zupełnie nie pasował do pomarszczonej twarzy. - Odpowiednio podana doza belladony albo akonitu zakończyłaby twoje kłopoty raz na zawsze. - Widząc zgrozę na twarzy Kate, ciotka przybrała minę niewiniątka. - Co się stało, moje dziecko? Wydajesz się wstrząśnięta. Jaki sens ma wiedza o właściwościach roślin danych nam przez Boga, jeśli wzdragasz się przed jej użyciem? My o ziołach wiemy wszystko, prawda, Mason?

Mason puściła to pytanie mimo uszu, jakby w ogóle nie zasługiwało na odpowiedź. Cały czas wpatrywała się w Kate, którą bardzo deprymowało tak natrętne spojrzenie.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. - Kate zerknęła na ciotkę z przerażeniem i fascynacją jednocześnie.

- Czy twoja matka wciąż bawi się w zielarstwo? Nauczyła cię czegoś?

- Tylko leczenia mniej poważnych dolegliwości. Niczego naprawdę niebezpiecznego. - Nie wiedziała, czy śmiać się z ciotki, czy raczej na nią złościć.

- Nieważne. Mogę temu zaradzić, skoro tu jesteś. Jak długo zamierzasz zostać? - Tak niewinne pytanie zaraz po sugestii stosowania śmiertelnych trucizn... Kate potrzebowała czasu, by jakoś to ogarnąć;

- Jeszcze nie wiem. Napisałaś do mnie, ciociu, że masz testament ojca.

- Czyżby? No, niezupełnie tak. - Przez jej twarz przemknął chytry uśmiech, kłójący się z miną niewiniątka. - O ile pamiętam, w liście stwierdziłam jedynie, że sir Thomas spisał swoją ostatnią wolę.

- Czy to znaczy, że nie masz testamentu? Bardzo na to liczyłam. - Kate westchnęła rozczarowana.

Gilliver bacznie jej się przyjrzała.

- Jest więcej niż prawdopodobne, że sir Thomas ukrył testament w Priory, kiedy wyruszał na wojnę wtrącać się do cudzych spraw, co jest zresztą typowe dla mężczyzn. Powinien był zostać w domu i pilnować własnego nosa. Szczerze wątpię, czy powierzyłyby tak ważny dokument Philippie, bo coś takiego zrobiłyby tylko głupiec!

Kate postanowiła puścić mimo uszu impertynencję wymierzoną przeciwko jej matce, tym bardziej że z sensem tej złośliwości się zgadzała.

- Ale gdzie? - spytała. - Zresztą z pewnością odnaleziono by już testament, skoro minęło tyle lat od oblężenia.

- Niekoniecznie. To stary dom, ma swoje sekrety. Pamiętam skrytki pod podłogą i za boazerią. I kryjówki dla prześladowanych księży z czasów królowej Elżbiety.

- Czy sugerujesz, że powinnam poszukać testamentu?
- Czemu nie? Masz dostęp do domu. A ja też coś mam.
- Skinęła na Mason, która natychmiast wstała i podeszła do

zniszczonego kredensu. Był to mebel przeznaczony do przechowywania przypraw, wyposażony w mnóstwo przegródek i szufladek, w których teraz mieściły się różne skarby. Po chwili Mason znalazła to, czego szukała, i położyła przed Gilliver. Był to pęk nieco zardzewiałych, związanych sznurkiem kluczy.

- Można nimi otworzyć drzwi Priory - wyjaśniła ciotka. - Zgodnie z prawem należą do ciebie. Zabrałam je, kiedy w zeszłym roku wyprowadzałam się stamtąd, a właściwie zostałam wypędzona przez Oxendenów tak jak stałam. Możesz z tych kluczy korzystać do woli. Gdybyś zaś potrzebowała pomocy, Verzons ci jej udzieli.

- Verzons?

- Naturalnie. Przecież był rządcą u Harleyów na długo przed przejęciem domu siłą przez Oxendenów. Jak myślisz, skąd wiem tak wiele o tym, co dzieje się w Priory? Verzons dba o to, żebym była dobrze poinformowana. - Znów przemknął przez jej twarz chytry uśmiešek - Mimo to nie dotarło do mnie, że tam zamieszkałaś. Verzons umiał powiedzieć mi tylko tyle, że pojawiła się młoda dama, która miała wypadek

- Ciociu Gilliver... - Kate zważyła klucze w dłoniach. - Skoro jesteś taka dobrze poinformowana, to może wiesz coś o duchu w Priory? O dziwnej zjawie?

- A owszem, coś tam słyszałam... Chodzi o kogoś z naszej rodziny, z linii Harleyów. Ale nie mam pojęcia, dlaczego po tylu latach ona jeszcze tam jest.

- Wyczułam jej obecność. - Kate wbiła wzrok w pęk kluczy. - Ta zjawa zaraża bezgranicznym smutkiem, sączącym się aż do serca.

- Naprawdę? - Ciotka niby się zdziwiła, ale Kate zwróciła uwagę, że nie zakwestionowała istnienia zjawy. - Zastanawiam się, jakie ma zamiary. Kiedyś uważano ją za niebezpiecznego ducha, ale to było dawno, jeszcze zanim tam zamieszkałam.

Zapadło milczenie. Ciotka Gilliver wyraźnie rozważała różne możliwości, o czym świadczyło nerwowe przebieranie palcami po stole, pozostawiające ślady w warstewce kurzu. Kate czekała na ciąg dalszy z nieukrywaniem zniecierpliwienia i w końcu ośmieliła się ciotkę przynaglić:

- Ale kim ona jest?

Gilliver usiadła wygodniej i zerknęła na Mason, która odwzajemniła jej spojrzenie i prawie niezauważalnie skinęła głową.

- Czy matka opowiadała ci kiedyś o Isolde?

- Matka niewiele mówiła o rodzinie, a tego imienia na pewno nigdy nie wymieniła.

- Nic dziwnego. - Ciotka skrzywiła się z niezadowoleniem. - Zupełnie odcięła się od wszystkiego po śmierci ojca i dziecka. W każdym razie Isolde żyła w rodzinie Harleyów, zdaje się, że za czasów Elżbiety. Mam rację, Mason? Kiedy żyła Isolde?

Mason ponownie skinęła głową. Nieustannie wędrowała wzrokiem między Gilliver a Kate.

- Wszystko jedno. Nie wiem, dlaczego tak się stało, bo całą sprawę starannie wyciszono, co zapewne możesz zrozumieć, w każdym razie którejs nocy Isolde rzuciła się z dachu Priory i zmarła na frontowym dziedzińcu. Nie pochowano jej jednak razem z innymi Harleyami, a w każdym razie nie w poświęconej ziemi, dlatego jej udreńczony duch po śmierci nie zaznał spokoju. Stała się więc uciążliwa, straszyla wieśniaków, bydło, no i naturalnie rodzinę. A strach, jaki budziła, tylko ją rozzuchwalał. Pewien podróżny zginął wysadzony przez konia z siodła na błoniach, mówiono też o... Mniejsza z tym. W każdym razie wreszcie głowa rodziny, nie pamiętam, kto to wówczas był, zwróciła się o pomoc do biskupa, który przyjechał z tłumem księży i podjął stosowne kroki, w wyniku których duch osłabł i został uwięziony po wsze czasy. Dokonało się to jednak nie bez walki. Isolde chciała pozostać na wolności, by nadal płakać i załamywać ręce, ale w końcu została okiełznana. Podobno ukazała się wszystkim dwunastu księżom, którzy ze świecami odprawiali swe obrzędy, najpierw pod swoją postacią, z nimbem wokół głowy, a potem jako parszająca czarna kotka.

- W jaki sposób unieszkodliwiono ducha na całych sto lat?

- No cóż, moja droga, któż ośmielił się kwestionować autorytet Kościoła! Tak bardzo osłabili ducha, że stał się zwykłym ognikiem, a wtedy schwytali go w gliniane naczynie. Mniej więcej takie. - Gilliver skinęła głową w stronę dzbanka, stojącego na kominku. -

Zapieczętowano je woskiem. - Parsknęła z obrzydzeniem. - Było mnóstwo święconej wody i obrzęd w środku nocy, wszystko to, co Kościół uwielbia, żeby nas, śmiertelników, trzymać w karbach. Krążyła pogłoska, że uwięzili ducha gdzieś w Priory, ale kiedy tam mieszkałam, nigdy nie trafiłam na jego najmniejszy ślad. Wygląda jednak na to, że ostatnio Isolde dziwnym trafem odzyskała wolność. I tak można by to zakończyć.

- Smutna historia - powiedziała Kate.

- Możesz ją obejrzeć na portretach w domu. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że większość z nich przedstawia twoją rodzinę?

- Nie. - Kate zmarszczyła czoło, uświadomiła sobie bowiem, że istotnie musi tak być. - Prawdę mówiąc, do wczoraj nie wiedziałam, kto jest moją rodziną, bo straciłam pamięć.

- Isolde pochowano w zagajniku niedaleko wsi, na skraju majątku.

- Z pewnością nie zaznała spokoju, biedaczka. Kiedy się pojawia, czuję, jak głęboki smutek nosi w sobie. Płakałam z jej powodu, a wiem, że lady Elizabeth też doskwiera ta obecność.

- To dobrze. Przy odrobinie szczęścia Isolde tak skutecznie nastraszy Oxendenów, że spakują manatki i wyniosą się do Londynu. A może ją wspomozemy w tych staraniach? -W oczach ciotki Gilliver pojawił się szelmowski błysk.

- Miałybyśmy ją wspomóc? Gdybyś odczuła to co ja, nie mówiłabyś w ten sposób. Byłoby ciężkim grzechem wykorzystywać czyjąś rozpacz. Powinnyśmy jej współczuć.

- To całkiem purytańskie myślenie, moja droga. Dostrzegam wpływ twojego wuja. Sir Henry zawsze zanadto dbał o moralność, czasem wbrew własnym interesom. - Ciotka Gil-liver pogardliwie fuknęła. - Zwróć jednak uwagę, Katherine, że posłużenie się Isolde z pewnością sprzyjałoby twoim interesom, gdyby miało doprowadzić do usunięcia Oxendenów z Priory.

- Nie zgadzam się. - Kate spostrzegła, że mimo woli zacisnęła dłoń w pięści. Ukryła je więc w fałdach spódnicy i starała się opanować. Nie należało zniechęcać do siebie ciotki. - Lady Elizabeth była dla mnie wyjątkowo życzliwa. Musisz to zrozumieć, ciociu Gilliver. Wolałabym raczej ułatwić jej życie, niż robić na złość.

- Ułatwić? Czy ja się nie przesłyszałam? - Gilliver wstała gwałtownie. - I to mówi Harleyówna? Słyszałaś coś takiego, Mason? Tydzień spędziła w Priory i już myśli jak rojalistka.

- Czemu nie? - z determinacją broniła się Kate. - Lady Elizabeth nie ponosi winy za wydarzenia, które spowodowały, że utraciliśmy Priory.

- Hm! Jesteś bardziej podobna do ojca, niż mi się zdawało. Nie wiem, czy nie okażesz się jednak niepożądanym gościem w tym domu.

- Mam nadzieję, że nie, ciociu Gilliver. Chciałabym trochę z tobą pobyć. Czy możemy pomóc lady Elizabeth? Jestem pewna, że masz do tego niezbędną wiedzę. Obecność Isolde w domu wywołuje wielki niepokój.

- Jeśli tego chcesz - powiedziała z wyraźnym ociąganiem Gilliver. - Ale nie oczekuj ode mnie, że zdobędę się na coś więcej niż zastosowanie kilku podstawowych środków. - Aby uniknąć dalszych żądań Kate, zręcznie zmieniła temat. - Czy twoja rodzina wie, że jesteś u mnie?

- Tak Marlbrooke dał im znać.

- Przypuszczam więc, że lada dzień możemy spodziewać się odwiedzin Richarda. Życie robi się interesujące.

Kate zlekceważyła błysk w oczach ciotki. Przed udaniem się na spoczynek musiała jeszcze zaspokoić swą ciekawość.

- Dlaczego to robisz, ciociu Gilliver? Dlaczego akurat teraz wspomniałaś o testamencie ojca, chociaż przez tyle lat milczałaś?

- Bez powodu, moja droga. No, może poza tym, że nie chcemy, aby Priory nadal było w niepowołanych rękach, czyż nie?

Rozdział ósmy

- Dostałam je od ciotki Gilliver. Proszę mi wybaczyć, ale sumienie nie pozwala mi zrobić z nich użytku bez twojej wiedzy i zgody, milady.

Powróciwszy z Widemarsh Manor, Kate siedziała w nasłonecznionym salonie Winteringham Priory.

Lady Elizabeth powitała ją ze szczerą radością i niezwłocznie wynalazła dla Felicity kilka banalnych, lecz niecierpiących zwłoki zadań, aby wygospodarować trochę czasu na prywatną rozmowę z gościem. Teraz z zainteresowaniem przyglądała się pękowi zardzewiałych kluczy, który Kate położyła na stole.

- Pani Adams zabrała je z sobą, opuszczając Priory. To było z jej strony ostatnie wyzwanie. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Ona niezbyt nas lubi, prawda?

- Owszem. - Nie miało sensu ukrywać prawdy. - Nie mówi o Oxendenach dobrze i dała mi jasno do zrozumienia, że jest przeciwna mojej gościnie w Priory. Tyle że z większością Harleyów ciotka też nie jest na dobrej stopie. Jej uwagi o mojej matce są bardzo wnikliwe, ale mało pochlebne.

- Wobec tego cieszę się podwójnie, że znów cię widzę, moja miła Marcus, zdaje się, pojechał do Glasbury - ciągnęła lady Elizabeth ze znaczącym uśmiechem. - Nie wiem, kiedy wróci. Ty w każdym razie jesteś, a co ważniejsze, dobrze wyglądasz. Wreszcie zeszyły ci sińce, a i włosy wydają mi się nieco dłuższe.

Kate roześmiała się, niepewna, czy nieobecność wicehrabiego stanowi dla niej źródło ulgi, czy rozczarowania.

- I tak nie rosną dostatecznie szybko. Ciotka Gilliver wyrażała się zresztą znacznie bardziej bezceremonialnie, besztając mnie za tę chłopcę fryzurę. Dała mi jakąś miksturę o paskudnym zapachu, twierdząc, że przyspieszy ich wzrost. Wprawdzie nie chciała mi wyjawiać składników, ale i tak nie ważyłam się odmówić przyjęcia. Gdybym spróbowała, Mason z pewnością by mnie zdradziła przed ciotką, a ja nie chcę się tej wiedźmie narazić jeszcze bardziej. Mason może być bardzo groźna, mimo że rzadko się odzywa i jest drobnej postury. - Kat przyjrzała się uważnie Elizabeth. - Jak się miewasz, milady? - Czy moje środki jeszcze działają?

- Tak Wróciłam do haftowania. Wprawdzie nie jest to łatwe, ale odkąd z palcami jest lepiej, to zajęcie sprawia mi wiele przyjemności. Zaryzykowałam też mały spacer po ogrodzie.

- Przywiozłam z sobą coś nowego. — Kate zaczęła szperać w skórzanej sakiewce. - Moja ciotka ma dużą wiedzę i jeszcze większe zapasy ziół. Jest ich tam tyle, że wisiały nawet w mojej sypialni. Zdaniem ciotki to powinno być skuteczniejsze od mojej maści. O proszę, jeśli panna Felicity będzie nacierać tym stawy milady dwa razy dziennie, wkrótce powinna nastąpić dalsza poprawa.

- Jak udało ci się namówić ciotkę na wyświadczenie przysługi Oxendenom?

- To nie było zbyt trudne. Jakoś udało mi się znieść uwagi na temat kobiet, które są tak samo uparte i zaradne jak ona.

- Jestem niezwykle wdzięczna. I co teraz zamierzasz? Kate uznała, że lady Elizabeth ją zrozumie, więc odważyła się na szczerłość.

- Zdaniem ciotki mój ojciec mógł ukryć w tym domu testament, zanim wyruszył na wojnę i zginął.

- Chcesz więc poszukać... - Elizabeth westchnęła. - Proszę bardzo, nie ma przeszkód. - Pchnęła klucze w stronę Kate. - Nie znam żadnych pokoi, które byłyby nadal zamknięte, ale jeśli zyczysz sobie spróbować... Poza tym sądzę - uśmiechnęła się wyrozumiale - że chętnie poznasz własny dom.

- Nie ma pani nic przeciwko temu? - Kate rozpromieniła się. - Bardzo tego chcę, naprawdę.

- Naturalnie, że nie, pod warunkiem, że będziesz mnie odwiedzać.

Kate przystąpiła więc do myszkowania po domu, w którym się urodziła, ale który do niedawna był jej zupełnie nieznany. Pierwsze wspomnienia, jakie tkwiły w jej pamięci, wiązały się z zimnym i pozbawionym miłości domem wuja. Mimo to wędrując po pokojach, ani na chwilę nie traciła nadziei, że odnajdzie ślady przeszłości. Salonik jej matki. Sypialnia, w której matka ją urodziła. Długa galeria, gdzie pewnie uczyła się rączkować. Wspomnienia jednak nie wracały. Była zbyt mała, kiedy opuszczała ten dom. Z długą galerią kojarzyła jej się jedynie nauka tańca pod czujnym okiem Marlbrooke'a, a także epizod ze zjawą Isolde. Mimo to miała takie wrażenie, jakby istotnie wróciła do siebie.

Naturalnie znała historię tego domostwa. Sir Henry dopilnował, by wiedziała co trzeba o rodzinnym dziedzictwie. Niektóre części dworu były bardzo stare, przetrwały jeszcze z czasów, gdy stał tu augustiański klasztor. Resztę wybudował ich przodek, sir Francis Harley, dworzanin króla Henryka, hojnie wynagrodzony za wierną służbę władcy. Otrzymał posiadłość Winteringham Priory, która po likwidacji zakonów znalazła się w gestii monarchy. Na stare lata sir Francis przeniósł się z rodziną do Priory i wybudował dwór godny królewskiego dygnitarza.

Kate zwiedzała okazały elżbietański dwór z dużym zainteresowaniem. W sypialniach gościnnych i na strychu przekonała się, jak bardzo został zaniedbany. Mnóstwo tu było kurzu i myszy. Natomiast sama konstrukcja była bardzo solidna. Oxende-nowie przejęli dom po oblężeniu w 1643 roku, ale spędzili w nim zaledwie kilka lat. Po śmierci króla i ogłoszeniu przez parlament Aktu Supremacji wrócili do Londynu, a Priory zamknęli na cztery spusty. Harleyowie pozostali jednak w okolicy, a pani Adams wprowadziła się do dworu, by sprawować nad nim pieczę w imieniu rodziny. Kate uświadomiła sobie, jak ważną rolę w utrzymaniu majątku odgrywał Verzons. W 1643 roku był jedynie lokajem, jednak po śmierci rządcy podczas oblężenia z własnej inicjatywy zajął jego miejsce. Na szczęście dla majątku stary wicehrabia Marlbrooke nie pozwolił, by władza nadmiernie uszczupliła zasoby Priory. Przyszły czasy interregnum, Verzons z wielką starannością administrował posiadłością, lawirując między wszystkimi siłami, a jednocześnie gorliwie pilnował sakiewki

Kate zorientowała się, że majątek, do którego rości pretensje, znajduje się w bardzo dobrym stanie finansowym. Dlaczego jednak lady Philippa nie wróciła tutaj, gdy była okazja? Kate pokręciła głową z niedowierzaniem. Może bardziej odpowiadało jej uporządkowane życie w Downham Hall, gdzie wszystkie obowiązki spoczywały na bracie? Z Kate było całkiem inaczej. Stojąc u szczytu dębowych schodów z rzeźbionymi mitycznymi bestiami, zdobiącymi słupki balustrady, przysięgła sobie solennie, że doprowadzi Winteringham Priory do kwitnącego stanu, a gdyby król Karol jednak przyznał posiadłość wicehrabiemu Marlbrooke'owi, zamierzała ze wszystkich sił walczyć z tą decyzją.

Snując zdradzieckie plany, spotkała w korytarzu Verzonsa. Jak zwykle skłonił się przed nią z grzeczną obojętnością.

- Dzień dobry, panno Harley. Przyjemnie widzieć panią ponownie w Priory.

- Dziękuję, Verzons. - Uśmiechnęła się, niemile dotknięta jego oschłością. - Trochę dziwnie się tutaj czuję. Z pewnością pamiętasz moich rodziców.

- Oczywiście. - Skrzyżował z nią spojrzenia. - Chciałbym panią zapewnić, że i teraz, i w przyszłości gotów jestem służyć rodzinie Harleyów. Zawsze.

- Z pewnością chodziło o Oxendenów, Verzons? - Kate lekko zmarszczyła czoło, niepewna, jakiemu celowi służyła ta nagła deklaracja lojalności.

- Naturalnie. Jak mogłoby być inaczej. - Głos rządcy pozostał absolutnie niewzruszony.

- Moja ciotka, pani Adams, opowiedziała mi, jak jej pomagałeś w czasach interregnum.

- Trwam w wierze, proszę pani. Gdyby zainteresowały panią portrety wiszące w długiej galerii, to proszę pamiętać, wszystkie przedstawiają pani przodków. Oxendenowie ich nie usunęli, bo nie mieli swoich, więc może pani skorzystać z okazji i dobrze im się przyjrzeć.

Kate przemierzyła więc długą galerię, aby poznać wizerunki dawnych Harleyów, utrwalone w sztywnych pozach. Brak portretów Oxendenów szczególnie jej nie zdziwił. Większość obrazów pochodziła z czasów elżbietańskich i przedstawiała surowe, eleganckie postacie w krynolinach i kryzach. Na ogół wydawały jej się mało interesujące, nawet ich imion nigdy nie słyszała. Jednak niektóre portrety wzbudziły duże zainteresowanie Kate. Na jednym z nich, pochodzącym sprzed stu lat, pokazano sir Francisa Harleya z żoną i dziećmi. Wszystkie postacie wpatrywały się w nią nieruchomo. Dzieci, poza jednym wyjątkiem, były małe, drobni chłopcy w koszulinach bawili się z małą i złotą rybką. Obok nich stała sporo od nich starsza, kilkunastoletnia dziewczyna. Kate natychmiast zorientowała się, że jest to Isolde. Była ubrana w ciemnoniebieską suknię z kwadratowym dekoltem, mocno zwężoną talią i krynoliną. Szyję zdobił sznur pereł, włosy miała długie i czarne. Zwracające uwagę niebieskie oczy harmonizowały z kolorem sukni. Jak na tak

młodą osobę, przybrała niezwykle poważną pozę, bez śladu uśmiechu, możliwe jednak że był to tylko kaprys malarza. W smukłych dłoniach, splecionych na podołku, trzymała gałązkę jabłoni. Portret miał mnóstwo uroku. Co mogło sprawić, że ta piękna dziewczyna odebrała sobie życie i teraz błądzi po korytarzach w wielkiej rozpacz? Malowane oczy i pozbawione uśmiechu usta kryły swoje sekrety. Jednak poza tym obrazem Kate nie odkryła innego śladu Isolde w Priory.

Drugi portret, przed którym głęboko się zamyśliła, wyobrażał jej rodziców w strojach ślubnych. Sir Thomas zwracał uwagę kruczą fryzurą i intensywnie niebieskimi oczami. Malarzowi udało się także uchwycić wyraz determinacji, podkreślony przez prosty nos i wyrazisty podbródek. Nie wykluczała, że i ona odziedziczyła te cechy. Usta ojca sprawiały wrażenie skorych do uśmiechu. Natomiast lady Philippa była dość pospolitą, lecz ładną dziewczyną. Nic w tym portrecie nie zdradzało jej zrzędlivej natury, która ujawniła się potem, na skutek samotności, wielkiej straty i rozczarowania. Małżonkowie trzymali się za ręce, nieświadomi przyszłości, a stali w ogrodzie, nad którym górowała rezydencja Priory. Kate odruchowo wyciągnęła rękę, by dotknąć twarzy ojca, którego nigdy nie знаła.

Otrząsnąwszy się z melancholii, odwróciła się od obrazu i spostrzegła, że w długiej galerii przybył pewien szczegół. Nad kominkiem, niczym deklaracja, pojawił się herb Oxendenów. Jego świeże barwy, kontrastujące z ciemnym kolorytem portretów, przyciągały uwagę. Drapieżne srebrne sokoły odbijały światło,

wznosząc się z rozpostartymi skrzydłami. Nie ulegało wątpliwości, kto teraz jest tutaj panem. Pomyślała, że sokoły bardzo przypominają posiadacza tego herbu.

Właśnie w tym miejscu zastał ją wicehrabia. Najpierw usłyszała jego nadejście, a gdy się odwróciła, zobaczyła, że zbliża się do niej sprężystymi krokami. Ubrany w strój do konnej jazdy, zwykły wams i bryczesy, na wierzch miał narzucony skórzany kaftan, a w dłoni trzymał rękawice i kapelusz. Falujące włosy, związane z tyłu czarną tasiemką, pięknie lśniły. Skłonił się przed nią, elegancki i opanowany jak zawsze.

- Verzons powiedział mi, że zastanę panią w galerii. Jak się tu pani dostała?

- Naturalnie przyjechałam. Zostawił pan konia w Widemarsh.

- Jechała pani sama?

- Tak. To przecież niedaleko. W dodatku w granicach majątku. - Jego krytyczny ton skwitowała uniesieniem brwi. - Czyżby widział pan w tym coś niestosownego?

Chciał powiedzieć coś więcej, ale rozsądek doradził mu powściągliwość.

- Mniejsza o to. - Zwrócił się w stronę portretu. - To pani rodzice?

Skinęła głową.

- Jest pani podobna do ojca.

- Wiem. Ciotka Gilliver też powinna być na którymś z portretów, ale nie potrafię jej rozpoznać.

- Jeśli znajdzie pani ten portret, proszę mnie zawiadomić. Spalę go, żeby uchronić nas przed złymi wpływami.

Mimo woli uśmiechnęła się.

- Proszę popatrzeć tutaj, milordzie. - Zaprowadziła go do portretu rodzinnego sir Francisa. - To jest Isolde. Według mojej ciotki właśnie ona straszy w tym domu.

- Wiadomo dlaczego? - Uważnie przyjrzał się wizerunkowi dziewczyny.

- Nie, wiadomo tylko, że odebrała sobie życie. Skoczyła z dachu.

-I nie może zasnąć spokoju. Chyba że to Gilliver specjalnie ją tu przysłała, by duchy Priory zmusiły nas do opuszczenia domu.

- Zapewniam, że nic takiego się nie stało, chociaż sam pomysł jest w jej stylu. Nienawidzi Oxendenów i uważa, że powinnam poślubić Richarda. - Nie miała pojęcia, co ją skłoniło do tego wyznania.

- Naprawdę? A co pani na to?

- Nie mam wyboru. - Parsknęła pogardliwie i przybrała pozę wyższości.

- Istotnie.

Zachręścił pęk kluczy, który trzymała w dłoni.

- Co to takiego?

- Nic ważnego, milordzie.

- Klucze? - Przekrzywił głowę. - Czy słusznie myślę, że są to klucze do tego domu?

Znów dumnie uniosła głowę.

- Tak. Dała mi je ciotka Gilliver.

- Klucze do Priory należą do mnie. Nie podoba mi się, że znajdują się w cudzych rękach, a zwłaszcza w rękach pani Adams. - Władczym gestem wyciągnął ramię. - Proszę mi je dać.

Marlbrooke zachowywał się zupełnie inaczej niż jego matka.

- Nie ma mowy.

- Niech mi je pani da, Kate - powiedział cicho, lecz z groźbą w głosie.

- Nie. - Ukryła klucze za plecami. Podszedł o krok, a ona się cofnęła.

- Kate, będę bezwzględny, nawet jeśli okaże się, że muszę odebrać je siłą.

- One są moje! - Z tymi słowami odwróciła się i zaczęła uciekać.

- Do licha! - Cisnął na bok rękawice i kapelusz i rzucił się w pościg.

Końca galerii Kate dopadła pierwsza, tam jednak okazało się, że dalej nie ma przejścia. Odwróciła się więc ku niemu i spojrzała wyzywająco. Uśmiechnął się szeroko, chwycił ją za nadgarstki i przygniótł do boazerii.

- To nie było rozsądne, Violu!

Kopnęła go w goleń, dostatecznie mocno, by drgnął i głośno syknął. Dostrzegła w jego oczach złość, szybko jednak jej miejsce zajęło inne, o wiele potężniejsze uczucie, którego nie umiała nazwać.

- No i co, koteczku? Jaką karę mam ci wymierzyć za ten atak na moją osobę?

Mimo oporu wyjął jej klucze z rąk i cisnął na podłogę. Upadły z alarmującym brzękiem. Na tym jednak się nie skończyło, bo Marlbrooke wcale nie zamierzał jej puścić. -I co, koteczku? - powtórzył.

- Jeśli ojciec ukrył w tym domu testament, to mam prawo go szukać - syknęła, udając, że ignoruje jego bliskość, chociaż krew w jej żyłach zaczęła pulsować znacznie szybciej.

- Nie ma pani żadnych praw oprócz tych, których sam jej udzielię. - To powiedziawszy, schylił głowę i pocałował ją w usta.

Pozwoliła się zaskoczyć. Spodziewała się aktu przemocy, tymczasem pocałunek był delikatny, niemal czuły, a wargi Marlbrooke'a bardzo przekonujące. Rozum Kate mógł krzyczeć „nie!” ale serce i ciało były innego zdania. Nie umiała się bronić przed czułością i bezradnie wtuliła się w jego ramiona. Po chwili Marcus uniósł głowę, a ona spojrzała na niego oszołomiona i kompletnie dezorientowana.

- Katherine - szepnął z uśmiechem. - To nie było nieprzyjemne, prawda? Mimo że całował panią rojalista i Cocenden.

Puścił jej ręce i ujął w dłonie twarz. Poczowała chropawy dotyk dłoni, miejscami stwardniałych od wodzy i szpady, i zadrżała w oczekiwaniu. Znowu odnalazł jej usta. Tym razem jednak całował gwałtowniej, z wielką zaborczością. Kate objęła go za szyję i zaczęła napawać się jedwabistością jego włosów. Jeszcze nigdy nie doznała z

taką siłą czyjejś bliskości. To, co robił, było jawnie nieuczciwe, a najgorsze, że jej zdradzieckie ciało nie chciało słuchać poleceń rozumu.

Wreszcie ją puścił i odsunął się o krok, by na koniec jeszcze pocałować ją w rękę.

- Powinna pani wiedzieć, panno Harley, że intercyza już została spisana i jestem posiadaczem potrzebnych dokumentów.

- Czyli ma pan wszystko, czego chce. - Usłyszał w jej wyzywającym tonie nutę smutku.

- Nie potrzebuję prawnego tytułu do nieruchomości. I tak ją posiadam. - Jego głos zabrzmiał ostrzej. - Ja chcę pani. Czy pamięta pani, co powiedziałem w drodze do Widemarsh?

- Pamiętam.

- Nie uwierzyła mi pani.

- Nie. - Znów spojrzała na niego wyzywająco. - Jak mógłby mnie pan kochać?

- Dowiodę tego. - Wiedział, że porywa się na hazard, ale warto było zaryzykować. - Mam trzy życzenia w stosunku do pani, panno Harley. Chcę ją trzymać w ramionach i mieć w łóżu. To po pierwsze. Po drugie, chcę, aby urodziła mi pani dziedziców.

- To znaczy, że intercyza jest pańskim zwycięstwem, milordzie.

- Nie ustąpiła ani o milimetr. - Wszystko to pan dostanie.

- Czy testament ma takie znaczenie? Czy liczą się prawne podstawy stanu faktycznego? I tak zamieszka pani w Priory, a jej dzieci będą mogły wystąpić o tytuł prawny.

- Owszem, ma to znaczenie.

- Dobrze więc. - Puścił ją i schylił się po klucze. - Pozwolę pani szukać po całym domu dokumentów, jeśli takie jest pani życzenie, ale kluczy do mojego domu pani nie dam, jeszcze nie teraz. A te zatrzymam. - Podrzucił cały pęk i schował do kieszeni.

-Niczego innego się po panu spodziewałam! - Gdyby w swoim czasie nie pracowano nad jej manierami, niechybnie zaczęłaby tupać. Na wszelki wypadek szybko ruszyła do wyjścia z galerii.

Marcus dopadł ją po kilku krokach.

- Nie zapytała mnie pani o trzecie życzenie, droga Violu.

Słyszając w jego głosie rozbawienie, niemal zaczęła krzyczeć ze złości.

- Więc jakie jest to trzecie życzenie? - spytała z ostentacyjnym brakiem zainteresowania.

Ujął ją za rękę i zmusił, aby zwróciła się ku niemu twarzą.

- Och, to nic ważnego. Chciałbym tylko, żeby mnie pani pokochała, Violu. Chcę pani serca.

Już nie próbował jej zatrzymać. Gdy odchodziła, patrzył jej śladem, a na wargach igrał mu uśmiech.

W następnych dniach Kate kilkakrotnie przebyła drogę między Priory a Widemarsh Manor. Pozwolono jej prowadzić poszukiwania bez ograniczeń, zawsze znajdowała jednak czas, by odwiedzić lady Elizabeth. Coraz bardziej lubiła te wizyty. Czasem spotykała też Marlbrooke'a, który witał ją lekko ironicznym uśmiechem. Innym razem, gdy akurat zajmowały go sprawy majątku, przeżywała rozczarowanie, że ich drogi się rozminęły.

Musiała przyznać, że nie jest odporna na jego wdzięki, a także pogodzić się z dwoma innymi bezspornymi faktami. Mimo prowadzenia drobiazgowych poszukiwań nie natrafiła na żadne rodzinne dokumenty, a zwłaszcza na testament ojca. Jeśli zaś chodzi o Marlbrooke'a, nie powtórzył już swego miłosnego wyznania.

- Kate. - Marcus wyciągnął do niej rękę na powitanie pewnego ranka, gdy zeskoczyła z konia i rzuciła wodze Jenksowi. - Chodźmy na spacer. - Podał jej ramię, nie czekając na odpowiedź. Wiedział, jaka będzie. - A więc pani Adams nadal pozwala pani wracać do tej rojalistycznej jaskini grzechu i deprawacji - powiedział z udaną powagą. - A ja obawiałem się, że może panią zamknąć na klucz w Widemarsh, by zapobiec naszym małżeńskim planom.

- Nie. - Kate uśmiechnęła się, bo wcale nie był to taki nieprawdopodobny pomysł. - Przyznaję jednak, że odpieram dość brutalne ataki słowne w tej kwestii.

- Kim był właściwie pan Adams?

- Nie mam pojęcia, Nie pamiętam, żeby ktoś z rodziny o nim wspominał.

- Kimkolwiek był, cechowała go nie lada odwaga.

- Odwaga? - Kate schyliła się, aby zerwać wonną gałązkę lawendy.

- Naturalnie. Skoro związał się z Gilliver...

- Wiem tylko, że on nie żyje.

- Nic dziwnego.

Kate mimo woli się roześmiała. Wietrzyk wymalował jej rumieńce na policzkach. Marcus z przyjemnością patrzył, jak odprężona rozgniała w palcach aromatyczne listki.

- Jak pani myśli, czy ona zajmuje się czarną magią?

- Sądzę, że nie. - Kate potraktowała to pytanie całkiem poważnie. - Niemniej jednak spizarnia to jedyne pomieszczenie w Widemarsh, gdzie nie ma grubej warstwy kurzu. Przeciwnie, jest tak czysto i porządnie, że nawet nie lubię tam wchodzić bez wyraźnego pozwolenia. Wszystkie słoiczki mają etykiety i zawsze stoją na swoich miejscach. O reszcie domu trudno by powiedzieć, że jest sprzątna. Myszy harcują przed kominkiem i nikomu to nie przeszkadza. Bez wątpienia jednak ciotka świetnie się zna na ziołach.

- Wbrew sobie muszę wyrazić wdzięczność dla pani Adams. Moja matka odczuwa wielką ulgę po jej miksturach. Trudno mi tylko pogodzić się z tym, że nigdy już nie odzyska pełnego zdrowia.

- Mój wuj Simon Hotham również cierpi na podagrę. W deszczowe dni puchną mu ręce i nogi. Z wielkim trudem znosi własną słabość. Moja matka uważa, że to wywiera niszczący wpływ na jego usposobienie.

- Pamiętam go jako żołnierza. Zyskał niemałą sławę, w bitwie pod Worcesterem miał wielki udział w zwycięstwie Cromwella. - Nie był to chyba wymarzony temat do rozmowy w pogodny wiosenny ranek zwłaszcza z panną wciąż pełną wahań i wątpliwości, Marcus uznał więc, że trzeba go zmienić. - Ale, ale. Ta wiadomość na pewno panią ucieszy. Matka poczuła się po tych wszystkich ziołach tak

dobrze, że myśli o przemeblowaniu Priory. Wspomina nawet o trzepaniu tkanin i porządkowaniu strychu. Pani Neale, mimo niewinnej miny, oczywiście spiskuje z nią w tej sprawie. Zimno mi się robi, kiedy pomyślę, co się będzie działo. Nie wiem, czy powinienem pani dziękować, czy przeklinać panią za zburzenie mojego spokoju.

- Na pańskim miejscu dziękowałabym Bogu, że zdrowie lady Elizabeth uległo poprawie, i szukałabym jak najliczniejszych zajęć w najdalszych zakamarkach majątku.

- Zachowam to w pamięci. Ależ pani jest zaradna, nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Przez chwilę szli bez słowa, ale tym razem nie było to milczenie pełne napięcia. Kate dumiała, jak trudno jej powstrzymać się przed powierzeniem temu człowiekowi swoich najskrytszych myśli. Miała na to wielką ochotę, choć wiedziała, jak bardzo mogłoby to być niebezpieczne.

Wzięła od Marlbrooke'a gałązkę rozmarynu i zaczęła wdychać miły zapach, choć jednocześnie zmarszczyła czoło.

- Co się stało, droga Kate?

- Zamyśliłam się. Mój wuj jest zgorzkniały, pełen złości, poddaje się namiętnościom, lepiej nawet nie wspominać jakim. Zdaniem matki choroba okaleczyła mu nie tylko ręce i nogi, lecz również umysł, zakłóciła mu zdolność rzetelnej oceny sytuacji. - Pochwyciła wzrok Marlbrooke'a. - Tymczasem pańska matka jest taka dzielna i pełna radości życia. Cierpienie wcale nie odebrało jej życzliwości dla ludzi.

- Bo ona taka jest. - Uśmiechnął się do swej przyszłej żony. -
Bardzo ją za to podziwiam, chociaż jej tego nie powiem. -Zawrócili
ku domowi. - Martwi mnie jednak, że są dni, kiedy moja matka
prawie nie może chodzić, i przez to tak rzadko opuszcza dom.
Pamiętam, choć byłem wtedy małym chłopcem, że w Glasbury
uwielbiała ogród. W każdym razie teraz to musi być dla niej wielka
strata.

- A czy myślał pan o... -O czym?

- Nieważne. - Kate odwróciła się ku altanie, która wkrótce
obrośnie różami i kapryfolium. - Jestem pewna, że rozważył pan
wszystkie możliwości zapewnienia wszelkich dostępnych wygod lady
Elizabeth. Nie śmiałybym nawet przypuszczać inaczej.

- Owszem, śmiałyby pani. Do diabła, dlaczego kobiety są takie
trudne?

- Wcale nie jestem trudna!

- Jest pani przewrotna i absolutnie urocza! Proszę mi po-
wiedzieć, najmilsza Kate, o czym jej zdaniem nie pomyślałem i o
czym lepiej nie wspominać, aby nie narazić się mojej przesadnie
drażliwej osobie?

Niestety nie dowiedział się, bo właśnie w tej chwili stanął przy
nich Verzons.

- Milordzie, przyszedł wielebny Peters i prosi o rozmowę. -
Verzons skrzywił się nieufnie. - Czy mam powiedzieć, że milord jest
zajęty?

Marlbrooke uniósł brwi.

- Wielebny Peters? Nie, zaraz przyjdę. Proszę zaprowadzić go do biblioteki i podać mu coś do picia. A pani - spojrzał na Kate - może przez ten czas zastanowić się nad sposobem udzielenia pomocy mojej matce, którego mi pani nie wyjawi.

- Czy to znaczy, że mam wolną rękę, milordzie?

- To pytanie zabrzmiało dość groźnie. Pewnie tego gorzko pożałuję, ale niech będzie, pod jednym wszakże warunkiem: w żadnym razie nie wmiesza pani w to ani swojej ciotki Gilliver, ani Isolde.

- To obiecuję - zgodziła się ze śmiechem. - Być może jednak wmieszam Jenksa.

- Niesamowite, moja ukochana. Nie powie mi pani, w czym rzecz?

-Nie.

Pocałował ją w rękę, a potem przez chwilę upajał się słodyczą jej ust.

- Niech więc pani broi po swojemu, droga Violu. Wiem, że sprawi to pani przyjemność.

Stała w ogrodzie jeszcze dłuższą chwilę, wspominając, z jaką gracją Marcus pokonywał schodki na taras. Uśmiechała się dyskretnie, musiała bowiem przyznać, że wbrew głosowi rozsądku spotkania i rozmowy z wicehrabią sprawiają jej wielką przyjemność. Tym bardziej wolała nie zastanawiać się nad żarem, jaki wypełniał ją podczas pocałunków. Znęcała się nad liśćmi rozmarynu, póki nie owionęła jej miła woń i nie rozbudziła zmysłów, podobnie jak

pocałunek Marlbrooke'a. Wreszcie z niedowierzaniem pokręciła głową i ruszyła ku stajniom, aby porozmawiać z Jenksem.

RS

Rozdział dziewiąty

Londyn!

Marlbrooke niespodziewanie ogłosił, z typową dla siebie arogancją i brakiem poszanowania dla opinii mieszkańców Winteringham Priory, że pojedą do Londynu. Po prostu król postanowił zorganizować uroczystości, a wicehrabia nawet nie zapamiętał, z jakiej okazji, co zresztą nie dziwiło, bo Karol nie potrzebował pretekstów do sprawiania sobie przyjemności. Kate bardzo nie spodobała się wyniosłość wicehrabiego, a fakt, że lady Elizabeth, a nawet Felicity, oczywiście na swój zgryźliwy sposób, odniosły się do pomysłu z nieskrywanym entuzjazmem, rozdrażnił ją jeszcze bardziej.

- Kiedy mam się spodziewać powrotu milorda? A może jego zamiarem jest pozostać w Londynie na stałe? - Stała przed Marcusem w bibliotece wsparta pod boki, starając się sprawić wrażenie, że odpowiedź niezbyt ją interesuje. Nie mogła mu przecież pokazać, jak bardzo jest zawiedziona.

- Nie, Violu. Nie zamierzam pozostać w Londynie. - Na jego twarzy nie było uśmiechu. - Zabawimy tam tydzień, może trochę dłużej. Wszystko zależy od mojej matki. Nie wiem, ile czasu potrzebuje na zakupy i jak szybko zdoła się rozstać ze starymi przyjaciółkami.

- Wiem, że lady Elizabeth bardzo czeka na ten wyjazd. - Kate zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Londyn ma do zaoferowania wiele atrakcji.

- Tak słyszałam.

- A pani, droga Kate, powinna poznać te atrakcje osobiście i dlatego będzie nam towarzyszyć.

- Nie! - Zaskoczył ją? Zdumiał? A może przeraził? - Nie mogę. - A już na pewno nie zamierzała się przyznać, jak bardzo ekscytująca wydała jej się ta propozycja.

- Czemu nie? Dygnie pani jak należy przed Jego Wysokością i pozwoli zdeprawować swoją purytańską duszę przepychem dworu i występkami stolicy. Zapewniam, że spodoba się to pani.

Bacznie przyglądał się, jak nieporadnie próbuje ukryć zachwyty, a kiedy otworzyła usta, uprzedził jej słowa:

- Proszę tego nie mówić! I nie kłócić się ze mną. Nic to pani nie pomoże, bo decyzję już podjąłem.

Pozostało jej więc tylko spakować swój skromny dobytek i powiadomić ciotkę Gilliver o wyjeździe.

Odpowiedź ciotki była i łatwa do przewidzenia, i niezwykle barwna, Kate nabyła jednak umiejętności puszczania mimo uszu niewygodnych dla siebie uwag. Wysłuchiwała więc cierpliwie kazania o zaprzędawaniu duszy diabłu, o tym, co się świeci, a nie musi być złotem, i o niebezpieczeństwach czyhających w Po Trzykroć Przeklętej Jaskini Zepsucia, jaką jest stolica.

- Tylko nie pozwól, żeby zawrócił ci w głowie - zakończyła ciotka swą tyradę. - Wróg zawsze pozostaje wrogiem i należy o tym pamiętać. Nosisz wszak nazwisko Harley, moja droga, to do czegoś

zobowiązuje, chociaż zdaje mi się, że o tym zapomniałaś. Pozwoliłaś się omamić gładkiej gębie i pękatej sakiewce. Wstydz się.

Ciotka zmięła jednak na tyle, że dała jej jedną ze swoich brylantowych broszek.

- Wypada mieć coś takiego podczas wizyty na dworze. -
Odpiąwszy ją, potarła zniszczony metal o chustę dla lepszego połysku, co zresztą nie przyniosło spodziewanego efektu. - Zwrócisz mi ją po powrocie.

Kate potulnie podziękowała i wbiła wzrok w wielki brylant. Nie umiała sobie wyobrazić okazji, przy której mogłaby włożyć tę broszkę, ale wdzięczna była ciotce za jej wielkoduszność i obiecała, że nie pozwoli, by uwiódł ją zwykły blichtr.

Dla Kate Londyn stanowił doświadczenie, na które spokojne życie w Downham Hall nijak jej nie przygotowało. Zatłoczone ulice z tysiącami ludzi, ciągły zgiełk, bieda i brud. Od chwili, gdy wjechała do stolicy eleganckim powozem, odczuwała na przemian zachwyt i odrazę. Sklepy pełne towarów stanowiły niemałą pokusę dla panny wychowanej w surowych obyczajach, bez zrozumienia dla mody i luksusów. Żebracy, którzy w skrajnej nędzy walczyli o przeżycie, stanowili przykry dysonans, przekonała się więc, że jej dzieciństwo, choć niezbyt radosne, upłynęło we względnym dostatku. Mimo że nosiła przetarte suknie i nie zaznała zbyt wielu rozrywek, tak naprawdę na niczym jej nie zbywało. Za to londyńskie domy w dzielnicach bogaczy wydawały się zgoła innym światem. Wielkie wrażenie wywierały na niej eleganckie palladiańskie fasady z

pilastrami i fryzami, tworzone według projektów miga Jonesa. Tyle że śmiecie na ulicach, smród, ciągle zagrożenie epidemią i obszarpane dzieciaki, szperające po rynsztokach, budziły jej żywy sprzeciw.

Za nic nie chciałyby jednak stracić okazji do odwiedzenia stolicy.

Dom Marcusa stał przy Strandzie, wśród innych siedzib zamężnych ludzi. Był mniejszy niż Winteringham Priory, Kate szybko jednak zorientowała się, że wiejska rezydencja nie mogła się równać, jeśli chodzi o wygodę i luksusy. Zrozumiała, dlaczego lady Elizabeth tak bardzo wzdycha z powodu przeciągów w Priory. W dodatku mnóstwo ludzi serdecznie ich witało i zapraszało do siebie. Życie towarzyskie wprost kwitło w stolicy. Nic dziwnego, że matka Marcusa tak bardzo tęskniła za Londynem. Jej entuzjazm okazał się zaraźliwy, dlatego wszyscy postanowili wycisnąć z tego tygodnia jak najwięcej radości.

Miejscowe atrakcje stały się jeszcze bardziej interesujące, gdy Felicity oznajmiła, że nie będzie jej przez kilka dni, bo chce złożyć wizytę kuzynce.

- Czy to znaczy, że będziemy pozbawieni przyjemności twojego towarzystwa, Felicity? - Lady Elizabeth objawiła szczere zaniepokojenie, przymierzając jednocześnie rękawiczki z koziej skórki. - Sądziłam, że pragniesz być z nami.

- Moja kuzynka Mary niedomaga, więc chrześcijański obowiązek nakazuje mi ją odwiedzić - powiedziała z modlitewną słodyczą, lecz zaraz skrzywiła się z obrzydzeniem. - Poza tym nie chcę

pokazywać się na dworze. - Rozpoczęła pełną ognia przemowę o tym, że dwór królewski to istne siedlisko zepsucia. Tyle wieści krąży, jest ich zbyt wiele, by nie mówiły prawdy. Ot, choćby jedna z dworek królowej podczas obchodów Nowego Roku urodziła dziecko w antykamerze. Czy coś takiego przystoi? I tak dalej, i tak dalej, plotka goniła plotkę. W pewnej chwili Felicity zerknęła na Kate ze źle skrywaną niechęcią. Dobrze jej zrobi, jeśli przyjrzy się towarzystwu, w którym obraca się Marlbrooke i do którego z pewnością wróci, gdy tylko załatwi sprawy związane z zabezpieczeniem dziedzictwa, pomyślała. - Lecz stolica ma wiele powabów, których gdzie indziej się nie uświadczy. - Felicity wpadała w coraz większą zapalczywość. - Milord zawsze wyrażał uznanie dla kultury i wyrafinowania, jakie można tu znaleźć. Błyskotliwe konwersacje z przyjaciółmi, muzyka, tańce, teatr i eleganckie, modne towarzystwo. Po co milord miałby tkwić na odludziu? Tam nie znajdzie żadnych atrakcji. Jestem przekonana, że sam dojdzie do takiego wniosku, gdy tylko prowadzenie majątku straci urok nowości. Zresztą wkrótce przekona się pani naocznie, w czym rzecz. Odebrała pani stosowne wychowanie w domu sir Henry'ego Jessopa, lecz to, co zobaczy pani na dworze, bardzo się różni od jakże wątplych doświadczeń, które pani zdobyła. Londyn to nie pani świat, zaś milorda i owszem. - Felicity z zadowoleniem splotła dłonie, doprowadziwszy do końca swój wywód.

Kate nie znalazła na to odpowiedzi. W duchu przyznawała, że w zaprawionych jadem spostrzeżeniach Felicity jest wiele racji.

Otwierał się przed nią na chwilę świat Marlbrooke'a, lecz dla niej nie było w nim miejsca.

- Wątpię, czy mój syn jest rzeczywiście tak powierzchownym człowiekiem, jak wynikałoby z twoich wypowiedzi, moja droga Felicity. Naturalnie jednak będzie nam brakować twojego towarzystwa - powiedziała lady Elizabeth, jak zwykle pojednawczym, choć nieco oschłym tonem.

Potem, w prywatnej rozmowie, Marcus nie był tak powściągliwy jak jego matka.

- Dzięki Bogu! Najwidoczniej niebo ma jednak czasem jakieś względy dla grzeszników. Korzystajmy więc ze słabego zdrowia kuzynki Mary. Współczuję jej głęboko - zakończył z jawną obłudą i zaprosił wszystkich, oczywiście poza Felicity, na przedstawienie „Makbeta” w nowo otwartym i bardzo wystawnym Duke's Theatre.

Wszelkie wątpliwości Kate, wzbudzone przestrogi ciotki Gilliver, nagle się rozwiały. Uległa czarowi barwnej scenerii, zręcznych trików scenicznych i gry aktorów przedstawiających mrozącą krew w żyłach tragedię pana Szekspira.

Naturalnie złożyli również wizytę na dworze w Whitehallu. Byli na balu, na przyjęciu i na maskaradzie. W środowy poranek wraz z innymi uprzywilejowanymi członkami londyńskiej elity obejrzeni wystawny obiad króla Karola i królowej Katarzyny. Podczas przechadzek po St. James's Park podziwiali aleje obsadzone drzewami i wspaniały staw. Atrakcji doprawdy im nie brakowało. Marlbrooke przeważnie dbał o swoje damy osobiście, choć czasami wzywały go

inne obowiązki. Jeśli jednak wymykał się do jaskiń hazardu i ryzykował utratę majątku czy też do domów rozpusty, to Kate tego nie zauważyła. Nie miała też pojęcia, czy Marcus spędza noce samotnie, czy w towarzystwie kobiet. Głos wewnętrzny upominał ją, że nie wolno jej nawet snuć takich myśli. Nie jej sprawą było przecież, w jaki sposób wicehrabia spędza czas. Była jednak dostatecznie uczciwa wobec siebie, by przyznać się do zazdrości, gdy wieczór mijał jej jedynie w towarzystwie lady Elizabeth.

Zgodnie z obietnicą, została zabrana do Whitehallu, by móc dygnać przed królem podczas oficjalnego przyjęcia na cześć nowo akredytowanego ambasadora Portugalii. Jak łatwo przewidzieć, była bardzo zdenerwowana, i znalazłszy się twarzą w twarz z królem, natychmiast z szelestem spódnic wdzięcznie przyklękła na lśniącej posadzce, nie wając się spojrzeć ponad złote guzy monarszej kamizelki. Karol był jednak dobrze poinformowany i szybko rozproszył jej obawy.

- Lady Elizabeth. Cieszę się, że znów widzę panią w Londynie. I panna Harley, purytańska narzeczona. A więc w końcu mogę panią poznać.

- Tak, Wasza Wysokość.

Zaryzykowała spojrzenie i przekonała się, że król uśmiecha się do niej ze zrozumieniem. Był wysoki, wyższy niż Marlbrooke, miał długie nogi i śniadą karnację. Wprawdzie głębokie zmarszczki nadawały twarzy wyraz cynizmu, za to uśmiech trafiał wprost do

serca. Kate zrozumiała, dlaczego wielu ludzi mówi o królu tak życzliwie.

- Czy podoba się pani na dworze, panno Katherine?

- Tak, Wasza Wysokość. Nawet nie śniłam, że coś takiego zobaczę na własne oczy. - Cały czas walczyła z olbrzymim zakłopotaniem. Pamiętała przecież, że jej rodzina wypowiedziała wojnę temu człowiekowi i wraz z innymi doprowadziła do stracenia jego ojca. Karol jednak był bystrym człowiekiem, niepozbawionym taktu i intuicji, bez trudu wybrnął więc z kłopotliwej sytuacji.

- Tamto jest już za nami, panno Harley. Nie żywię urazy z powodu przeszłości. Zwłaszcza nie wobec pięknych kobiet. - Uśmiech nadał jego surowej twarzy niepowtarzalne piękno. Oto co musiało działać na kobiety. Widząc, że Karol odczytał jej myśli, zmieszła się i spłonęła rumieńcem, król jednak wyciągnął do niej rękę i pomógł wstać. - Szczęśliwy z pana człowiek, Marlbrooke. - Karol przesłał Marcusowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Też tak uważam, sir.

- Gdyby nie należała do ciebie, pewnie uderzyłbym w konkury.

- Byłoby mi przykro zagradzać drogę Waszej Wysokości.

- Ale naturalnie zagroziłbyś. I słusznie. - Król roześmiał się łaskawie i położył wicehrabiemu rękę na ramieniu. - Chodź, Marlbrooke, zagramy w karty, musisz jakoś wykupić się za swoje grzechy. W ten sposób znikniemy naszemu portugalskiemu gościowi, który okropnie mówi po angielsku, a do tego przejawia głęboką niezdolność do milczenia. - Skłonił się damom. - Lady Elizabeth, do

następnego zobaczenia. - Spojrzał na Kate. - Miło mi było w pani towarzystwie, panno Harley. Żałuję, że muszę zostawić panią pod opieką Marlbrooke'a.

- Czułam się jak świnia na targu - powiedziała potem Kate do lady Elizabeth.

- Na pewno nie świnia - roześmiała się lady Elizabeth, rozbawiona wzburzeniem Kate.

- No to klaczka.

- Bardzo ładna klaczka, bo inaczej nie zwróciłabyś uwagi Jego Wysokości. - Lady Elizabeth dostrzegła błysk w oczach Kate. - A musisz przyznać, że uroku królowi nie brakuje.

Nie zamierzała potwierdzić tego spostrzeżenia, odwzajemniła jednak porozumiewawczy uścisk dłoni.

Zajawszy miejsce pod ścianą, by dać odpocząć zmęczonym i obolałym nogom, lady Elizabeth postanowiła pokazać Kate dworskie znakomitości. Złej sławy Barbara Castlemaine okazała się niższa, niż spodziewała się Kate, i tak jednak zwracała uwagę odcieniem włosów i wyrazistymi rysami. Hrabia Cla-rendon, królewski premier, korpulentny mężczyzna, bardzo cierpiał z powodu braku zainteresowania króla polityką i jego niechęcią do interesów. No i naturalnie Frances Stewart, ostatnia kochanka Karola, wysoka, elegancka i nawet piękna, z wielką zręcznością rywalizująca z lady Castlemaine. Było więc co oglądać. Kate przede wszystkim jednak absorbowwały spojrzenia, które czuła na sobie. Taksujące, niektóre pełne współczucia, inne niechętne. Na szczęście nowa kreacja dodała

jej pewności siebie. Któż pozostałby obojętny wobec sukni z obcisłym stanikiem, długimi rękawami i głębokim dekoltem, bogatej w obfite spódnice z fioletowego jedwabiu, przysłaniające zdobioną brokatem halkę. Wystrojona na modłę francuską Kate cieszyła się swoją kobiecością. Na wszelki wypadek wyrzuciła z pamięci wszystkie przestrogi Gilliver dotyczące próżności i chciwości. Wszak nawet jej fryzura, przygotowana na ten dzień przez służącą z wykorzystaniem atlasowej tasiemki, była niemal zadowalająca.

Mimo wszystko w konfrontacji z takim wyrafinowaniem czuła się trochę nieswojo, była więc wdzięczna lady Elizabeth za jej dodającą otuchy obecność. Aroganckie uśmieszki i szeptane na stronie uwagi, nie do końca skryte za poruszającymi się wachlarzami, onieśmiały Kate, mimo że postanowiła za wszelką cenę wytrwać w pozie osoby nadzwyczaj pewnej siebie. Brakowało jej dworskiej ogłady, była jednak bystra i na tym mogła się oprzeć. W końcu zaręczyła się z wicehrabią Marlbrookiem, powinna więc korzystać z nowo nabytego statusu. I nie zapominać, że ma swoją dumę.

- A więc to pani jest narzeczoną Marlbrooke'a. - Początkowo zdawało jej się, że jeśli jeszcze raz będzie musiała zmierzyć się z podobnym stwierdzeniem jakiejś dworskiej piękności, wybuchnie niepohamowanym gniewem, szybko jednak nauczyła się reagować właściwie. Swobodny uśmiech, nieznaczne skłonienie głowy.

- Owszem. Jestem Katherine Harley.

- Pani rodzina była kiedyś w posiadaniu Winteringham Priory, potem straciła majątek na rzecz Oxendenów, kiedy jej ojciec

zaangażował się po stronie parlamentu, prawda? - Nieodmiennie towarzyszyło temu wyduęcie warg, zjadliwie lśniących pod grubą warstwą nałożonej pomadki.

- To prawda. Winteringham Priory jest moją prawowitą własnością. Majątek został ojcu skradziony. Teraz jednak wróciłam, a moja rodzina ponownie weszła w jego posiadanie. - Tu nieznacznie unosiła głowę. - Współ z wicehrabią Marlbrookiem, naturalnie.

- To dość nagła decyzja, czyż nie? Wcześniej nie mówiono o planowanym ożenku Marlbrooke'a. To byłaby wielka strata, gdyby wycofał się z życia dworskiego, choćby na pewien czas.

- Nasze małżeństwo jest logicznym rozwiązaniem, korzystnym dla obu stron. - Harde spojrzenie Kate zniechęcało do kwestionowania tego twierdzenia. - Natomiast gdzie będziemy mieszkać, zdecydujemy po ceremonii.

- Kiedy więc odbędzie się ślub?

- Wkrótce. Milord chciałby, aby stało się to jak najszybciej. Ja naturalnie też. - To skutecznie zamykało wszelkie protekcyjne przesłuchania. Prawdę mówiąc, po pewnym czasie utarczki słowne zaczęły Kate nawet bawić.

Rozbawiona była również lady Elizabeth, gdy usłyszała koniec jednej z nich.

- Widzę, że masz zadatki na polityka, Kate. Nawet nie wiesz, jaką satysfakcję sprawił mi widok zakłopotanej lady Templeton.

Wiązała wielkie nadzieje ze swoją córką, zresztą okropną

dziewczyną. - Lady Elizabeth spojrzała z uznaniem na Kate. - Jestem przekonana, że Marcus byłby z ciebie dumny.

- Może. Ale proszę mu o tym nie wspominać.

Wicehrabiemu nie trzeba było mówić, że wokół jego narzeczonej krążyły liczne domysły i komentarze, starał się więc jak najlepiej przygotować dla niej grunt w londyńskich wyższych sferach. Dużo jej towarzyszył, zawsze troskliwy i uśmiechnięty, gotów ją chronić i dodawać otuchy. Gdy musiał się oddalić, starał się nie spuszczać Kate z oka, toteż zauważył epizod z panią Dorotheą Templeton, będącą kiedyś obiektem jego przelotnego zainteresowania.

- Nie tańczy pani, panno Harley? - Kate natychmiast poznała po głosie wroga dużego kalibru. Błyski w niebieskich oczach rozmówczyni tylko to potwierdzały.

- Nie. Nigdy nie miałam czasu nauczyć się tych francuskich tańców, które są teraz modne.

- Jaka szkoda. - Tancerze zakończyli właśnie statecznego kuranta i przeszli do żywszej sarabandy. Pawana, ku żalowi Kate, wyszła ostatnio z mody. Tymczasem piękna Dorothea pokazała jej pełen garnitur zębów, czarując przy okazji dołeczkiem w policzku, ale poczytanie tego za uśmiech stanowiłoby poważną omyłkę. - Życie na dworze jest nudne, jeśli nie umie się tańczyć. Rozumiem to jednak, panno Harley, pani nie miała dotąd okazji obracać się w kręgach dworskich, prawda?

- Och nie. Mój wuj, sir Henry Jessop, zdecydowanie potępia takie powierzchowne i niepoważne zajęcia, dlatego postarał się, aby

moja edukacja przebiegała na wyższym poziomie. - Zanim Kate zdażyła rozwinąć temat, poczuła dotyk na nadgarstku, a tuż obok usłyszała dźwięczny głos:

- Panna Harley nie miała okazji, żeby pozwalać sobie na tańce, panno Templeton. - Wicehrabia stanął przy nich i skłonił się z nieskazitelną elegancją. Kate dostrzegła w jego oczach zapowiedź szelmowskiego konceptu. - Jej talenty, o czym powinna pani wiedzieć, są niezmiernie, ale rozwinęły się w zupełnie innym kierunku.

- Naprawdę, milordzie? - Panna Templeton zmierzyła go kwaśnym spojrzeniem.

- Naprawdę. Trudno byłoby pani uwierzyć w ogrom umiejętności panny Harley.

Tylko niech nie próbuje wspomnieć o patroszeniu kurczaka i przyrządzaniu ryby! Kate wstrzymała oddech, choć przez cały czas trwała z przyklejonym do twarzy najuprzejmiejszym uśmiechem.

- Muszę wobec tego lepiej panią poznać, panno Harley - oznajmiła dama, choć z jej pewności siebie niewiele pozostało.

- Ja panią też - odparła Kate i ostentacyjnie położyła dłoń na przedramieniu Marcusa. - Lady Elizabeth wiele mi o pani opowiadała. Właściwie mam takie poczucie, jakbym już panią dobrze znała.

Wobec braku zachęty wicehrabiego do dalszej konwersacji Dorothei nie pozostało nic innego, jak pod pierwszym lepszym pretekstem wrócić do matki.

- Gratulacje, Violu. - Marcus przyjrzał jej się ze szczerym uznaniem. - Widzę, że ma pani ostre pazurki. I umie bez mojej pomocy utrzymać te harpie na dystans.

- To prawda, ale...

- Cóż takiego?

- Bardzo się bałam, że zawstydzi mnie pan wspomnieniem...

- O kurczakach? - Roześmiał się głośno, toteż odwróciło się ku nim kilka głów. - Pani jest niezastąpiona. - Pochylił się i pocałował ją w rękę, a potem zaskoczył Kate w najwyższym stopniu, bo pocałował ją w skroń.

- Milordzie!

- Co znowu? Dlaczego zawsze padam ofiarą pani niezadowolonia?

- Nie... ja... - bąknęła, obezwładniona jego czarem. - Tu jest miejsce publiczne. Ludzie zobaczą.

- Nie zrobiłem niczego niestosownego. Wolno mi przecież okazać ciepłe uczucie narzeczonej. - Z pietyzmem ułożył sobie jej rękę na ramieniu i ruszyli razem przez elegancką salę. Po drodze zerknął kątem oka na jej twarz. - Nie chciałbym znowu spotkać się z pani karzącą dłońią.

-No wie pan!

- Trochę mi ulżyło. Skoro więc jesteśmy w takiej przykładowej zgodzie, zobaczmy, czy na tym nudnym przyjęciu można znaleźć coś co jedzenia i picia.

Kate pomyślała, że istotnie zapanowała między nimi zgoda. Marlbrooke przyniósł dwa kieliszki hiszpańskiego wina, które powoli zaczęli sączyć.

Harmonia nie trwała jednak długo.

Kate miała pecha podsłuchać rozmowę Marcusa z wielce urodziwą, choć nie pierwszej już młodości damą w obszernych atłasach, która familiarnie poklepała go po ramieniu, co świadczyło o długiej zażyłości.

- A więc przywiozłeś swoją przyszłą żonę na dwór. Całkiem ładna, ale sądząc po fryzurze, pochodzi ze wsi, czyż nie?

- Tak. To jest Katherine Harley. A krótkie włosy mają swoją przyczynę.

- Rozumiem, milordzie, tajemnica. Między przyjaciółmi tak się nie godzi, ale wybaczam ci. Jesteś bardzo podobny do swego ojca, świeć Panie nad jego duszą. Jaka szkoda, że musisz się z nią ożenić, żeby zabezpieczyć swoją posiadłość. Mam jednak nadzieję, że jeszcze będziemy cię widywać i że nie przedłożysz nudnego życia na wsi nad dworskie uciechy.

-Zamierzam spędzić trochę czasu w Winteringham Priory.

- Planujesz również odbudować Glasbury Old Hall?

- Myślałem o tym.

- Rozumiem. Z pewnością jednak, mój drogi Marcusie, atrakcje dworu pociągają cię zbyt mocno, abyś na długo zaszył się na wsi.

Kate nie usłyszała jego odpowiedzi, bo przenieśli się z rozmową dalej. Zaczęła się jednak zastanawiać, czy atrakcje dworu mają

złociste loki i niebieskie oczy, a jeśli tak, to czy Priory wystarczy, by mogła utrzymać Marlbrooke'a u swego boku.

Uśmiechnęła się ciepło do lady Elizabeth, udając, że nie słyszała ani zdania z toczącej się obok rozmowy. Ogarnął ją jednak smutek i reszta wieczoru była dla niej stracona.

Do poprawienia stosunków mogło dojść następnego dnia. Marlbrooke kupił jej wachlarz, nieduży, składany, pięknie wykonany, a do tego mieniący się odcieniami fioletu.

- Jaki ładny. - Kate otworzyła go i ujrzała obramowanie z drobnych kwiatków. - Jeszcze nigdy nie miałam wachlarza.

- Muszę nauczyć panią, jak go używać. - Marlbrooke uśmiechnął się, widząc jej skupioną minę. - Będzie pani mogła nim się chłodzić i flirtować jak szalona. Wszyscy dżentelmeni legną u jej stóp.

- Nie umiałabym!

- Umiałaby pani z pewnością! Ja już czołgam się u twych stóp, a mówią, że jestem z natury oporny.

Zaskoczył ją, podniósł bowiem jej rękę do ust i zaczął delikatnie przyszczypywać zębami jej palce. Gdy próbowała zacisnąć pięść, rozchylił ją i zaczął pieścić wargami wewnątrz dłoni.

- Czuję, jak bije pani serce - powiedział cicho, unosząc wargi o centymetry nad dłoń. - Puls trochę przyśpieszył, mam nadzieję, że za moją sprawą. - Znowu poczuła dotyk jego ust na dłoni.

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

- Wie pani pewnie, że jest piękna. Pani oczy mają kolor fiołków z wachlarza. A mnie z tym do twarzy.

- Nie jestem jedną z pańskich dworek!
- Istotnie nie. - Nagle spoważniał, puścił jej dłoń i spojrzał w oczy. - Za to jest pani sobą. I to pani oddaję całą moją miłość.
- Nie należę do tego świata. - Nie była w stanie ani odwrócić wzroku, ani ukryć ogarniającej ją paniki.
- Może i nie, ale należy pani do mnie i tylko to ma znaczenie.
Niespodziewanie skradł jej pocałunek Pewnie nawet powtórzyłyby go bardziej namiętnie, ale do pokoju weszła Felicity, która zakończyła wizytę u kuzynki.

Kate odebrało mowę.

Jeszcze gorzej było następnego rana, gdy Kate wstała od śniadania.

- Myślę, że powinniśmy wybrać się do sklepów w Westminster Hall. - Tydzień szybko zamienił się w dwa, a lady Elizabeth chciała wykorzystać jak najlepiej czas, póki jej syn nie da hasła do powrotu. - Czy zechcesz mi towarzyszyć? Muszę kupić trochę koronki i jedwabne pończochy, może jeszcze jakąś ładną futrzaną mufkę... no i parę innych drobiazków, jeśli akurat mi się spodobają.

- Naturalnie.

Lady Elizabeth zauważyła, że panna Harley lekko zmarszczyła czoło.

- Czyżbyś nie miała ochoty, droga Kate?

- Nie, tylko...

- Co się stało?

- Nie mam pieniędzy. - To wyznanie wprowadziło Kate w duże

zakłopotanie, uświadomiła sobie bowiem, że jest całkowicie zdana na łaskę Oxendenów.

- Ech, Kate! - Lady Elizabeth roześmiała się ciepło. - Masz pieniądze, rzecz jasna. Jak to możliwe, że o tym nie pomyślałam. Tak się ucieszyłam perspektywą zakupów, że zupełnie straciłam głowę. Sadzę, że intercyza uprawnia cię do całkiem pokaźnej pensji, którą możesz wydawać na francuskie kreacje. Jesteś, a na pewno będziesz, bardzo zamożną młodą kobietą. Poza tym na śmierć zapomniałam. - Wstała od stołu i zaczęła czegoś szukać w przepastnym wnętrzu kredensu. - Rano Marcus pojechał z królem na polowanie do Richmond Park, ale wiedząc, że wybieram się na zakupy, zostawił to specjalnie dla ciebie.

Kate wzięła od lady Elizabeth pękata sakiewkę, zważyła ją w dłoni, posłuchała brzęku monet i przeczytała załączony liścik:

Wolu! Możesz wydać wszystko i cieszyć się każdym zakupem! To wcale nie musi być grzech!

Tak zamaszysty charakter pisma mógł mieć wyłącznie Marlbrooke.

Chwyciła sakiewkę, pełna entuzjazmu dla możliwości, które się przed nią otworzyły. Jeszcze nigdy dotąd nie była na takich zakupach, niczym dama z towarzystwa. Jeśli nawet przemknęła jej przez myśl przestroga ciotki Gilliver, to szybko wyrzuciła ją z głowy.

- Z prawdziwą przyjemnością będę pani towarzyszyć, lady Elizabeth!

Raz jeszcze Marlbrooke zaskoczył ją umiejętnością przewidywania i troską o jej potrzeby. A ona tymczasem na siłę szukała powodu, by podsycić swoją urazę. Czy kiedykolwiek uda się jej go zrozumieć? Szczerze w to wątpiła.

Niestety pewien obraz, który dręczył jej wyobraźnię, okazał się nad wyraz trwały i wielce niepokojący. W Priory znała Marlbrooke'a jako pana na włościach, teraz zobaczyła w nim doświadczonego dworzanina. Pełen uroku i ogłady miał wszystkie przymioty potrzebne ku temu, by zawrócić w głowie każdej kobiecie. Muskularna sylwetka prezentowała się bardzo korzystnie w luksusowych aksamitach i atłasach. Ciemne opadające na ramiona włosy jeszcze tylko potęgowały korzystne wrażenie. Która kobieta nie chciałaby ich dotknąć, poczuć w palcach ich miękkości? I która pozostałaby obojętna na twarz o tak doskonałych rysach?

Przekonała się, że Marlbrooke może flirtować nie tylko z nią, lecz także z innymi kobietami. Na przykład z panną Alice Lovell. Na myśl o tym Kate dostawała zimnej furii.

- On nie przywiązuje do tego żadnego znaczenia. - Lady Elizabeth spostrzegła, czemu przygląda się Kate, gdy siedziały razem podczas jednego z balów. Bardzo jej współczuła, na parkiecie zgromadził się bowiem sam dworski kwiat. I mimo uwielbienia dla syna, tym razem chętnie przetrzepałaby mu skórę.

- Naturalnie. - Kate oderwała wzrok od narzeczonego, mając na twarzy uśmiech równie promienny, jak fałszywy. - Ja też nie. Milord może tańczyć, z kim mu się podoba. Ponieważ nie jestem w stanie

publicznie popisywać się znajomością tak skomplikowanych kroków, nie mogę oczekiwać, że będzie dotrzymywał mi towarzystwa. - Odwróciła się, by na niego nie patrzeć, coś jednak zmuszało ją do przyglądania się, jak Marlbrooke tańczy z panną Lovell. Jak z wdziękiem i elegancją pochyła się nad jej dłonią, odpowiada skłonieniem głowy i urzekającym uśmiechem na jakąś uwagę, jak z finezją wykonuje zawile kombinacje kroczków. Właśnie uniósł brwi, znów się uśmiechnął, odnalazł w tańcu jej dłonie... Jak on śmie!

A potem Marcus zmienił partnerkę i zaczął tańczyć z uroczą Francis Stewart, bardzo kobiecą, ubraną w suknię z głębokim wycięciem z przodu.

Kate musiała z goryczą przyznać, że powodzenia mu nie brakuje.

Jego towarzystwa szukali zresztą również mężczyźni. Król i dworzanie grywali z nim w karty, polowali, spotykali się, aby rozegrać partię tenisa lub poćwiczyć fechtunek.

A ona miała w głowie nieustanny zamęt. Jak mogła zaufać człowiekowi, który ma na skinienie palcem tyle piękności? I czy chciała mu zaufać? Nie miała pewności. Za to nie ulegało dla niej wątpliwości, że nienawidzi każdej chwili, którą Marcus spędza z innymi kobietami. Kiedy się uśmiechał, kiedy oczy skrzyły mu się humorem lub uczuciem, wtedy chciała go mieć tylko dla siebie.

Wracając do Winteringham Priory, owinięta w futra dla ochrony przed przenikliwym zimnem, Kate dumiała nad tym, czego zaznała w Londynie. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że przez cały ten czas

ani razu nie wspomniała Richarda. Ogarnęło ją poczucie winy, że jest taka trzpiotowata i powierzchowna. Może ciotka Gilliver jednak miała rację? Gładka twarz i dwa tygodnie z pękatą sakiewką w stolicy wystarczyły, by ją omamić.

RS

Rozdział dziesiąty

Znalazłszy się ponownie w Widemarsh Manor, Kate oczekiwała ostrej rугi od ciotki Gilliver, ale usłyszała tylko jedną zgryźliwą uwagę:

- No, jesteś wreszcie z powrotem. Bez wątpienia przesiąknięta grzechem i rozpustą.

Wyglądało więc na to, że Londyn nie stanowi tematu do rozmowy. Kate bardzo to zaintrygowało, aczkolwiek z drugiej strony wcale tego nie żałowała. Zwróciła broszkę z brylantem (nie nosiła jej ani razu) i podarowała ciotce wysoko cenione jedwabne pończochy. Lśniące klejnoty powróciły na swoje miejsce na wytartym staniku sukni, a podarunek został przyjęty bez słowa.

Pewnego miłego poranka Kate przywdziała stary kostium jeździecki, znaleziony w garderobie, a także obszerną pelerynę, równie starą, lecz przydatną w razie deszczu, który, jak to w kwietniu, w każdej chwili mógł spaść.

- Wiem, co zamierzasz - powiedziała ciotka Gilliver, gdy spotkały się w sieni. - Chcesz obejrzeć grób Isolde, prawda?

- Oczy zabłyśły jej w zrozumieniu. - Wiedziałam, że się nie oprzesz.

Kate parsknęła śmiechem.

- Masz rację, przebiegła cioteczko. Czyżby tak łatwo było mnie przejrzeć? Może wybierzesz się ze mną? Zaczerpnęłabyś trochę świeżego powietrza.

- Już od dawna nie dosiadałam konia, za stara jestem. Zamierzam wysłać Mason do ogródka ziołowego, żeby sprawdziła, czy deszcz i wiatr zostawiły dla nas cokolwiek do uratowania. Nie brakuje nam zajęcia, ale tobie taka przejażdżka dobrze zrobi. Jedź, póki jest słońce.

Kate zdecydowała się więc na ucieczkę. Właśnie tak należało to nazwać. Ostatnio intensywnie szukała testamentu, ale choć znakomicie poznała topografię Priory, jednak żadnej skrytki nie znalazła. Marcus nie wtrącał się do jej zajęć, tylko czasem z uśmiechem pytał o postępy lub wspominał o pajęczynach, które wplątywały jej się we włosy.

Gdy zjawiała się w stajniach, stary masztalerz, służący również jako stangret, już na nią czekał.

- Dzień dobry pani. - Na powitanie dotknął czapki i skinął głową na stajennego, który zniknął w jednym z boksów.

- Dzień dobry. Czy będzie padać?

- A pewnie. O, jest klaczka.

- Ale nie moja!

- A czyjażby, jeśli nie pani? Specjalnie przysłano ją z Priory, bo często pani jeździ.

- Ale... - No tak Oczywiście Marlbrooke.

- Powiedział, że nie wolno mi się zgodzić na pani odmowę. Ma pani dosiadać tej klaczki i już. - Bystre oczy Westa zabłyśły, gdy zauważył jej wahanie. Wiedział, że duma nakazuje jej odmówić

przyjęcia podarku, lecz widok pięknej klaczy po prostu ją zauroczył. Zauroczenie okazało się silniejsze.

Stajenny stanął u łba kasztanki, osiodłanej i gotowej do przejażdżki. Jej sierść lśniła w słońcu. Kate pieszczotliwie przesunęła dłonią po karku klaczy i wsunęła palce w ciemną grzywę. Skąd Marcus wiedział, jak można sprawić jej przyjemność? Na początku tygodnia chciała skorzystać ze spiżarni w Priory i przekonała się, że pomieszczenie jest świeżo wysprzątane, niewątpliwie na jego polecenie. Okienko lśniło, ława i podłoga zostały wyskrobane i wyszorowane, znalazła też dużo słoików, talerzy i pojemników, potrzebnych do przechowywania ziół i owoców. Była też księga do spisywania zapasów i notowania przepisów. Naturalnie nie wspomniał jej o tym ani słowem, żeby nie zmuszać jej do okazywania wdzięczności. Po prostu zrobił, co należało, i już.

- Jaka piękna. - W końcu udało jej się wydobyć z siebie głos. - Czy ona naprawdę jest dla mnie?

West pochylił się, by pomóc jej dosiąść klaczy.

- Tak, proszę pani. Jego lordowska mość mówi, że ma pani tu jeździć na Goldfinch. Jest płochliwa, jak to kobieta, ale świetnie ułożona.

- Nigdy nie miałam równie wspaniałego wierzchowca. - Kate była tak rozradowana, że puściła mimo uszu uwagę o kobietach. Ujęła wodze. Klacz zastrzygła uszami i rzuciła łbem. Spieszno jej było w drogę.

- Jego lordowska mość zna się na koniach. Czy pani daleko jedzie?

Kate pokręciła głową.

- Nie. Tyle tylko, żeby zrzucić z siebie wszystkie pajęczyny. Wybieram się przez park do East Wood. Zajrzę też do Priory dowiedzieć się o zdrowie lady Elizabeth. - Poprawiła spódnice i ciaśniej otuliła się peleryną. - Przy odrobinie szczęścia wrócę przed następną ulewą.

- Wobec tego pojedzie z panią chłopak.

- Chłopak? - Spojrzała zaskoczona na Westa.

-Ano tak. - Wskazał palcem młodego człowieka, który, wyraźnie znudzony, opierał się o drzwi stajni. - Jego lordowska mość powiedział, że do Priory nie wolno pani jeździć samopas. Za dużo złodziei i zbójców dookoła. Dlatego Josh z panią pojedzie.

- Niedorzeczność. Nie potrzebuję ochrony.

- Jego lordowska mość przewidział pani protesty. - West skwitował skinieniem głowy nieuchronną różnicę poglądów. - Ale chłopak musi z panią jechać.

- Na pewno...

- Nic to nie da, proszę pani. Nie odważę się zlekceważyć tego polecenia. Jego lordowska mość byłby bardzo niezadowolony. Chłopak pojedzie z panią.

W odpowiedzi Kate mknęła zniecierpliwiona w sposób raczej niestosowny dla damy. Nie chciała, żeby ktokolwiek jej towarzyszył. Z drugiej strony musiała wziąć pod uwagę to, że gniew wicehrabiego

mógł dotknąć zupełnie niewinnej osoby. Do tego też nie mogła dopuścić... Uśmiechnęła się i skinęła głową w oczekiwaniu, aż Josh dosiadzie konia. Gdy stajnie znikły z pola widzenia, powściągnęła klacz i dała znak chłopakowi, by podjechał.

- Mam sprawę do załatwienia. Będzie szybciej, jeśli pojedę sama. Rozumiesz?

Josh bardzo się zmieszał.

- Nieważne. - Kate ukryła zniecierpliwienie, byle jak najszybciej pozbyć się eskorty. - Pojedziesz głównym traktem i poczekaś na mnie przy starym dębie na błoniach. Tam się spotkamy i będziesz mógł towarzyszyć mi do Priory. Tak jak życzy sobie wicehrabia - dodała, widząc, że chłopak zbiera się do protestu. - Najpóźniej za godzinę. Rozumiesz?

- Tak, proszę pani. Przy starym dębie.

Nie dała mu czasu do namysłu, żeby nie zmienił zdania, i pognęła przez park. Upojona pędem Goldfinch, zapomniała o Joshu i w ogóle o całym tym kłopotcie.

Klacz przecięła pastwisko i zmierzała ku ograniczającemu je rzędowni drzew. Zgodnie ze wskazówkami ciotki Gil-liver, Kate pojechała wzdłuż granicy parku i lasu. W pewnej chwili zwolniła do stępa, polana z grobem mogła bowiem zarosnąć. Z pewnością nikt nie troszczy się o grób Isolde. Zabudowania Widemarsh Manor i Priory znikły już z widoku za łagodnym wzniesieniem, a jej towarzyszyły tylko krążące w górze gawrony oraz króliki, skubiące tu i ówdzie wschodzącą trawę.

Polana istotnie była zarośnięta krzakami i młodymi drzewkami, przy odrobinie uporu i zręczności można jednak było się na nią dostać. Kate zeskoczyła z siodła, przywiązała Goldfinch do zwalonego pnia i zaczęła się przedzierać przez zarośla. Jeżyny szarpały jej pelerynę, a kostium jeździecki oblepiły nasiona. Nie zważając na to, parła naprzód, póki nie dostrzegła zwietrzałego bloku marmuru, otoczonego kępą brzoź.

Figura anioła ze spuszczoną głową, jedyna ozdoba skromnego grobu, nic nie mówiła o tragicznych okolicznościach śmierci Isolde.

Isolde Elizabeth Harley

Kate przesunęła palcem po literach. Nie było dat. Nie wspomniano powodu śmierci. Poniżej można było jeszcze odcyfrować krótkie epitafium:

Wspomnijcie z powagą jej rozpacz

Módlcie się za jej duszę

Niech Bóg ma nad nią zmiłowanie

Nic więcej. Tylko trochę zawilców znaczyło niewielki wzgórek porośnięty trawą. Wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć śpiewu ptaków i szumu brzoź.

- Nie zaznałaś pokoju, czyż nie? - powiedziała cicho głęboko poruszona Kate, przyciskając dłonie do kamienia. Zmówiła więc pacierz za udręczoną duszę Isolde, potem powoli wróciła na krawędź lasu.

- Nie wiem, co spodziewałam się tutaj znaleźć - poinformowała milczącą Goldfinch, która pieszczotliwie trąciła ją pyskiem w ramię. -

Może Isolde pozostanie jednak dla mnie już zagadką, a dla przyszłych pokoleń jej imię w ogóle przepadnie w niepamięci. Jedziemy do Priory.

Wracała leniwym stępem, rozkoszując się ciepłem słonecznych promieni. Z zadumy wyrwał ją tętent galopującego konia. Poczula się nieswojo, na wszelki wypadek skrzyła więc, by skryć się za zagajnikiem. Jeździec był już na wzgórzu na wprost niej. Miejsce lęku natychmiast zajęła radość, poznała bowiem jasnowłosego mężczyznę.

- Richard! - Uniosła ramię na powitanie i wyjechała zza drzew.

Kuzyn natychmiast zmienił kierunek jazdy i wnet z wielką swobodą zeskoczył przed nią z konia.

- Dzień dobry, panno Harley. - Zdjął kapelusz i wykonał zabawny, skomplikowany ukłon. - Mam nadzieję, że zdrowie pani dopisuje.

- Och, Richardzie, pomóż mi zsiąść. - Wyciągnęła ku niemu ramiona i znalazła się bezpiecznie w jego objęciach. Zbyt późno uświadomiła sobie skutki swojego spontanicznego zachowania. Próbowwała się uwolnić, ale Richard nie miał zamiaru jej puścić.

- Najdroższa Kate.

Widząc jego uśmiech, poczuła się nieswojo. Jak to się stało, że niemal całkowicie wyrzuciła go z myśli? Przecież ucieszyła się na jego widok

Czy jednak mogłaby powiedzieć, że go kocha? Trudne pytanie, na które nie znała już odpowiedzi.

- Przyjechałem cię zobaczyć - ciągnął Richard. - Powiedz mi, że myślałaś o mnie równie często, jak ja o tobie.

Odwzajemniła uśmiech.

- To prawda, że bardzo chciałam się z tobą spotkać. Ostatnio widzieliśmy się w ogrodzie w Downham Hall. Wydaje mi się to tak dawno. - Zafrasowała się. - Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

- Dlaczego nie? Przecież wypada od czasu do czasu odwiedzić kuzynkę. Nie wiedzieliśmy, gdzie się podziałaś, dopóki sir Henry nie otrzymał listu od Marlbrooke'a, a potem usłyszeliśmy o twoim wyjeździe do Londynu. Wreszcie jednak mogłem przyjechać, żeby cię zobaczyć.

Richard wciąż trzymał ją w pole, a ponieważ uśmiechała się do niego, przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Jesteś piękniejsza, niż zapamiętałem. Mimo tych włosów! - Delikatnie pogłaskał ją po policzku. - Mogę o coś spytać? Czy wciąż mnie kochasz, czy też pozwoliłaś się uwieść zaletom małżeństwa z Marlbrookiem?

Kate odwróciła głowę.

- Sytuacja jest beznadziejna. Zostałam wmanewrowana w małżeństwo polityczne, bez szans ucieczki. - Ciekawa była, czy Richard zauważył, że nie odpowiedziała na jego pytanie. Chyba jednak nie.

- Jesteś tego pewna? - rzucił z ledwie tłumionym gniewem.

- Naturalnie. Zrozum, że nie wolno nam już kontynuować naszego... naszej znajomości. Intercyza została podpisana. Jestem

teraz według prawa narzeczoną Marlbrooke'a i nie można tego zmienić. Pozostała kwestia ustalenia daty ślubu.

- Rozumiem tylko tyle, że nie mogę przestać myśleć o twoich szafirowych oczach i pięknej twarzy. I wiem, że póki żyję, nie zrezygnuję z ciebie.

Zanim Kate zdążyła zaprotestować, Richard objął ją jeszcze mocniej i odnalazł jej usta. Próbowwała go odepchnąć, ale bez skutku. Co więcej, jego usta stawały się coraz bardziej zaborcze, przestała więc walczyć i bezwolnie poddała się jego życzeniu. Puścił ją, ale tylko po to, by okryć pocałunkami jej twarz i szyję. -I co? Beznadziejna sytuacja? - spytał.

Spojrzała mu w oczy, mając w głowie kompletny chaos. Drogi Richard. Taki prostolinijny i wierny w swym przywiązaniu. Znała go od małego i chciała związać z nim swą przyszłość. Ale teraz... nie potrafiła zapomnieć ani wyznań Marcusa, ani jego namiętnych pieszczot. Nie powinna jednak teraz o nim myśleć. Musiała dać odpowiedź Richardowi, i to taką, która zarazem byłaby uczciwa i mówiła prawdę o jej uczuciach.

- Nie... Tak... Och, Richardzie. Tylko wszystko pogarszasz. Sytuacja wciąż jest beznadziejna, a staje się bardziej bolesna dla nas obojga.

Wypuścił ją z objęć, wciąż jednak mocno ścisnął jej rękę.

- Kate, ufasz mi?

- Naturalnie. - Z tym nie było problemu.

- Wobec tego zachowaj to w sercu. Zrobisz to? Bez względu na to, co się zdarzy?

Skinęła głową. -Ujrzała w jego oczach krzepiący spokój. Co-
kolwiek miało nadejść, wiedziała, że zawsze znajdzie schronienie w
jego ramionach. Richard był jej skałą na ruchomych piaskach. Czule
cmoknęła go w policzek.

- Dziękuję, mój drogi.

- Jestem do pani usług, panno Harley, teraz i zawsze. Chodźmy.

- Położył jej rękę na swoim ramieniu i ujął wodze obu wierzchowców.

- Pospacerujmy chwilę.

Przeszli przez ukwieconą łączkę, ciesząc się bez zbędnych słów
swoim spotkaniem.

Nagle Kate przerwała milczenie.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? Nie uwierzę, że był to
czysty przypadek.

- Nie, nie jestem wszechwiedzący. - Richard uśmiechnął się. -
Pojechałem najpierw do Priory. Tam Verzons skierował mnie do
Widemarsh Manor, a ciotka Gilliver powiedziała mi, gdzie cię
spotkać.

- Czyli byłeś już w Priory? - Zmarszczyła czoło. - Zastałeś tam
Marlbrooke'a?

- Nie wiem. Zdażyłem tylko zsiąść z konia i porozmawiać z
Verzonsem.

- Rozumiem. Właśnie jadę do Priory.

- Będę więc ci towarzyszył.

Kate zastanawiała się, czy nie wybić Richardowi tego pomysłu z głowy, ale dostrzegła znajomy grymas na jego twarzy i zrozumiała, że nic by to nie dało. W gruncie rzeczy nie było nic złego w tym, że Marlbrooke pozna jej kuzyna. A może jednak? Chłodny powiew przeszył ją niemiłym dreszczem.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się. - Najpierw pojedziemy jednak na błonia. Muszę jeszcze zabrać kogoś po drodze.

Klaczka wracała bardzo zwawo, niewątpliwie czując zbliżającą się stajnię. Kate uradowała się, gdy pojawił się przed nią widok masywnej kamiennej budowli i jej mieniących się w słońcu okien, podzielonych na drobne szybki. Przejechali z Richardem ramię w ramię bukową aleją, a odnaleziony po drodze stajenny posuwał się w przyzwoitej odległości za nimi. Gdy skręcili na dziedziniec, Marlbrooke akurat wychodził ze stajni. Spotkali się chwilę potem.

- Milordzie, czy mogę przedstawić kuzyna? - spytała Kate. - To jest Richard Hotham, który przyjechał zobaczyć, jak się miewam. A to, Richardzie, jest milord Marlbrooke. - Uznała, że wicehrabiemu należy się jeszcze słowo wyjaśnienia. - Spotkałam Richarda po drodze w parku.

Marcus puścił jej rękę i wykonał ukłon.

- Kate mówiła mi o panu - powiedział obojętnym tonem. - Spodziewałem się pańskiej wizyty, i to raczej szybko.

- Słusznie. - Richard stanął obok Kate i dotknął jej ramienia zaborczym gestem. - Kiedy otrzymaliśmy wiadomość o miejscu pobytu Kate, rodzina poprosiła mnie, abym tu przyjechał.

- Byłem bardzo zdziwiony, że pannie Harley pozwolono odbyć podróż do domu ciotki samotnie, bez żadnej opieki. - Głos Marlbrooke'a stał się lodowaty. Taki ton Kate słyszała u niego rzadko.

- Sama o tym zdecydowałam - stwierdziła stanowczo. - Pan dobrze wie, że nie można na tej podstawie wyciągać wniosków co do troskliwości mojej rodziny.

- Naturalnie, moja miła. Osobiście zdecydowałbym jednak inaczej. Może być pani pewna, że w przyszłości nie pozwolę, by narażała się pani na takie niebezpieczeństwa.

Narastające między nimi napięcie wydało się Kate nieznośne. Spojrzała karcąco na Marlbrooke'a, ale odsunęła się od Richarda, tak że stanęła między nimi.

- Nie musi pani tak gorliwie osłaniać przede mną swojego kuzyna, najmiłsza Kate. - Słowa Marcusa aż ociekały ironią. Kate splonęła pąsem, ale powstrzymała się przed ostrą odpowiedzią. Tymczasem wicehrabia zwrócił się do Richarda podejrzanie przyjaźnie: - Czy zamierza pan długo u nas zabawić, panie Hotham?

- Pani Gilliver zaoferowała mi gościnę w Widemarsh. Ciepło mnie również powitała. Sądzę, że zatrzymam się u niej na kilka dni.

- Tak należało przypuszczać. - I znów reakcja była enigmatyczna. Marlbrooke zaprezentował oficjalny uśmiech, w którym nie było ani ciepła, ani wesołości. - Sympatie pani Gilliver łatwo przewidzieć. Spodziewam się jeszcze zobaczyć pana w Priory. A teraz, jeśli pan pozwoli...

W tej chwili rozległ się klekot trzewików na bruku dziedzińca i głośny krzyk Elspeth:

- Milordzie! Milordzie! Proszę szybko przyjść!

- Co się stało, Elspeth?

Stała przed nim, z trudem łapiąc oddech, dłonie zaciskała na fartuchu.

- Milady... Milady źle się poczuła, bardzo źle. Panna Felicity odchodzi od zmysłów. Pani Neale mówi, że milord musi natychmiast przyjść.

W jednej chwili Marlbrooke cisnął wodze Goldfinch Jenksowi i wielkimi krokami ruszył ku domowi.

Marcus pokonał schody biegiem. Kate podążała za nim, podciągając spódnice. Richarda pozostawiła przed stajnią, miał sam zdecydować o swoich dalszych poczynaniach. Mina Elspeth wróżyła nieszczęście. Gdy Kate dopadła otwartych drzwi do sypialni lady Elizabeth, jej najgorsze przeczucia się potwierdziły.

W pokoju panowała przykra duchota, tym bardziej że na kominku płonął duży ogień, paliły się liczne świece, a zasłony były zaciągnięte. Lady Elizabeth leżała na łóżku całkiem nieruchoma, jeśli nie liczyć gwałtownych i zupełnie niekontrolowanych ruchów głowy. Pochylona nad nią pani Neale próbowała bez powodzenia uspokoić ją kojącymi słowami i ostrożnym dotykiem. Przejęty i bezradny Verzons stał w nogach łóżka.

Marlbrooke usiłował wydusić jakąkolwiek sensowną wypowiedź ze szlochającej Felicity, która klęczała przy łóżku z rękami złożonymi do żarliwej modlitwy.

Wejście Kate wywarło nieoczekiwany skutek. Gdy Felicity ją dostrzegła, porzuciła modlitewną pozę i chwiejnie wstała. Na jej białych policzkach rozlały się chorobliwe rumieńce. Z dłońmi zaciśniętymi w pięści ruszyła ku sprawczyni wszelkiego zła w Priory.

- Milord wpuszcza ją do tego pokoju? To wszystko jej wina!

- Panno Felicity... - Marlbrooke usiłował ją zatrzymać, aby zapobiec fizycznej agresji, ale jego ramię zostało bezceremonialnie odtrącone.

- To się zaczęło, kiedy ona się tutaj zjawiała. Dostała się do domu pod fałszywym pretekstem, udając niewiniątko. Przekłeta purytanka! Wkradła się w łaski pani i wmówiła jej jakiś diabelski napar. Ostrzegałam panią, ale nie chciała mnie słuchać. Milady była zbyt ufna, a panna Kate za sprytna. Uzależniła milady od siebie, złagodziła jej ból, karmiła fałszywymi obietnicami... a potem podała jej truciznę. Teraz milady umrze, a to wszystko jej wina. - Łzy wściekłości popłynęły jej po policzkach.

- Felicity, nie ma pani żadnego dowodu na poparcie swoich słów. - Marcus usiłował zachować się racjonalnie i poskromić ten wybuch emocji, ale nie przyniosło to pożądanego efektu.

- Nie, dowodu nie mam - zaszlochała Felicity. - Ale uważnie się przyglądałam. Widziałam jej uśmiechy i przymilne słówka. Widziałam, jak owija sobie milady wokół małego palca, żeby zająć

moje miejsce. I udało się. Milady dawała jej podarki. Śmiała się z nią. Stosowała wszystkie mikstury i maści, które jej podsuwała z fałszywej życzliwości. - Oskarżycielsko wskazała Kate. - A ona teraz spiskuje z tą Gilliver Adams. I pan chce ode mnie dowodu? Oto dowód, nie potrzebuję innego! I pan też nie będzie potrzebował, jeśli milady umrze.

- Ja nigdy nie... - Kate zbladła jak ściana, na czoło wystąpił jej pot.

- Nigdy? Zaprzecza więc pani, że podała milady truciznę? O, właśnie to milady wypić! - Felicity wskazała niewielki flakonik przy łóżku. - A kto jej to podstawił, jak nie pani? I co się stało? Ona umrze. - Felicity ukryła twarz w dłoniach i zaniósła się szlochem.

Wszyscy osłupieli, wstrząśnięci powagą oskarżenia przeciwko Kate. Pierwszy doszedł do siebie Marlbrooke.

- Tym wszystkim zajmiemy się później. Teraz najważniejsze jest, żebyśmy... - Zanim zdążył powiedzieć więcej, Felicity rzuciła się na Kate, która, zaskoczona i oszołomiona, nawet nie próbowała się bronić, gdy paznokcie Felicity rozorały jej policzek Krzyknęła z bólu i zatoczyła się do tyłu.

Tego było już za wiele. Marlbrooke chwycił Felicity za nadgarstki i wyciągnął na korytarz. Tam zwrócił się do Verzonsa:

- Nie potrzebujemy tutaj takich scen. Proszę ją odprowadzić do pokoju i zamknąć na klucz, gdyby okazało się to konieczne.

- Tak jest, milordzie. - Rządca ujął szlochającą Felicity za ramię i poprowadził korytarzem.

Kate tkwiła w miejscu jak sparaliżowana.

- Co teraz? - spytał Marcus, zwracając się do niej z posępną miną. - Co ona wypła?

- Nie wiem. - Kate nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia po nagłym ataku. - Nie mam tyle wiedzy. Ona myśli, że ją otrułam. Myśli, że chciałam ją zabić. - Przerażonym wzrokiem wpatrywała się w leżącą na łóżku lady Elizabeth. - Nie potrafię pomóc.

Marlbrooke nie tracił czasu. Nie zważając na obecność służby, chwycił Kate za ramiona i mocno nią potrząsnął.

- Posłuchaj mnie - syknął przez zaciśnięte zęby. - Patrz na mnie... Jesteś naszą jedyną nadzieją, Kate. Zapomnij o słowach Felicity. Zrób, co umiesz. Jeśli ktokolwiek może ją ocalić, to właśnie ty. - Potrząsnął nią jeszcze raz, aby dodać mocy swoim słowom. Widział czerwone pręgi, przecinające jej policzek, widział paniczną trwogę w pięknych fiołkowych oczach, nie było jednak czasu na współczucie.

Kate popatrzyła na niego wstrząśnięta. Twarz miał nieruchomą, spojrzenie lodowate. Czyżby i on ją winił?

- Kate! - Jeszcze mocniej wbił palce w jej ramię. To pomogło jej opanować histerię.

- Naturalnie. Zrobię, co w mojej mocy. - Wyprostowała się, wierzchem dłoni otarła wyschnięte usta i podeszła do łóżka, usiłując skoncentrować się na tym, czego dowiedziała się od matki.

Skupiona na swoim zadaniu, zaczęła się uspokajać. Wracała jej zdolność racjonalnego myślenia. Nie miała wpływu na to, co sądzi o

niej Marlbrooke, musiała jednak zrobić wszystko, aby przeciwdziałać skutkom środka wypitego przez lady Elizabeth.

- Rozsuńcie zasłony i zgaście świece. Wpuśćcie światło. - Jej głos stopniowo nabierał pewności. - Trzeba zmniejszyć ogień. Otwórz okno, Elspeth. Musimy mieć więcej powietrza. - Usiadła na krawędzi łóżka i przyjrzała się rzucającej się na poduszkach lady Elizabeth.

Półprzytomne oczy otworzyły się, raczej jednak nikogo nie poznawały.

- Pani Neale, proszę powiedzieć, co pani wie.

- Posłała po mnie panna Felicity - odrzekła gospodyni. - Milady miała uderzenie gorąca i zrobiła się cała czerwona. A potem jakby straciła rozum, zaczęła mówić bez sensu i bardzo niewyraźnie. Skarżyła się na ból ramion i nóg, ale nie tak jak zwykle w stawach. Mówiła, że jej sztywnieją. Pewnie dlatego upadła.

Kate pochyliła się nad chorą. W bladej twarzy zwracały uwagę czerwone i opuchnięte wargi. Żadnych innych śladów nie było.

- Co ona piła?

- To. - Pani Neale podała zielony flakonik

Kate odkorkowała go i pociągnęła nosem. Nie odkryła żadnej charakterystycznej woni. Wsunęła do środka palec, zwilżyła i spróbowała kropelkę. Gorzkie! Na szczęście ponad połowa flakonika była jeszcze pełna, lady Elizabeth nie wypila wszystkiego.

- Jak to przyjęła?

- Chyba w winie, proszę pani. Powiedziała, że puchnie jej język i miała wytrzeszczone oczy. A potem upadła na podłogę. Wtedy pani Felicity posłała po mnie.

- Co to jest? Czy pani wie? - spytał szorstko wicehrabia. Kate starała się przywołać całą swą wiedzę. Wydawało jej się, że jest tylko jedna odpowiedź, chociaż brzmiała ona porażająco.

- Myślę, że akonit.

- Czy zabija?

- Tak. - Nie mogła ukrywać prawdy. - Może zabić, jeśli ktoś wypije go za dużo. Widziałam już kiedyś takie objawy. Dziecko w Downham Hall najadło się liści, akonit często rośnie w ogrodach, bo ładnie kwitnie. Robi się też z niego maść na ukąszenia, która usuwa jad i łagodzi obrzęk. Ale wypity wyciąg z akonitu jest trucizną.

- Czy to dziecko zmarło?

-Tak.

Marcus pogłaskał potargane włosy matki.

- Czy nic nie może pani zrobić? - Z jego głosu biła rozpacz.

Kate zwróciła się do pani Neale:

- Proszę mi przynieść pióro i papier. - A potem powiedziała do Elspeth: - Poślij kogoś, żeby sprawdził, czy jest jeszcze pan Hotham. Jeśli nie, potrzebuję kogoś, kto natychmiast pojedzie do Widemarsh Manor.

Nastąpiła chwila gorączkowej krzątaniny. Kate naskrobała liścik do ciotki i przekazała go do doręczenia.

- Proszę mu powiedzieć, żeby jechał najszybciej, jak może. To ważne.

- Po co pani posłała? - nerwowo spytał Marlbrooke.

- Po czarcikęs - odrzekła, po czym przygotowała się duchowo do trudnego zadania. Musiała skłonić lady Elizabeth, aby pozbyła się trucizny.

Zatrzymała Elspeth, ale Marcusa bezceremonialnie wyprosiła z pokoju.

- To nie będzie przyjemne, niech pan pozwoli zachować matce trochę godności. Kiedy wyzdrowieje, będzie panu za to wdzięczna.

Z ociąganiem przyjął tę argumentację, zwłaszcza że optymistyczna prognoza na przyszłość podniosła go nieco na duchu. Przez następne godziny nie mógł sobie jednak znaleźć miejsca. Regularnie wysyłał do Kate i Elspeth służbę z winem i jedzeniem, poza tym jednak starał się nie przeszkadzać. W końcu jednak zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem pod drzwiami sypialni, aż wreszcie Kate wyrzwała i kazała mu znaleźć sobie zajęcie.

Kate wykorzystała napar z wierzby białej, aby złagodzić ostrą biegunkę, która wkrótce się zaczęła. Razem z Elspeth podawały pacjentce płyn w regularnych odstępach. Lady Elizabeth zdawała się nie reagować, wciąż wstrząsały nią skurcze, nie należało jednak oczekiwać cudu. Kate i Elspeth cierpliwie pielęgnowały chorą, ale gdy podtrzymywały ją podczas kolejnego ataku skurczów, w ich oczach widać było trwogę.

- Och, panno Harley. Nic się nie polepsza. Biedna milady.

- Ile czasu zajmuje jazda tam i z powrotem do Widemarsh?

Może ciotka Gilliver przyśle nam jakiś środek Im dłużej to trwa, tym mocniej działa trucizna. - W poczuciu kompletnej bezradności Kate nerwowo kręciła się po pokoju.

- Już pewnie niedługo, proszę pani. A milady chyba trochę się poprawiło.

- Dziękuję, Elspeth. - Kate padała ze zmęczenia, ale była wdzięczna służącej za ten wyraz zaufania, mimo że to, co sama widziała, przeczyło krzepiącym słowom. - Idź do pani Neale, przynieś potpourri, lawendę albo cokolwiek innego, byle ładnie pachniało. I koniecznie trochę wina.

Pani Adams przysłała krótki liścik i niewielki płócienny woreczek. Kate podziękowała zdyszszanemu stajennemu, który pędził co koń wyskoczy, i szybko wróciła do sypialni. Lady Elizabeth wciąż majaczyła i coraz trudniej było wlać płyn w jej obrzmiałe usta. Kate wyjęła zawartość woreczka, niepozorny guzkowaty korzeń, i zagotowała go nad kominkiem w winie. Gdy tylko z kociołka zaczęła się unosić obfita para, odlała część wina i ochłodziła je wodą, żeby nadawało się do picia. Reszta gotowała się dalej i nabierała mocy, by potem, przestudzona, mogła być podawana chorej bez rozcieńczania. Kate uznała jednak, że pewną ilość tego środka należy zastosować jak najszybciej, zanim wyczerpany organizm całkiem straci siłę, by walczyć ze śmiertcionośnym akonitem.

- No, Elspeth, do pracy. - Kate podeszła do łóżka z remedium ciotki Gilliver.

Elsbeth próbowała unieść lady Elizabeth, było jednak jasne, że nie ma dość siły.

- Nie utrzymam jej nieruchomo, panno Kate. Jest zbyt niespokojna. Może sprowadzę pomoc?

- Poślij po panią Neale. Albo nie, czekaj. Sprowadź wicehrabiego. Pewnie jest w bibliotece.

Wkrótce do pokoju wszedł Marlbrooke, a scena, którą ujrzał, zmroziła mu krew w żyłach. Wyglądało na to, że stan chorej się pogorszył.

- Trzeba napić lady Elizabeth - powiedziała Kate - a pan ją musi przytrzymać. Jest bardzo niespokojna, Elspeth nie daje sobie rady.

Usiadł u wezglowia łóżka i oparł matkę o swój tors, a jej ramiona przycisnął do boków ciała. Trzymał ją najdelikatniej, jak umiał. Kate przytknęła kubek do ust chorej i wspólnym wysiłkiem zdołali wlać jej większą część wina do gardła.

- Zrobione. Teraz pozostaje już tylko czekanie. - Zerknęła na Marcusa. - Dziękuję, dalej sobie poradzimy. Kiedy milady się uspokoï, będzie łatwiej ją poić.

- Może chce pani, żebym został. Z pewnością mogę jakoś pomóc.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Elspeth i ja wszystko zrobimy.

- Musicie być zmęczone...

- Proszę mi wierzyć, pańska matka na pewno wolałaby, żeby pana tu nie było - powiedziała łagodnie.

Nie miało sensu wywoływać sprzeczki, ale przed odejściem Marcus wywołał Kate na korytarz.

- Niech mi pani powie, co robicie.

- To jest zatrucie akonitem, tak jak sądziłam. Moja ciotka potwierdziła diagnozę, przysłała nam korzeń czarcikęsu i poleciła zgotować go w winie. To bardzo silny środek na zatrucia i gorączkę.

- Czy podziała?

- Wywoła poty. Trucizna zacznie wydostawać się przez skórę, a przy okazji spadnie temperatura. Ciotka Gilliver dobrze zna ten środek, moja matka również go stosowała. Jego użycie w takich przypadkach zaleca Culpeper.

- Czyli pozostało nam tylko czekanie.

- Tak - Kate obróciła się i wróciła do sypialni, zanim zdążyła wyczytać oskarżenie w oczach Marlbrooke'a.

Dzień mijał bardzo wolno, godziny wlokły się niemiłosiernie. Potem zapadła noc. Marcus starał się nie wtrącać, wiedział, że Kate posłałaby po niego, gdyby zaszła jakaś zmiana w stanie chorej. Jeśli w ogóle należało spodziewać się zmiany. Elspeth i pani Neale wychodziły z sypialni i wracały, ale Kate nie pojawiła się ani razu. Wicehrabia w końcu zapadł w drzemkę na fotelu w bibliotece.

Przed świtem, gdy na wschodzie pokazały pierwsze jaśniejsze smugi, obudził go dotyk zimnej dłoni.

- Co się stało? - Jedynym źródłem światła w bibliotece był dogasający kominek, ale Marlbrooke natychmiast zorientował się, kto stoi obok niego.

- Udało się. Śpi spokojnie, sen wygląda na naturalny. Jest bardzo słaba i będzie potrzebować opieki, ale zatrucie najpewniej nie zostawi trwałych skutków.

Odetchnął z ogromną ulgą. Gdy próbował wstać, Kate go przytrzymała.

- Niech pan nam da jeszcze pół godziny. Lady Elizabeth śpi, ale potrzebujemy czasu. Rozumie pan?

- Naturalnie. - Przetarł oczy i spojrzał na Kate. - Ona na to nie zasłużyła. Nie powinienem był jej tu przywozić. Lepiej by było, gdyby została w Londynie.

Kate pokręciła głową, ale nie zakwestionowała tego wniosku. W milczeniu odwróciła się i odeszła.

Gdy wszedł do pokoju lady Elizabeth, większość śladów po kryzysie była już uprzątnięta. W pokoju panował miły chłód, oświetlenie było dyskretne, dookoła unosił się zapach lawendy i potpourri. Elizabeth, umyta i przebrana w świeżą koszulę, leżała w czystej pościeli. Kate wyszczotkowała jej włosy. Milady była śmiertelnie blada, w jej oczach widać było wycieńczenie, a głębokie bruzdy przy ustach dobitnie świadczyły o przebytych cierpieniach. Odzyskała jednak świadomość i jasność myślenia.

- Marcusie, tak mi przykro. - Jej głos nie brzmiał tak pogodnie jak zwykle, za to całkiem pewnie, a na jej poszarzałych wargach zagrał wąły uśmiech.

Wicehrabia usiadł przy łóżku i wziął ją za rękę. -I słusznie. Bardzo nas wszystkich przestraszyłaś.

- Wyglądasz na zmęczonego. - Z matczyną troską dotknęła jego policzka.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni, ale tobie na szczęście jest już lepiej. - Chwycił ją za nadgarstek i przytknął wargi do miejsca, w którym można wyczuć puls. Był wolny, lecz miarowy. - Miałaś dobrą opiekę.

- Wiem... Były dla mnie takie dobre. A Kate...

Jednak Kate już zdążyła dyskretnie usunąć się z pokoju i cicho zaniknąć za sobą drzwi. Nie widziała tam dla siebie miejsca, natomiast następstwa tego, co zaszło, były dla niej wielką niewiadomą.

RS

Rozdział jedenasty

Niebo przecinały już wyraźne pasma różu, gdy Marlbrooke zostawił śpiącą matkę pod czujną opieką służącej. Musiał odnaleźć Kate, poszedł więc tam, skąd dobiegał szmer prowadzonej półgłosem rozmowy. W ten sposób znalazł się na podeście głównych schodów, prowadzących do sieni. Poniżej istotnie stała Kate, a Verzons pomagał jej zapiąć pelerynę.

- Katherine!

Odwróciła się. Nawet z pewnej odległości widział, jak bardzo jest zmęczona. Twarz miała tak bladą, że prawie przezroczystą, pod oczami wyraźne cienie. Gdy podszedł bliżej, zobaczył na policzku ślady zaschniętej krwi. Jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak atrakcyjna.

- Co pani robi?

- Muszę wrócić do Widemarsh Manor. Już prawie świt.

- Teraz odjeżdżać to nie jest dobry pomysł.

- Próbowałem przekonać o tym panią, milordzie. - Verzons skłonił się i znikł w ciemnościach, zaś wicehrabia zszedł do sieni.

- Nic więcej nie mogę już zrobić. - Stała dumnie wyprostowana.

- Niech pani zostanie. - Cicho wypowiedziane słowa zabrzmiały jak rozkaz.

- Pańska matka, milordzie, wydobrzeje bez mojej pomocy. - Ledwie mogła mówić zeszywniałymi wargami. - Rozmawiałam z

panią Neale. Lady Elizabeth ma wszystko, czego potrzebuje, a gospodyni wie, jak się nią zajmować.

- Wolałbym, żeby pani została. - Nie miał zamiaru pozwolić, aby wyrósł między nimi mur, a jednak swoje uczucia skrył pod maską obojętności.

- Nie zostanę.

- Dlaczego?

- Ponieważ...

- Woli pani wrócić do Richarda? Czy o to chodzi? Tymi słowami wybił ją ze stanu podobnego do transu.

- Do Richarda? - Kate zmarszczyła z wysiłkiem czoło. Nie bardzo rozumiała, o co Marcus ją pyta. - Nie. Nie sądziłam...

Zmieszanie Kate podsycało jego zazdrość, do której nie chciał się przyznać nawet przed sobą.

- Nie zostanie pani?

Nie mogła dłużej tłumić przepelniającego ją żalu.

- Panna Felicity oskarżyła mnie o otrucie lady Elizabeth. Panu pewnie dało to do myślenia. Miałam niejedną okazję i mogłam łatwo to zrobić, najpewniej więc podziela pan opinię Felicity. Bądź co bądź, czy można spodziewać się uczciwości po kimś, bo wywodzi się z przeklętej purytańskiej rodziny?

- Nie powiedziałem, że wierzę jej oskarżeniom.

- Nie musiał pan niczego mówić. Wyczytałam to z pańskiej twarzy. Niewątpliwie jestem dostatecznie zepsuta, żeby kryć się ze

swoimi niecnymi postępami. Szkoda, że lady Elizabeth nie wypła całej zawartości flakonika. To byłby dopiero mój triumf.

Słyszając ten sarkazm, Marlbrooke zrozumiał, że musi zachować ostrożność. Jednym nierozważnym słowem mógł doprowadzić do poważnego konfliktu. Podszedł bliżej i ostrożnie dotknął jej pokaleczonego policzka. Wzdrygnęła się, ale nie cofnął ręki, a nawet zbliżył się jeszcze bliżej. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło. Usłyszał westchnienie. Spojrzał jej w oczy i przez to jego następne słowa znów zabrzmiały jak żądanie.

- Nie ma pani dość sił na jazdę do Widemarsh Manor, a już z pewnością nie może pani jechać tam sama. Chcę, żeby pani została ze mną. Czy mam błagać?

Chwila milczenia wydała się Marcusowi wiecznością. -Nie.

W jej głosie zabrzmiała rezygnacja, postanowił więc kuć żelazo póki gorące.

- Potrzebujemy się wzajemnie.

Ujął ją za rękę i pociągnął na schody. Gdy potknęła się na nich, wziął ją na rękę i dalej niósł, jak pierwszego dnia, gdy przywiózł ją po wypadku. Stając o własnych siłach pozwolił jej dopiero w swoim pokoju. Zamknął drzwi i zapalił świece. Kate trwała w bezruchu, niezdolna do podjęcia żadnej decyzji. Marlbrooke wyjął jej z rąk rękawiczki, rozsznurował i zdjął pelerynę.

- Pani jest bardzo zmęczona - powiedział półgłosem. -Nie.

Bez wątpienia była zmęczona, ale również wciąż pełna napięcia. Musiał jej pomóc. Przeniósł ją więc na łóżko i posadził na jego krawędzi.

- Proszę siedzieć - polecił, gdy próbowała wstać. -Ale...

-I proszę się ze mną nie sprzeczać, Kate. Nalał jej wina.

Wiedział, że spotka się z odmową, ale nie miał zamiaru dać za wygraną. Usiadł obok Kate na łóżku.

- Musi pani trochę się odprężyć.

- Nie mogę. I nie chcę wina. - Miała wrażenie, że to nie ona mówi, lecz ktoś całkiem obcy.

- Wiem, że pani nie chce, ale nam obojgu wino dobrze robi.

- Na co?

- Proszę się nie sprzeczać. Jest pani bardzo trudna!

Upił łyk, a potem podał jej kielich. Groźnie zmarszczył czoło, widząc jej wahanie, uznała więc, że może rozsądniej będzie jednak nieco ustąpić. Umoczyła usta.

- Dobrze. - Odebrał od niej kielich, sam trochę wypił i znowu zwrócił jej naczynie. - Teraz następny łyk.

Uśluhała. Bez szczególnego zainteresowania śledziła jego ruchy, gdy wstał, nalał wody z dzbanka do miski, zmoczył szmatkę i wrócił na łóżko przemyć jej skaleczenia na twarzy. Nie były głębokie, ale świeże i na pewno bolesne. Gdy dotknął szmatką policzka, Kate drgnęła.

- Bądź dzielna, moja miła. W porównaniu z tym, co przeszłaś tej nocy, to drobiazg.

- Myślałam, że lady Elizabeth umrze.
- Ja też. Na szczęście nie umarła.
- Nie mogę sobie darować. Gdyby nie nabrała zaufania do moich leków, nie wypiłaby bez pytania akonitu. - Wreszcie udało jej się wypowiedzieć, co ją naprawdę dręczy.

- Proszę o tym na razie nie myśleć. Niech pani wypije jeszcze trochę wina. - Z satysfakcją zauważył, że wrócił jej na twarz lekki rumieniec, a oczy odzyskały blask. - Posłuchaj mnie, Kate. Pragnę cię. Chcę poczuć, jak leżysz w moich objęciach, chcę wziąć to, co jest moje. Po podpisaniu intercyzy mam do tego prawo.

Pochylił głowę i pocałował ją w skroń, potem w policzek, stopniowo przesuwając wargi coraz niżej, w kierunku szyi.

- Nie wiem, co mam robić - szepnęła, gdy musnął jej usta.
- Na szczęście ja wiem. - Uśmiechnął się nieznacznie.
- To pewnie dobrze. Domyślam się, że na dworze poznał pan wiele kobiet.

- Oczywiście, że to dobrze. I owszem, poznałem. Lepiej byłoby jednak, gdybyś przestała traktować mnie jak wroga.

- Naprawdę?
- Naprawdę co? Chodzi o moją pewność czy o sposób, w jaki mnie traktujesz?

- O jedno i drugie. Nie, o żadne z tych dwóch. Och, nie wiem. Chyba nie powinnam była pić wina. - Cicho się roześmiała, a on w duchu ucieszył się z dobrodziejstw tego napitku, który jak żaden inny rozładowuje napięcie.

- Nie jestem twoim wrogiem, Violu.

- Wiem.

Zaczął rozpinać stanik jej sukni.

- Czy mogę o coś spytać?

- O co tylko chcesz. Jak widzisz, jestem u twoich stóp. -

Rzeczywiście, ukląkł przed nią, aby zdjąć jej trzewiki i zsunąć pończochy. Dotykanie jej zgrabnych nóg sprawiało mu niekłamana przyjemność.

- Czy może pan zdmuchnąć świecę?

- Naturalnie. Za chwileczkę. - Usiadł obok niej. - Zanim jednak to zrobię, chcę, żebyś rozpięła mi koszulę. - Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczona minę. - To łatwe.

Zauważył, że nie jest wstydliva. Zajął się troczkami z wielką sumiennością. Chwilę potem zsunęła mu płócienne odzienie z ramion. Na chwilę zatrzymała dłonie na jego torsie, potem przesunęła je nieco niżej. Czują, jak ciało Marcusa reaguje na jej dotyk.

Potem rozwiązała mu tasiemkę przytrzymującą włosy. Z rozmarzonym westchnieniem zanurzyła dłonie w ciemnych falach, które zalały mu ramiona.

- Są ładniejsze od moich. - Uśmiechnęła się i musnęła jego wargi. Zetknięcie ust było króciutkie, ale wystarczyło, żeby podsycić żar Marcusa. Szybko zdmuchnął świecę.

Kate poczuła, że unosi się i zaraz potem znalazła się pośrodku łoża. Marcus z wielką wprawą zdjął jej płócienną koszulkę. Poczula na nagim ciele dotyk chłodnej pościeli i przebiegł ją dreszczyk

- Zimno ci?

- Nie. - Kilka łyków wina sprawiło, że czuła miłe ciepło. - Ale trochę się boję.

Pozbył się reszty odzienia i ułożył się obok niej.

- Powoli odrastają ci włosy. - Owinął sobie kosmyk dookoła palca, a potem odszukał jej usta.

Dla Kate rozpoczęła się podróż w nieznane. Doświadczony przewodnik prowadził ją do krainy rozbudzonych zmysłów i doznań. Jego czułość i troskliwość okazały się niewyczerpane, co dawało jej pewność, że nigdy nie zapomni tych chwil.

- Violu. - Przesunął dłońmi po jej ciele, bez pośpiechu poznając jego kształty. Zdziwiło go, że drobna istota może być zarazem tak kobieca. Z prawdziwym zachwytem obejmował piersi Kate i hołubił je pocałunkami. A ona tuliła się do niego, chowała twarz w zagłębieniu przy szyi.

- Marcusie - westchnęła. - Nie mogę... - Sama jednak nie wiedziała, czego nie może. Było jej błogo, wszystkie lęki odeszły, ukojone dotykiem jego dłoni. Wierzyła mu całym sercem, że nie jest jej wrogiem. Trudno jej było tylko uwierzyć, że pieszczoty mogą sprawiać tak wielką przyjemność. Marlbrooke wydawał się znać każde wrażliwe miejsce na jej ciele i każdemu poświęcał mnóstwo uwagi. Intymność niektórych pieszczot przyprawiała ją o rumieniec, a świadomość panującego mroku przynosiła prawdziwą ulgę.

- Na pewno możesz. To łatwe. Po prostu pozwól, że sprawię ci przyjemność. - Głaskał jej biodra i uda, cieszył się wcięciem w tali, i

wciąż wracał do kuszących piersi. Z każdą chwilą bardziej zaborczy, pobudzał ją dotykiem, czując, że sam zaczyna tracić panowanie.

- Zrobimy następny krok, jeśli rozchylisz dla mnie nogi - szepnął o milimetry od jej warg.

W pierwszej chwili nie wiedziała, czy ma się oburzyć, czy roześmiać, ale posłusznie spełniła jego życzenie. Żar pulsujący w jej ciele wzmógł się raptownie, gdy palce Marlbrooke'a zaczęły się przesuwać po wnętrzu jej ud.

- Co ja robię? - mruknęła pod nosem, a potem już tylko z zapartym tchem czekała.

- To nic takiego, miła, nic takiego.

Uniósł się nad nią, wsparty na ramionach. W półmroku widziała zarys jego ciała i przeczuwała nadchodzącą bliskość.

Następna chwila nie była łatwa. Niechybnie krzyknęłaby, gdyby Marlbrooke nie zajął jej ust pocałunkiem. Znalazłszy się w jej wnętrzu, znieruchomiał, aby mogła przyzwycząć się do jego obecności. Głaskał ją i czule przemawiał, póki nie wyczuł, że Kate znów się odprężyła, a jej oddech staje się równiejszy.

- Obejmij mnie mocno, teraz już nie będzie bolało.

Zaczął poruszać się powoli, choć trudno mu było okiełznać swą gwałtowną potrzebę posiadania. Aż wreszcie wdarł się w głąb ciała Kate i znalazł spełnienie, a ona leżała w jego objęciach, oszołomiona i zdziwiona zarazem, że bez oporów przystała na tak intymny akt, że zaufała Marlbrookeowi. Ciepło i bliskość jego ciała dawały jej poczucie błogości.

Wreszcie Marcus wysunął się z niej i położył obok

- Jak tam, Kate? Przeżyłaś? - W jego głosie było słychać troskę i coś jeszcze, czego nie umiała nazwać.

- Tak. Wcale nie było tak źle.

- Dziękuję za komplement. Ciekawe, dlaczego miałem nadzieję usłyszeć z twoich ust jakieś pochlebne słowo?

Najwyraźniej jednak znalazła się już na granicy snu.

Przynajmniej jeden cel udało mu się osiągnąć. Wyczuł, że Kate się uśmiecha.

- Nie powiem, żeby mi się to nie podobało, milordzie.

W tych okolicznościach musiało mu to wystarczyć. Objął Kate i zasypał pocałunkami.

- Ja też nie powiem, że mi się nie podobało. Dobrze do siebie pasujemy. Następnym razem na pewno będzie przyjemniej, obiecuję.

- Tak, chciałabym - powiedziała sennie.

Gdy położył sobie jej głowę na ramieniu, ogarnął go nagle niepokój. Miłość wyznał jej celowo. Chciał, by miała przeświadczenie, że trzyma w rękach jego przyszłość. To były naprawdę piękne ręce. Czule uściskał jedną z nich. Co jednak będzie, jeśli Kate go nie pokocha, jeśli zawsze będzie odnosić się do niego podejrzliwie, jak do Oxendena, który zniszczył jej rodzinę? Ale przecież mu zaufała. I nie była rozczarowana. Wątpliwości gdzieś pierzchły, gdy Kate wtulona w niego zasnęła, a on wkrótce poszedł jej śladem.

Kate zbudziła się w łóżku Marlbrooke'a sama. Światło padało na ciemną boazerię i ciężkie draperie, które ktoś wcześniej rozsunął. Usiadła, oparta o poduszki spróbowała zebrać myśli, poczuła bowiem, że jest obolała. Niewątpliwie spała bardzo głęboko, prawdopodobnie zbliżało się już południe. Wydarzenia poprzedniego dnia wydawały jej się bardzo odległe, wiedziała jednak, że wkrótce znów będzie musiała się z nimi zmierzyć.

Tymczasem musiała znaleźć jakieś odzienie, żeby zdążyć opuścić Priory przed powrotem Marlbrooke'a, a zwłaszcza przed odkryciem przez służbę jej obecności w pokoju pana. Intercyza swoją drogą, a błogosławieństwo Kościoła swoją. Przez chwilę zastanawiała się, co powiedziałyby na to jej matka, ale jakoś nie miało to dla niej większego znaczenia.

Potrzebowała koszulki. I koszulka istotnie leżała w nogach łóżka. Prześliczna, uszyta drobnym ściegiem z delikatnego kremowego płótna i ozdobiona koronką. Trudno byłoby nie włożyć czegoś tak pięknego, nawet jeśli nie należało do niej. Kołnierzyk i obszyty koronką dekolt zdobiły kwietne szlaczki, wyhaftowane różowym jedwabiem. Westchnęła zadowolona, że ma na sobie coś tak delikatnego.

Uśmiech wciąż rozjaśniał jej twarz, gdy drzwi się otworzyły i do sypialni wszedł Marcus. Ubrany, niewątpliwie w pośpiechu, w spodnie do konnej jazdy i rozpiętą koszulę, przyniósł tacę, którą postawił obok łóżka. Przyjrzał się Kate z wyraźną przyjemnością. W odróżnieniu od niej nie czuł się w najmniejszym stopniu zakłopotany.

- Boli mnie głowa - powiadomiła go oskarżycielskim tonem. -
To bez wątplenia skutek wina, którym napił mnie pan w nocy.

- Tego się, prawdę mówiąc, obawiałem. Założyłbym się, że
wczoraj nic nie jadłaś. - Usiadł na krawędzi łóżka i zdjął serwetkę,
przykrywającą tacę.

- Nie chcę jeść.

- Chcesz, chcesz. Już nieraz mogłem się przekonać, najmilsza
Kate, że potrafisz być bardzo trudna. Zjedz to. - Podał jej kromkę
chleba, odkrojoną ze świeżego bochenka.

- A pan potrafi...

- ... być władczy.

- Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że potrafi pan
manipulować ludźmi.

Roześmiał się i czule pogłaskał ją po policzku.

- Wreszcie wyglądasz na wypoczętą. I bardzo ci ładnie w nowej
koszulce.

Zarumieniła się i spuściła wzrok. Zakłopotanie wzięło górę. Nie
mogła już udawać, że nie pamięta jego intymnych pieszczot i swych
przyzwalających reakcji. Posłusznie ugryzła kęs chleba i popiła
słabym piwem.

Marcus uśmiechnął się do niej i podszedł do okna popatrzeć na
ogród, Kate zaś pomyślała, że pomimo uśmiechu na twarzy, wcale nie
wydaje się swobodny i beztroski. Z pewnością będą musieli jeszcze
omówić próbę otrucia lady Elizabeth...

Oderwał się od widoku za oknem.

-I co, lepiej?

- Tak. - Głęboko odetchnęła. - Jak się czuje lady Elizabeth?

- Jest słaba i wycieńczona, ale już siada i powiedziała, że chciałaby cię zobaczyć. Obiecałem, że za chwilę przyjdiesz.

W jego słowach nie było nawet cienia zarzutu, ale Kate nie potrafiła pominąć milczeniem sprawy, która nie przestała jej dręczyć.

- To nie ja próbowałam ją otruć. I nie ja zostawiłam flakonik z akonitem. Wiem, że nie mogę tego dowieść, bo przecież miałam i wiedzę, i okazję, tu panna Felicity się nie myli, ale za nic...

Podszedł do niej i położeniem ręki na ramieniu przerwał jej wywód.

- Naprawdę nie musisz się tym martwić. Nie potrzebuję żadnych dowodów. Po prostu wiem, że nie skrzywdziłabyś mojej matki, Kate.

- Ale Felicity powiedziała...

- Gdybyś to ty podstawiła jej truciznę - przerwał zdecydowanie - to wątpię, czy zadałabyś sobie tyle trudu, żeby ją ratować.

- Ten argument brzmi rozsądnie.

- Ktokolwiek przygotował i podłożył truciznę w sypialni, wiedział, że matka wypije ją bez wahania, przekonana, że przesyłka pochodzi od ciebie, a więc wyjdzie jej na dobre. To nie twoja wina. Ty i moja matka stałyście się narzędziem ataku na mnie, a muszę przyznać, że wrogów mi nie brakuje. Nie czas jednak, żeby o tym mówić.

- Ale ja nie mogę znieść nawet myśli, że...

- Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za ten haniebny czyn, Kate. Jestem o tym święcie przekonany. Czy to cię zadowala?

- Owszem. Ale to nie koniec sprawy. Myślę, że powinnam porozmawiać z ciotką Gilliver.

- Podzielam twoją opinię, Kate. Ona nigdy nie ukrywała swojej nienawiści wobec nas ani tego, że pragnie powrotu Priory w ręce Harleyów. Jeśli możesz, powiadom mnie o rezultatach tej rozmowy.

- Naturalnie. Może pan mieć pewność, że powiem prawdę. Krzepiąco uścisnął jej dłonie, widząc, jak bardzo się trapi.

- Nigdy bym w to nie wątpił. Jak mógłbym cię pokochać, gdybym ci nie ufał? - Uśmiechnął się, widząc, że szybko cofnęła dłoń, a jednocześnie uroczo się zarumieniła.

- Hm... muszę się ubrać, milordzie.

- Po co? Podobasz mi się tak jak teraz. - Pochylił się nad nią i muśnięciami warg zaczął znaczyć szlak od jej ucha, przez szyję ku ramieniu, a zakończył go pocałunkiem w usta. - Jesteś czarująca. - Roześmiał się, widząc wyraz zdumienia na jej twarzy. Kate zupełnie nie zdawała sobie sprawy ze swojej atrakcyjności, co jeszcze dodawało jej uroku. - Podejrzewam, panno Harley, że dziś rano obudziła się pani dość obolała.

- No, owszem - przyznała zmieszana.

- Wobec tego nie będę się narzucał, mimo że pokusa jest wielka. Obiecuję jednak, że następny raz będzie wart zapamiętania.

- Myślę, że nie powinnam... to znaczy my...

- Nie musisz mieć wyrzutów sumienia, Kate. Zgodnie z prawem należysz do mnie. Moje ciało tylko to potwierdziło. Czy takie postawienie sprawy pomoże ci uporać się z wątpliwościami?

- Dziękuję, chyba tak.

- Zrozum, Kate, to była właściwa chwila, aby wziąć cię do łóża. I mam wrażenie, że skutki okazały się jak najlepsze.

- Tak. Spałam jak zabita. - Uśmiechnęła się. - Ale teraz muszę wstać. Gdzie jest moje ubranie?

- Na skrzyni pod oknem.

- To nie jest moje! - Spojrzała we wskazanym kierunku i odkryła czekające na nią granatową aksamitną spódnicę i dopasowany do niej stanik. Rękawy sukni były obcisłe i zakończone obficie koronkowymi zdobieniami, koronki zdobiły również głęboki dekolt, dzięki czemu kreacja nie sprawiała wrażenia wyzywającej. Długa prosta spódnica była pozbawiona ozdób. W sumie doskonały strój na konną przejażdżkę, tym bardziej że uzupełniała go peleryna, z tego samego aksamitu co suknia, ale podbita - jaki luksus! - sobolim futrem. - Nie mogę włożyć czegoś tak... tak wspaniałego! - Oczy Kate mówiły jednak co innego.

- Dlaczego nie? Nie widzę powodu, żeby nie nosiła pani sukni w kolorze, który znakomicie pasuje do pani oczu.

Kate puściła komplement mimo uszu.

- Założę się, że nie należała ona do lady Elizabeth. Czyżbyś próbował wkupić się w moje łaski, milordzie?

- Nie wiedziałem, że muszę. Po ostatniej nocy trudno byłoby mi to zgadnąć. Była pani dla mnie bardzo łaskawa. - Pogłaskał ją po szyi, bawiło go bowiem, gdy widział, jak próbuje ukryć dreszczyk emocji.

- Prawdę mówiąc, przyświeca mi inna myśl. Sądziłem, że Goldfinch zasługuje na lepszy los.

- Goldfinch?

- Tak. Jest klaczą pełnej krwi. Gdzie pani znalazła to okropieństwo, które miała na sobie wczoraj? Nie chcę, aby moja żona przypominała stracha na wróble.

Kate nie udało się opanować wybuchu śmiechu.

- To okropieństwo, by użyć pańskiego słowa, znalazłam w garderobie w Widemarsh. Nie miałam niczego innego, co nadawałoby się do konnej jazdy w złą pogodę. Naturalnie z wyjątkiem spodni, w których tu przyjechałam, ale ciotka Gilliver zabroniła mi je nosić. Bywa wyjątkowo pruderyjna i pozwala sobie na bardzo niepochlebne uwagi o moich manierach.

- Teraz już masz stosowną suknię. Jestem pewien, że będziesz w niej wyglądać czarująco.

- Dlaczego? - Zmarszczyła czoło. - Chcę spytać, dlaczego tak wiele mi pan daje.

- Ponieważ tak mi się podoba, a tobie sprawia to przyjemność. Jeszcze nie widziałem kobiety, która nie lubiłaby ustroić się w paradne piórka. - Pochylił się i pocałował ją w usta, aby zdusić w zarodku okrzyk oburzenia. - Prawo stanowi, że już mi wolno sprawiać

ci przyjemność, więc z niego korzystam. Może z czasem to polubisz, Kate, jeśli tylko mi na to pozwolisz.

Tą celną uwagą zamknął sprawę.

Czuła się bardzo nieswojo, gdy w granatowej aksamitnej sukni przekroczyła próg sypialni Elizabeth. Milady była blada i bardzo wycieńczona, lecz mimo to dzielnie próbowała zjeść trochę rosółu z kurczęcia, przyrządzonego przez panią Neale. Szybko jednak dała za wygraną i z ulgą oddaliła Elspeth, nakazując jej zabrać również łyżkę.

Przy łóżku z otwartą Biblią na kolanach siedziała Felicity. Na widok Kate zaczerwieniła się mocno, ale nie powiedziała ani słowa, tylko zacisnęła usta. Najwidoczniej została skarcona za swoje zachowanie poprzedniego wieczoru.

- Witaj, Kate. Miałam nadzieję, że do mnie zajrzysz przed powrotem do Widemarsh. - Lady Elizabeth ledwie mogła wydobyć z siebie głos, lecz mimo to próbowała się uśmiechnąć.

- Jakżebym mogła inaczej, milady. - Nadal stała przy drzwiach, ociągając się z podejściem do łóżka, w którego okolicy nadal królowała Felicity.

Lady Elizabeth domyśliła się, w czym rzecz, i natychmiast rozwiązała problem.

- Felicity, przepraszam cię bardzo, ale chciałabym porozmawiać z Kate na osobności. Wiem, że to zrozumiesz.

Felicity nie rozumiała, ale nie miała wyboru.

- Jak sobie życzysz, droga Elizabeth, czy jednak jesteś absolutnie pewna, że nie powinnam pozostać w pobliżu? Bądź co bądź, jesteś jeszcze bardzo słaba.

- Ależ Felicity, nie musisz być pod ręką na każde moje skinienie. Jest mi całkiem wygodnie.

- Czary! - syknęła Felicity, nagle zapominając o potrzebie zachowania pozorów. - Zioła, zaklęcia i różne podobne... jak można dopuszczać do czegoś takiego w bogobojnym domu!

- Lady Philippa, moja matka, nigdy nie zajęłaby się niczym niestosownym. - Kate łatwo zrezygnowała z pojednawczego tonu i spokojnie wytrzymała wrogie spojrzenie Felicity. - Jej rodzina należała do tych, które zasad przestrzegają najsurowiej, a jednak nikt nie miał wątpliwości, że uzdrawianiem należy się zajmować dla dobra innych. To nie są czary. To jest umiejętność, którą moja matka posiadała w wysokim stopniu, a ja, niestety, w znacznie mniejszym. Ale obie nie skrzywdziłybyśmy nawet muchy.

- Czy jednak można powiedzieć to samo o pani Adams?

Uderzenie było celne.

- Mało o niej wiem. Poznałam ją zaledwie dwa tygodnie temu, ale nie dostrzegłam niczego, co wskazywałoby, że ktoś w Widemarsh Manor zajmuje się czarami.

- Nie ufam jej.

Niewątpliwie miało to znaczyć, że Felicity nie ufa również Kate.

- Przepraszam cię, Felicity, ale naprawdę chciałabym porozmawiać z Kate. - Głos lady Elizabeth był cichy, ale nie stracił nic ze swej autorytatywności.

Kuzynka z rezygnacją wzruszyła ramionami i opuściła pokój. Zabrała z sobą Biblię, jakby obecność Kate mogła skazić świętą księgę.

- Uff! - westchnęła lady Elizabeth, bo Felicity najwyraźniej pozostawała głucha na ostrzeżenia.

- Zdaje się, że w jej opinii jestem faworytą diabła. Niewątpliwie czytała przed chwilą ustęp o kamienowaniu grzeszników.

- Jestem bardzo zakłopotana. Wiem, co powiedziała, i chcę cię za nią przeprosić.

- Nie ma takiej potrzeby, milady.

- Jest, i to pilna. - Elizabeth wyciągnęła rękę do Kate. - Nie odwracaj się ode mnie, moja droga. Bardzo sobie cenię i twoje towarzystwo, i twoje leki. I wiem, że zawdzięczam ci życie. Elspeth opowiedziała mi, co dla mnie zrobiłaś ostatniej nocy.

Kate pokręciła głową, lecz przemogła się i dotknęła dłoni lady Elizabeth. Zdobyła się nawet na wąły uśmiech.

- Proszę mi tylko obiecać, że milady nie będzie więcej brała żadnego środka, którego nie dam jej osobiście. Inaczej może paść ofiarą czyjejsz złej woli.

- Dobrze, obiecuję. - Zacisnęła palce na kołdrze. - Jestem taka zmęczona.

- Musi pani wypocząć. To było bardzo wyczerpujące przeżycie. Do jutra jednak powinna pani odzyskać dość sił, by wstać i znowu zająć się haftem.

Lady Elizabeth uśmiechnęła się i nagle, ku zaskoczeniu Kate, ukryła twarz w dłoniach.

- Co się stało? Czy coś panią boli?

- Nie.

- Powie to pani Felicity? -Nie.

- Proszę więc powiedzieć mnie. Czy chodzi o tę zropaczoną zjawę?

- Tak. - Po policzkach pociekły jej łzy. - Nie mogę wypocząć, Kate. Ta zjawa tu była, kiedy moje życie wisiało na włosku. Przygniotła mnie taką bezbrzeżną rozpaczą, że jeszcze dzisiaj odczuwam ją w sercu.

- Według mojej ciotki jest to duch Isolde Harley. - Kate ujęła lady Elizabeth za rękę. - Nie może zaznać spokoju, bo Isolde ponad sto lat temu w Priory odebrała sobie życie. Z jakiegoś powodu jej duch wrócił właśnie teraz.

- Jest coraz gorzej. Od tej zjawy bije taki ogrom smutku. Nie mogę spać, bo na nią czekam, ale boję się, że któregoś dnia zechce się na mnie zemścić. To nie ja spowodowałam jej nieszczęście, ale mam wrażenie, że zjawa z jakiegoś powodu wini mnie i moich bliskich. Chciałabym, żebyś znalazła środek, którym można ją usunąć.

- To jest niebezpieczne, milady.

- Wiem. Zajmowanie się czarami może mieć straszne konsekwencje, ale życie w takim lęku jest nie do zniesienia. Co powiedziałaaby na to pani Adams?

-Nie wiem, ale zrobię, co się da. Muszę porozmawiać z ciotką Gilliver, i to o kilku sprawach. - Zdecydowanie, bijące z głosu Kate, kłóciło się z jej drobną postacią. - Byłabym jednak wdzięczna, gdyby milady nie rozmawiała o tym z nikim innym, a już zwłaszcza z panną Felicity.

RS

Rozdział dwunasty

- Przeżyła?

- Tak. - Kate zamknęła za sobą drzwi, żeby do wnętrza nie wpadały podmuchy chłodnego wieczornego wiatru. - Miałaś rację, czarcikęs usunął truciznę i obniżył temperaturę. Lady Elizabeth dochodzi do siebie.

Pani Adams stała w sieni Widemarsh Manor, splatając na fartuchu upierścienione palce. Jak zawsze uśmiechała się dobrotliwie, ale miną tą mogła zmylić wyłącznie kogoś, kto spotykał ją po raz pierwszy.

- To znaczy mam powiedzieć, że mi ulżyło? - Jej uśmiech przemienił się w zjadliwy grymas.

- Mnie by to ucieszyło, ciociu, chociaż nie wiem, czy mogę ci wierzyć.

- Widzę, że już rozmawiałaś z Oxendenem, a może i nie tylko rozmawiałaś.

- Co? O co cioci chodzi? - Kate splonęła rumieńcem.

- Masz aureę... Właściwie jednak dlaczego nie? Zgodnie z prawem jesteś jego narzeczoną. Bardzo ładną narzeczoną. Czy on jest męski?

- Nie będę o tym mówić - wydusiła Kate.

- Szkoda. To atrakcyjny mężczyzna, chociaż z takiej nieudanej rodziny. A i twoja suknia jest niczego sobie. Nie znalazłaś jej w mojej garderobie, to pewne, a wczoraj wyjechałaś w czymś innym.

Rozumiem, że Oxenden próbuje się wkupić w twoje łaski? - Wyduła wargi. - Ciekawe, co by na to powiedział Richard.

Ponieważ Kate wcześniej sama postawiła Marlbrooke'owi ten sam zarzut, a w dodatku nie czuła się swobodnie, gdy myślała o Richardzie, z trudem znosiła docinki ciotki. Zmieniła więc temat.

- Ciociu, czy to ty przygotowałaś wyciąg z akonitu i podsunęłaś go lady Elizabeth?

Pani Adams przyjrzała jej się z uwagą.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Znasz się na ziołach. Jestem też pewna, że gdybym poszukała, znalazłabym u ciebie w spiżarni słoiczki z suszonym korzeniem akonitu. Poza tym, o ile pamiętasz, sama zaofiarowałaś się, że otrujesz Marlbrooke'a. Wielu uznałoby to za bardzo obciążającą poszlakę.

-I bardzo by się mylili. Chodź do salonu, jeśli chcesz dalej prowadzić tę interesującą rozmowę. W sieni są przeciągi i zbyt wiele osób może nas podsłuchać.

Otoczone suszącymi się ziołami usiadły naprzeciwko siebie, rozdzielone dębowym stołem.

- Mam flakonik z resztą zawartości. - Kate wyjęła naczynie z kieszeni i przesunęła je w stronę ciotki.

- Nie, to nie moje dzieło, chociaż przyznaję, że miałam wielką pokusę. Gdybym jednak jej uległa, zaatakowałabym Marlbrooke'a, a nie jego matkę. Po co paraliżować kończyny, jeśli można zatrzymać serce? To Marlbrooke zrabował naszą własność. - Po krótkim

wahaniu dodała: - Doprawdy dziwi mnie twoja sympatia dla tej rodziny.

- Jestem z nimi związana, czy tego chcę, czy nie. Poza tym...

-He?

- Jeśli mam być całkiem szczerą, ciociu Gilliver, to przez ten krótki czas lady Elizabeth okazała mi więcej troski i uczucia niż moja matka przez długie lata. - Kate uśmiechnęła się gorzko. - Tkaniny i zioła były dla niej ważniejsze niż małe dziecko, które płacze i ciągle się dąsa.

- Do czego zmierzasz?

Kate zabębniła palcami o stół. Musiała zapytać wprost. Zresztą ciotka i tak nie dałaby się przechytrzyć.

- Jeśli nie zamierzasz krzywdzić lady Elizabeth, to czy pomożesz w rozwiązaniu jej problemu?

- Czego ode mnie chcesz? Z bólem i opuchniętymi kończynami umiesz sobie radzić bez mojej pomocy. Powiedziałam ci, że jej nie otrułam, ale nie wymagaj ode mnie zbyt wiele.

- Chodzi o Isolde. Ona ją prześladowuje.

- Isolde!

- Zjawa odwiedza nocami jej pokój. Lady Elizabeth się boi.

Ciotka Gilliver zadumała się na moment.

- O co prosisz? - spytała w końcu. Zmrużone oczy wskazywały, że nie w pełni ufa kuzynce i nie jest pewna jej zamiarów.

- Proszę cię, żebyś znanymi sobie środkami zapewniła pokój temu udręczonemu duchowi, który włóczy się po korytarzach Priory.

Jeśli to rzeczywiście duch kogoś z Harleyów, powinniśmy mu pomóc. Czy nie możesz w jakiś sposób oddalić Isolde od Priory albo sprawić, by odeszła na zawsze? - Kate spojrzała na nią błagalnie. - Wierzę w twoje możliwości. Widziałam w tym domu jemiolę i gałązki jarzębiny nad drzwiami, sądzę więc, że masz potrzebną wiedzę.

- Ciszej! - syknęła ciotka Gilliver i pochyliła się nad stołem, mrużąc oczy tak, że zamieniły się w dwie błyszczące szparki.

- Niebezpiecznie jest o tym mówić. Ściany mają uszy, nawet tutaj. Zresztą dlaczego miałabym się do tego mieszać?

- A dlaczego nie? Isolde należała do naszej rodziny. Możliwe nawet, że to przez kogoś z bliskich postanowiła odebrać sobie życie. Czy nie powinniśmy jej więc ułatwić odnalezienia drogi do odzyskania spokoju? Poza tym jeśli Isolde sprawia kłopoty innym, naszym obowiązkiem jest im pomóc.

Gilliver pogrążyła się w zadumie. Od czasu do czasu zerknęła na Kate. Zastanawiała się, czy młoda kuzynka naprawdę rozumie, o co prosi.

- Pomożesz? - nalegała Kate.

- Czekał. Muszę pomyśleć. - Wstała, podeszła do kominka, poruszyła polana i wróciła do stołu. W oczach Kate widziała upór i determinację. Wreszcie skinęła głową.

- Niech będzie. Niestety nie potrafię obalić logiki twojego rozumowania, choć wywód wydaje się dość niestosowny.

- Ciotka Gilliver skrzywiła się, pokazując rząd małych, ostrych zębów. - Nieważne. Chodź ze mną.

Drzwi spiżarni ciotki Gilliver zostały starannie zamknięte. Kate rozejrzała się z nieukrywanym zainteresowaniem, mimo że nie pierwszy raz została wpuszczona za próg tego sanktuarium. Wiele zapasów sama umiała poznać: zgrabne baldachy dziegłu i kopru, brudne wiązki pospolitych ziół ogrodowych, suszone płatki róży i nagietka. Były jednak również powykręcane korzenie, jakich nie znała, i suszone liście, wydzielające ostre zapachy, co do których mogła jedynie snuć domysły. Ciemne mazie w słoiczkach w ogóle nie nadawały się do identyfikacji. Na wysokości jej oczu na półce stał rząd wyczyszczonych, lśniących czaszek, obserwujących ją pustymi oczodołami. Rozmiary ich były różne, od malutkich, zapewne mysich, po większe, może królicze. Albo lisie? Dostrzegła też dzioby ptaków. Gdy wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jednego z okazów, ciotka cmoknęła ostrzegawczo.

- Lepiej nie ruszać takich rzeczy, przynajmniej dopóki nie poznasz ich przeznaczenia. Bezpieczniej zresztą, żebyś go nie znała. - Gdy Kate szybko schowała ręce za plecami, dodała: - To, o czym mówimy, musi pozostać między nami. Rozumiesz? -Tak.

- Nie chcę, żeby którąkolwiek z nas poddano przykremu i bolesnemu procesowi. Tym bardziej nie życzę sobie, żeby łowca czarownic zamieszkał w okolicy i zaczął prowadzić śledztwo. Czego ludzie nie wiedzą, to nie może im zaszkodzić, ale w niepowołanych rękach... Nie muszę ci chyba tłumaczyć.

- Będę uważać. Od tego zależy przecież nie tylko twoje, lecz i moje bezpieczeństwo.

- Dobrze więc, tylko pamiętaj! - Zerknęła na Kate i najwidoczniej poczuła się nieco uspokojona. - Powiem ci o butelkach na czarownice.

Kate wstrzymała oddech. Co powiedziała by sir Henry, gdyby znał zamiary swojej siostrzenicy? A Simon Hotham... Nie widziała jednak innego wyjścia. Odwiedziny Isolde były fakira, a jej obecność budziła lęk.

- Isolde nie jest przecież czarownicą.

- Nie, ale moc jest ta sama. Chodzi o odpędzenie zła, a to dotyczy wszystkich niespokojnych duchów, zarówno czarownic jak i zjaw. W butelce na czarownice możemy tę moc zamknąć. Nie da się powstrzymać Isolde przed dostaniem się na teren Priory, bo dom jest zbyt wielki, nie uda się też zmniejszyć jej mocy ani zapewnić jej pokoju, którego szuka, aby wrócić do świata umarłych, ale możemy uniemożliwić jej wstęp do określonego pomieszczenia, na przykład do sypialni.

- Dobrze. Pokaż mi, jak to zrobić. I niech Bóg ma dla nas zmiłowanie. - Kate przyjrzała się rzędowni słoiczków, stojącemu na półce. - Widzę, że masz tu akonit.

- Naturalnie. Jest bardzo użyteczny w niektórych sytuacjach. Ale teraz skup się, moja miła. - Gilliver wyjęła z zakamarków kredensu małe szklane naczynie z woskowym korkiem. - Wybierzemy zestaw odpowiednich ziół i zapieczętujemy je w tej butelce.

Trzeba ją potem schować pod progiem, co w tym przypadku jest oczywiście niewykonalne, albo umieścić nad drzwiami. Czy uda ci się to zrobić?

- Myślę, że tak. Co będzie w środku?

- Nie śpiesz się, daj mi pomyśleć. Od wielu lat nie... Gilliver zaczęła szperać wśród garnuszków i słoiczków, przy okazji objaśniając Kate ich zawartość.

- Świętojańskie ziele to podstawowy środek przeciwko wszelkiego typu duchom, demonom, chochlikom, przeciwko złym zaklęciom, a nawet piorunom, choć te nam chyba nie grożą - stwierdziła z szelmowskim błyskiem w oku. - Tarń ma doskonałe właściwości, parę gałązek nam się przyda. Co dalej? Może gromotrzask? Nie, to raczej nie dla nas. Są skuteczniejsze środki. Polej zapobiega histerii i pomaga osobie nawiedzanej zachować spokój, wsypiemy szczyptę. O, i szczyptę ruty, która działa podobnie. Jeszcze liść dębu i naturalnie kolcolist, one wiążą się z przybywaniem i ubywaniem księżyca, więc zapewnią ochronę na cały rok. Co by tu jeszcze? Trochę dzięglu, gałązkę rozmarynu? Na pewno, bo jedno i drugie działa przeciwko złym i niespokojnym duchom. Może i ciebie powinnam krzynką poczęstować? - Potrząsnęła butelką z ciemnymi liśćmi i odpieczętowała ją.

- A to co?

- Barwinek Zapewnia szczęście w małżeństwie. Podejrzewam jednak, że w twoim przypadku odrobina suszonych liści to zbyt mało.

Kate parsknęła poirytowana i odsunęła słoiczek z barwinkiem w głąb półki. Udało jej się przy tym ukryć uśmiech, wywołany żartem ciotki.

- Czy to wszystko? - Wzięła do ręki butelkę na czarownicę i obejrzała pod światło. Dla niewtajemniczonych był to po prostu flakonik z nieszkodliwą zawartością suszonych liści i gałązek. - Mam to umieścić nad drzwiami sypialni lady Elizabeth? - spytała z niedowierzaniem.

- A czego jeszcze oczekiwałaś? Krwi ropuchy i kości kruka? O, ale o czymś zapomniałam. - Otworzyła szufladę i wyjęła z niej gałązkę, splecioną obydwoma końcami i zawiązaną, gdy była jeszcze giętka.

- Co to takiego?

- Pętla z gałęzi drzewa, naturalnie jarzębinowa, obdarzona szczególnymi własnościami ochronnymi.

- Doskonale. Jutro to wszystko ukryję.

- Najpierw musisz zamknąć drzwi przed Isolde. Kate westchnęła.

- Podejrzewałam, że to jeszcze nie wszystko. A może ty...

- Ciekawe, jaka byłaby reakcja, gdybym nagle pojawiła się w Priory, żeby odprawić inkantacje przy drzwiach. Jesteś niemądra! Jeśli chcesz ograniczyć Isolde możliwości poruszania się, musisz zrobić to sama. Posłuchaj uważnie, to nic trudnego.

- Domyślam się, że nikt nie może mnie przy tym zobaczyć?

- Pod żadnym pozorem! To jest sprawa największego znaczenia.
- Oczy ciotki Gilliver nagle groźnie zapalały, a jej szponiaste palce jak kleszcze zamknęły się na przegubie Kate.

- Pierwszy raz podzieliłam się z kimś tą wiedzą i nie czuję się z tym dobrze. Wiedzieć niekoniecznie znaczy tyle samo, co posiadać moc. To cię może uczynić bezbronną w razie ataku.

- Przez dłuższą chwilę przyglądała się Kate. - Chcę wierzyć, że mogę ci zaufać, bo pewnie i tak posunęłam się już za daleko.

- Nie zdradzę cię, ciociu - odrzekła uroczyście Kate, patrząc jej prosto w oczy.

- Dobrze. Nie ma w tobie fałszu. Oto co musisz zrobić. Dam ci roztwór soli w wodzie, specjalnie poświęcony. Musisz natrzeć nim ramę drzwi i próg ze słowami: „Żaden duch nie może tutaj wejść. Każde zło zawróci”. Powtórz za mną.

Kate wykonała polecenie, starając się jak najlepiej zapamiętać proste zaklęcie.

- Jeśli zrobisz to samo przy wszystkich oknach w pokoju, efekt będzie jeszcze lepszy. Butelka na czarownice i pętla z jarzębiny powinny zapewnić twojej niezastąpionej lady Elizabeth kilka spokojnych nocy. Jej lęk zelżeje. Co zaś do Isolde, to nie mam pojęcia, jak przywrócić jej spokój. Wszystko w rękach Boga.

- Amen. Ciociu, może lady Elizabeth przestanie się bać, ale za to teraz ja się boję. Boję się ogromu twojej wiedzy i swobody, z jaką się nią posługujesz... - wskazała na zbiór naczyń - i mojego udziału w

czarach! - Głośno nabrała tchu, bo dopiero teraz dotarło do niej, na co się porywa.

- Niedorzeczność! Jesteś z Harleyów, więc na pewno sobie poradzisz. Tylko nikomu ani słowa!

- Nie musisz mi powtarzać takich przestróg, ciociu Gilliver. Nic nie ucieszyłoby bardziej panny Felicity niż odkrycie, że zajmuję się zaklęciami i czarami. Lepszej odpowiedzi na swoje modlitwy nie mogłaby sobie wymarzyć!

Kate pojechała do Winteringham Priory następnego ranka, mając w jukach butelkę na czarownice, jarzębinową pętlę i wodę z solą. Rozstały się z ciotką w nastroju powagi, nie należało bowiem lekko traktować takich praktyk. Dzięki Gilliver udało jej się uniknąć asysty Richarda przy wyjeździe z Widemarsh, wcześniej jednak przeżyła kilka trudnych chwil.

- Może pozwolisz mi pojechać z tobą do Priory, Kate - zagadnął ją Richard przy śniadaniu.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wobec czekającego ją za dnia towarzystwo kuzyna byłoby wielce niepożądane, poza tym w jego obecności czuła się coraz bardziej zakłopotana.

- Ojej, Richardzie - przyszła jej na ratunek ciotka Gilliver. - A miałam nadzieję, że wykorzystam twoje silne ramiona. Trzeba przesunąć dębową skrzynię. Dla mnie i Mason jest za ciężka.

- Naturalnie, ciociu, jestem do twojej dyspozycji. - Musiał tak odpowiedzieć, bo starej ciotce się nie odmawia, choć po prawdzie taką pracę powinien wykonać jakiś parobek. Skrywając

niezadowolenie, spojrział na Kate. - Może przełożyłabyś wizytę w Priory na późniejszą porę, kiedy będę już wolny?

- Jestem ci wdzięczna za troskę, Richardzie, ale spieszno mi dowiedzieć się, jak lady Elizabeth minęła noc. To nie może czekać.

Richard skłonił się z uprzejmym uśmiechem maskującym irytację.

W ten sposób Kate uciekła z Widemarsh Manor. Jadąc, modliła się, by Marlbrooke był poza domem, co bardzo ułatwiłoby jej dyskretne zajęcie się ograniczeniem mocy Isolde.

Zostawiła Goldfinch przed stajnią, gdzie Jenks poinformował ją, że jego lordowska mość dopiero co wyprawił się w kierunku Stoke Lacey i przed południem nie należy się go spodziewać. Kate nie dała poznać po sobie, jak bardzo jest to jej na rękę.

Zaczęła od złożenia wizyty lady Elizabeth. Milady spała, a Elspeth siedziała przy jej łóżku i szyła. Szeptem poinformowała ją, że lady Elizabeth miała niespokojną noc, zjadła jednak śniadanie, a potem zasnęła. W każdym razie wygląda już zdecydowanie lepiej.

Kate uśmiechnęła się, widząc rumieńce na policzkach lady Elizabeth, i obiecała wrócić później. Jeśli Gilliver znała się na rzeczy, to Isolde przestanie wreszcie dręczyć biedną milady.

Znalazłszy się na korytarzu, schowała jeden z juków za tkaniną ścienną, a potem przemierzyła cały korytarz, z uwagą nasłuchując, czy nie dobiegnie jej jakiś podejrzany dźwięk. Wokół panowała cisza. Ani śladu Verzonsa, pani Neale czy kogoś ze służby. Lepszą okazję

trudno sobie było wymarzyć. Dziesięć minut niezmaconego spokoju wystarczy do wykonania zadania.

Stojąc naprzeciwko sypialni lady Elizabeth, zaczęła się zastanawiać, od czego zacząć. Ciotka Gilliver o tym nie wspomniała, należało więc zakładać, że kolejność czynności jest dowolna. Wyjęła wodę z solą, odkorkowała buteleczkę i zanurzyła w roztworze chusteczkę do nosa. Zawahała się, ale po chwili nasłuchiwania stwierdziła, że nic nie zakłóca panującej w domu ciszy. Szybko natarła roztworem próg pokoju, szepcząc zakłęcie Gilliver. Potem ponownie zmoczyła chusteczkę i zrobiła to samo z ramą drzwi po obu jej stronach. Wreszcie zdjęła trzewiki, wspięła się na krzesło i przetarła chustką nadproże. Gotowe! Musiała zadowolić się zabezpieczeniem drzwi, z oknami miałyby zbyt wiele kłopotu. Wolą nie wyobrażać sobie, co pomyślałaby Elspeth, gdyby zobaczyła ją, jak mamroczać coś pod nosem, naciera parapety w pokoju lady Elizabeth roztworem soli. Isolde zdawała się zresztą mocne stąpać po ziemi i najpewniej nie mogła wlecieć przez okno.

Kate z ulgą odłożyła do kryjówki flakonik z roztworem i chusteczkę. Teraz reszta. Ponownie wspiąwszy się na krzesło, ostrożnie umieściła butelkę na czarownicy na występie nadproża i otoczyła ją jarzębinową pętlą. W tym miejscu naczynie nie było narażone na przeciągi i prawie niewidoczne. W razie czego Kate mogła zresztą udać, że o butelce nic nie wie. Wszak w środku znajdowało się tylko trochę starych liści i gałązek, coś całkiem

niewinnego. Odetchnęła głęboko i oparła czoło o chłodne deski boazerii.

- Znowu poszukiwanie skarbów? Stojąc na krześle, zamarła z przerażenia.

-I co? Są jakieś testamenty? A może kryjówki?

Marlbrooke podszedł jak duch, zupełnie bezgłośnie. Nie miała pojęcia, od jak dawna ją obserwował. Obróciła się na krześle i korzystając z chwilowej przewagi wzrostu, spojrzała na niego z góry. Miała nadzieję, że dzięki temu chociaż na krótko uzyska nad nim przewagę.

A jednak na widok wyrazu jego twarzy głos jej zamarł w gardle. Zrozumiała, że nie ma co silić się na wyjaśnienie swojego dość dziwnego przecież zachowania. Marcus był po prostu wściekły.

- Co pani robi?

- Szukam testamentu ojca. - Zdawało jej się, że z samego tonu jej głosu można wyczytać kłamstwo, ale zamierzała iść w zaparte. Przecież za nic się nie przyzna do czarodziejskich praktyk, i to prowadzonych w zмовie z ciotką Gilliver!

- Testament? Naturalnie! - Roześmiał się ponuro. - Czy pani nigdy nie porzuci tych daremnych poszukiwań? Już wkrótce zostanie przecież pani właścicielką Priory, a nasze, z Harleyów i Oxendenów potomstwo, będzie nim władać nie wiedzieć do którego pokolenia. Czy naprawdę musi mi pani nieustannie przypominać, że za nic ma moje dobre chęci?

Nagle zrozumiała, jak głęboko musi sięgać uraza Marlbrooke'a.

Nie wolno jednak jej było poddać się współczuciu. Wołała wziąć na siebie winę, niż prowokować dalsze dociekania. Perspektywa procesu o czary nie była zbyt zachęcająca. Dlatego zaślepiony gniew wicehrabiego okazał się zbawienny, bo odwrócił uwagę od jej czynów.

- Nie chcę Priory w prezencie. I tak jest moje z mocy dziedziczenia. A pan stara się o mnie wyłącznie dlatego, że doskonale o tym wie.

- Dlaczego to takie ważne dla pani, skoro i tak dostanie pani to, czego sobie życzy? - Wspomniał, jak spontanicznie odpowiadała na jego pieszczoty, ile w niej było uległości, lecz oto zaledwie dobę później uparcie podkopuje jego pozycję właściciela Winteringham Priory. A już myślał, że zaakceptowała ten związek. Jakiż był naiwny! Musiał być głupcem, że się w niej zakochał! - Jak widzę, wciąż ma pani niskie mniemanie o mnie i o pobudkach, z jakich wybrałem panią na żonę - stwierdził z goryczą. - Cóż, muszę pogodzić się z tym, że nigdy nie zdobędę pani szacunku, nie mówiąc już o miłości.

- Czy moje zdanie cokolwiek dla pana znaczy? Ma pan wszystko. Niech pan rozejrzy się dookoła, lordzie Marlbrooke! - Wiedziała, że traktuje go niesprawiedliwie, że jest dla niego okrutna, ale nie mogła się zatrzymać. - Restauracja króla Karola zawiązką wynagrodziła pańskiej rodzinie wszystkie straty. Ma pan dom w Londynie, Priory, bogactwo i władzę, a także monarszą łaskę. Czy może pan zrozumieć, co to znaczy stracić wszystko? Jak dręczy mnie

myśl, że dziedzictwo wielu pokoleń Harleyów zagarnął siłą ktoś obcy, a zwycięski obóz sankcjonuje tę grabież? Czy wie pan, jak się czuję, gdy traktuje się mnie jak zdrajcę i wyrzutka tylko dlatego, że moja rodzina walczyła o sprawę, w którą święcie wierzyła? Wystarczy posłuchać panny Felicity, by wiedzieć, co sądzą rojaliści o tych, którzy nie godzą się na obecny porządek rzeczy.

Cel osiągnęła, doprowadziła go bowiem do furii. Gwałtownie ściągnął ją z krzesła.

- Myślisz, że nie wiem, czym jest strata i zniszczenie?! Myślisz, że przez cały czas żyję otoczony wygodą i przywilejami? - Nie mógł znieść, że tak niesprawiedliwie został zaatakowany i że jej opinia tak mocno go ubodła. - Włóż trzewiki - burknął. Gdy nieco przestraszona wykonała polecenie, nakazał: -Chodź ze mną.

Sprowadził ją na dół, niemal ciągnąc za sobą. Wnet znaleźli się przed stajniami. Musiała podbiegać, by dotrzymać mu kroku, ale nie miał dla niej litości.

- Dokąd mnie pan prowadzi?

Nie odpowiedział, tylko kazał Jenksowi przyprowadzić Goldfinch i swojego gniadosza.

- Na koń. Nie jedziemy daleko.

Prawie wrzucił ją na siodło, sam dosiadł ogiera i pognął krótkim galopem po bukowej alei, zanim zdążyła osadzić stopy w strzemionach i poprawić spódnicę. Ruszyła za nim, bardziej zaintrygowana, niż zaniepokojona.

Jechali jakieś pół godziny. Kate nie ważyła się przerwać milczenia, a Marcus wyraźnie nie był w nastroju, by to zrobić. Przecięli wieś Winteringham i wkrótce opuścili granice majątku. Kate nie znała tej okolicy, ale nie zwracała na nią uwagi, póki Marlbrooke nie powściągnął konia w miejscu, gdzie ścieżka przemykała się między dwoma wzgórzami.

- Wie pani, gdzie jesteśmy? - Mina Marcusa wskazywała, że nastrój nie poprawił mu się ani na jotę.

Pokręciła głową i rozejrzała się dookoła.

Sceneria wyglądała idyllicznie. Słońce zalewało blaskiem niewielki las, akcentując zieleń świeżej trawy, nakrapianej kwitnącymi tu i ówdzie pierwiosnków, bieleły się młode brzozy, gdzieś poniżej szemrał strumień, a przez gałęzie prześwitywał zarys kamiennego domu.

- To jest Glasbury Old Hall. Pani na pewno nie zna tego miejsca. Tu z pokolenia na pokolenie mieszkali Oxendenowie, moja rodzina. - Wciąż miał pochmurną twarz, choć widać było, że złość mu minęła. - Nie lubię tu przyjeżdżać, ale dzisiaj było to konieczne.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi, ale podążyła za nim, gdy ruszył stępa w dół. Dopiero gdy las się skończył i wjechali do parku, a potem do ogrodu otaczającego dom, pojęła, w czym rzecz.

Glasbury Old Hall był ruiną. Kate z daleka nie dostrzegła, że z proporcjonalnego kamiennego dworu pozostała tylko część ścian, resztę bowiem zniszczyły kule armatnie i ogień, a rabusie dopełnili dzieła zniszczenia. W tych ruinach nie było jednak nic

romantycznego. Panował tu nastrój opuszczenia i beznadziejności. Dumny Marcus musiał dobrze rozumieć, co to znaczy ponieść stratę.

Zeskoczył na ziemię, pozwolił koniowi paść się w miejscu, które kiedyś musiało być zadbaną grządką, i po wyszczerbionych schodach doszedł do dębowych drzwi, które zamiast bronić wstępu, leżały połamane przed progiem. Nad kamiennym nadprożem wciąż widniał herb Oxendenów, trzy sokoły rozkładały skrzydła w niekończącym się locie. Symbol władzy i dominacji stanowił przykry kontrast dla ruin. Po chwili wahania Kate podeszła do wicehrabiego, który zatrzymał się pod rzeźbionym herbem.

- To właśnie mój dom. Priory nim nie jest i nigdy nie będzie.

- Przykro mi. Nie wiedziałam.

- Skąd miała pani wiedzieć? - Wziął ją za ramię, żeby nie potknęła się na nierównościach. Przez taras doszli do rogu domu. - Nie jest tu bezpiecznie, bo kawałek muru może nam spaść na głowę. Ten dom zburzono przed dwudziestu laty.

Schodków do rozarium od dawna nie było, więc wicehrabia zeskoczył na dół i wyciągnął ramiona do Kate. Miejsce wcześniejszej złości zajął bezmierny smutek. Przeszli przez dzicz, która kiedyś była ogrodem, aż na starannie zaaranżowany brzeg strumienia. W oddali, za rozległymi pastwiskami, widać było skąpane w słońcu wzgórza.

- Pamiętam spędzone tu dzieciństwo. To był szczęśliwy okres. Matka kochała te ogrody, w dużym stopniu były właśnie jej dziełem. Ojca kwiaty nie interesowały. W drugim roku wojny siły parlamentu zdobyły tę posiadłość po oblężeniu, w tym samym czasie, gdy pani

rodzina utraciła Priory na rzecz rojalistów. Niestety, podczas walk dom został zniszczony. Potem... Po wojnie ojciec wciąż niedomagał, zgorzkniał, zamknął się w sobie, wreszcie zmarł przedwcześnie na chorobę duszy. Matka straciła kochanego męża, a także dziecko, które urodziło się martwe. Ja też przez wiele lat nie byłem synem, o jakim marzyła. Zostawiłem ją w Londynie i w ogóle o nią nie dbałem. Za całe towarzystwo miała Felicity, natomiast ja... - Wzruszył ramionami. - Cóż, szukałem przyjemności na dworze, najpierw za granicą, potem w Londynie, po powrocie Karola. Sam się dziwię, jak moja matka może wciąż być taka życzliwa dla świata i odporna na przygnębienie. Na domiar złego zachorowała i przestała być samodzielna. - Popatrzył na Kate tak, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. - Widzi pani, obie strony poniosły straty, obie strony ucierpiały, a co zyskaliśmy?

- Niech mi pan wybaczy, Marcusie. Moje oskarżenia były celowe, chciałam pana zranić. Bardzo mi przykro. Wcale nie myślę w ten sposób. Pan okazuje mi wyłącznie życzliwość, podobnie jak lady Elizabeth. Wstyd mi, że sprawiłam panu taką przykrość.

- To prawda, świetnie się pani udało, i to właśnie wtedy, gdy pomyślałem, że może jednak nie nienawidzi mnie pani tak mocno jak kiedyś.

Splonęła rumieńcem, słysząc pytanie w jego głosie.

- Wcale nie czuję do pana nienawiści - odrzekła szorstko, nie patrząc mu w oczy.

Roześmiał się smutno.

- Co za wyznanie! - Przesunął ręce na jej ramiona i przy-
ciągnawszy ją do siebie, wtulił policzek w jej włosy. - Paskudnie się
wobec pani zachowałem. Nie popisaliśmy się oboje, prawda?

Mogła tylko pokręcić głową.

- Niech pani na mnie spojrzy.

Kiedy to zrobiła, pocałował ją z taką czułością, że odebrało jej
dech, a potem zatrzymał skupione spojrzenie na jej twarzy.

- Jest pani piękna. Powiedziałem to już kiedyś, ale wtedy
słusznie spotkałem się z zarzutem pochlebstwa. Teraz jestem o tym
przekonany i mam nadzieję, że moje słowa zostaną przyjęte
właściwie.

- O tak, tym razem przecież pan na mnie patrzy. - Uśmiechnęła
się do niego.

- Patrzę na panią już od kilku tygodni! - Mocniej ją objął i
jeszcze raz pocałował, tym razem zaborczo i namiętnie.

Kate nie czuła już zakłopotania. Przywarła do niego i gorąco
odwzajemniła pocałunek.

Marcus był zdumiony gwałtownością tego wybuchu. Chciał
wziąć Kate natychmiast, w tym miejscu, na dywanie pierwsosnków,
wiedział jednak, że nie jest to dobry pomysł. Miłosne igraszki wśród
ruin, będących dowodem ludzkiego barbarzyństwa, graniczyłyby ze
świętokradztwem. Kate zasługiwała na coś lepszego. Pocałował ją
więc tylko w czoło.

- Wracajmy do Priory. Pragnę cię, Kate, i chcę, żebyś o tym
wiedziała, ale to miejsce nie jest odpowiednie. Zbyt wiele tu smutku.

- Przykro mi, że czuje się pan w Priory tak obco. - Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, jak wobec tego ułoży się ich wspólne życie.

- Czyżbym powiedział coś takiego? Pewnie powiedziałem. Na szczęście nie znamy przyszłości. Wszystko się jeszcze może zmienić.

W milczeniu dotarli tam, gdzie pierwszy raz ujrzeli Glasbury Old Hall. Kate przyglądała się ukradkiem mężczyźnie, z którym związał ją los. Twarz miał zasepioną. Nie знаła go dostatecznie dobrze, by w jednej chwili rozwiać jego smutki, postanowiła jednak spróbować.

- Nie miałam dotąd okazji podziękować panu za tę piękną klacz - powiedziała. - Powinniśmy chyba sprawdzić jej możliwości.

Zerknął na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

- Pasujecie do siebie.

- Wiem. - Roześmiała się. - Myślę, że warto poddać ją próbie.

- Czyżby moja purytańska żona proponowała wyścig?

- Czemu nie? Założę się, że będę pierwsza przed stajniami.

Przyjmuje pan?

- Co wygram, jeśli Falcon zostawi Goldfinch tak, że straci mnie pani z pola widzenia?

- Hm, gdybym przyjęła taki zakład, oznaczałoby to, że uważam zwycięstwo Falcona za oczywiste. Nie ma mowy.

- Dobrze. Wprawdzie zwykle nie popieram takiego obyczaju, ale dla dobra miłości zgadzam się na nagrodę, której wcześniej nie ustalamy.

- Pod jednym wszakże warunkiem. Nie będzie pan starał się przegrać.

- Co to, to nie! - Jego uśmiech dowodził, że nawet mu to przez myśl nie przeszło.

Konie puściły się galopem przez pastwiska. Gnały w słońcu łeb w łeb, kopyta wrywały darń. Och, cóż to była za radość! Dla Kate nie miało znaczenia, kto wygra. Zobaczyła rozjaśnioną twarz Marcusa i to było dla niej prawdziwą nagrodą.

Już w granicach parku przy Priory jeźdźcy pozwolili wierzchowcom pokazać wszystkie umiejętności. Goldfinch walczyła twardo, ale na Falcona nie było siły. Ogier był silniejszy i mocniej zbudowany. Nic dziwnego, że wicehrabia już stał na ziemi, gdy Kate zajechała przed stajnie potargana, lecz szczęśliwa.

Zeskoczyła z siodła prosto w jego ramiona.

- Przegrałyśmy, ale i tak ją uwielbiam. Nie mam słów, żeby panu podziękować.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A jaką dostanę nagrodę, panno Violu?

Bez zastanowienia zarzuciła mu ręce na szyję i wycisnęła na jego ustach pocałunek. Potem, śmiejąc się z jego zaskoczenia tą publiczną manifestacją uczuć, podciągnęła spódnicę i zaczęła biec ku domowi. Marlbrooke ruszył za nią, świadom znaczącego uśmiechu na twarzy Jenksa. Zły humor został definitywnie zapomniany.

Przechodząc, nie zauważył w otwartych drzwiach stajni nieruchomej postaci Richarda Hothama. Nawet nie przyszłoby mu do

głowy, jak gwałtowny przypływ uczuć może spowodować widok niewinnego pocałunku z Kate.

Jeszcze tego samego dnia Kate odbyła ostatnią ze swych poufnych rozmów z Jenksem. W efekcie doszło do pewnych dyskretnych manewrów między stajniami a domem. Godzinę później ich wyniki zostały ujawnione.

- Czemu mnie tu przyprowadziłaś, Kate? Podejrzewam jakiś spisek. - Lady Elizabeth zerknęła na syna, który ze szczerego zainteresowania postanowił im towarzyszyć.

Kate otworzyła drzwi do rzadko używanego pokoju. Był wychłodzony i skąpo umeblowany, lecz miał drzwi na taras.

- Nie oczekuj ode mnie wyjaśnień, matko. Okazałem się na tyle lekkomyślny, by pozostawić Violi wolną rękę, i teraz ponosimy tego konsekwencje.

- Chciałabym pani coś pokazać - powiedziała Kate. - Mam nadzieję, że ocena wypadnie przychylnie. - Nagle straciła pewność siebie. A jeśli źle odgadła marzenia Elizabeth?

W pobliżu okna stał duży bezkształtny przedmiot w płóciennym pokrowcu. Kate z błyskiem w oczach podeszła do niego.

- Oto i powód naszej wizyty w tym pokoju. Mam nadzieję, że okaże się użyteczny. - Pociągnęła za płótno i ich oczom ukazało się krzesło.

Lady Elizabeth spojrzała na niego zdziwiona.

Krzesło na pierwszy rzut oka nie wyróżniało się niczym szczególnym. Sporządzili je miejscowi rzemieślnicy pod kierunkiem

Jenksa. Dość masywne, miało poręczce ozdobione wzorem z motywami roślinnymi, a oparcie wzmocnione rozporkami. Dębowe drewno pokryte lakierem, krzesło lśniło więc w słońcu, które zaglądało do pokoju przez okno. Na siedzisku położono poduszkę, wyhaftowaną przez dawno zmarłą mieszkankę Priory.

Elizabeth nagle się uśmiechnęła, pojęła bowiem wreszcie, na czym polega niezwykłość tego krzesła. Otóż do nóg przytwierdzono solidne kółka, a do rozporki z przodu na dole dodano podnózek.

- Podczas spaceru po ogrodzie - wyjaśniła Kate - będzie pani mogła skorzystać z tego środka transportu, skończy się więc problem ze zbyt długimi dystansami do pokonania.

- No tak, ale...

- Mój wuj Simon jest zbyt dumny, więc nie korzysta z takiego udogodnienia - ciągnęła Kate. - Nie robi tego nawet wtedy, kiedy ból całkiem go unieruchamia. Uważa, że byłoby poniżej tego godności prosić służbę albo Richarda o pomoc. Wydaje mi się jednak, milady, że docenisz zalety tego krzesła, bo dzięki niemu będziesz mogła odwiedzać ogród. Ja w każdym razie zawsze chętnie z panią pospaceruję.

- To wspaniały pomysł, Kate. Mnie tam duma nie przeszkadza. Z przyjemnością opuszczę wreszcie cztery ściany domu.

Marcus roześmiał się, zachwycony pomysłem narzeczonej.

- Ach, więc to o tym tak szeptałaś z Jenksem. Nigdy bym się nie domyślił. - Ujął matkę za rękę i pomógł jej usiąść na poduszce, natomiast Kate poprawiła jej spódnicę i ułożyła je tak, by nie

pobrudziły ich koła. - Potrzeba jeszcze tylko Felicity i możemy jechać na taras.

- Ojej, czy nie mógłbyś znaleźć na tę okoliczność kogoś trochę bardziej sympatycznego?

- Oczywiście mogę.

- Pożyczę pani Josha, który nie odstępuję mnie na krok. -Kate uśmiechnęła się z ulgą, wiedziała bowiem, jak trudno jest zaakceptować swoje słabości. - Sprawi mi wielką przyjemność, jeśli Josh do czegoś się pani przyda.

- Josh zostaje z tobą - z miejsca zaproponował Marcus z groźnym błyskiem w oku. - Ponieważ jednak jest piękna pogoda, a ja powinienem trochę poćwiczyć mięśnie, sprawdzimy, cóż to za maszyna. W każdym razie jeśli się przewróci i wylądujesz, matko, na grządce, winę za to ponosi Kate!

Ją zaś ogarnęła nieskrępowana radość. Marlbrooke otworzył drzwi na taras. Z satysfakcją patrzyła, gdy z wielką ostrożnością i czułością manewrował krzesłem. Właśnie w tej chwili zrozumiała, że kocha tego człowieka, kocha z całego serca. A ponieważ jej miłość była odwzajemniona, świat nabrał dla niej pięknych barw. Na chwilę odwróciła się, by ukryć wzruszenie. Musiała się oswoić ze swoim najnowszym odkryciem.

Rozdział trzynasty

Zapowiadał się piękny wiosenny dzień, toteż Kate w radosnym nastroju czekała, aż West osiodła Goldfinch i oderwie Josha od jakiegoś zajęcia w stajni. Przejazdźka w słońcu, przy lekkim wietrze stanowiła wielką atrakcję, dodającą animuszu. Nie bez znaczenia była też perspektywa spotkania z Marlbrookiem. Kate tęskniła za nim do tego stopnia, że nie mogła spać i miała marny apetyt, co zresztą prowokowało podejrzliwe spojrzenia i cięte uwagi ciotki Gilliver. Kate sama nie rozumiała, jak to się stało, że w tak krótkim czasie jej uczucia wobec Marcusa mogły ulec całkowitemu przeobrażeniu. Jej szczęście zakłócał tylko jeden drobny szczegół. Chodziło oczywiście o Richarda. Wiedziała, że powinna się z nim rozmówić, miał bowiem do niej pretensje, i to całkiem uzasadnione. Teraz jednak nie zamierzała tym się trapić, bo wybierała się do Priory, do Marcusa, a z tym wiązała się sama radość.

Niestety, nieoczekiwane starcie zepsuło tak pięknie zapowiadający się dzień.

- Nie chcę krytykować twojego zachowania, Kate, wydaje mi się jednak, że spędzasz stanowczo za dużo czasu w Priory.

- Ku jej strapieniu niepostrzeżenie dołączył do niej Richard. - Rozumiem, naturalnie, że chcesz tam mieszkać, odnoszę jednak wrażenie, że szukasz towarzystwa Marlbrooke'a, bardziej niż jest to konieczne.

- Nie wiem, czy spotkam się z milordem - odrzekła Kate z nadzieją, że jej wzruszenie ramionami wypadło naturalnie.

- Mam zawieźć nową maść ciotki Gilliver dla lady Elizabeth, bo liście ożanki są bardzo dobre na podagrę. Nie zostanę tam długo.

- Zobaczymy się więc, kiedy wrócisz. - Richard pomógł jej dosiąść klaczy i podał wodze. Przytrzymał jednak jej dłoń nieco dłużej, niż należało, zmuszając ją w ten sposób, by spojrzała mu w oczy. - Kate, jesteś młoda i nieobyta w świecie, rozumiem więc twoje nadzieje. Wierzysz, że małżeństwo z wicehrabią Marlbrookiem otworzy przed tobą niebywałe perspektywy. On jest bogaty, ma wpływy na królewskim dworze, no i jest bardzo przystojny.

- Możliwe. Dobrze jednak wiesz, że nasze małżeństwo ma czysto polityczny charakter.

- Tego jestem świadom. - Minę miał surową, ale jego głos brzmiał łagodnie, nie zdradzał nic z gwałtownych uczuć, a zwłaszcza piekającej zazdrości, która bez reszty nim zawładnęła. - Po prostu chcę cię ostrzec przed takim światowym człowiekiem. Nie ufaj mu.

Widziałem, jak się wobec ciebie zachowuje. To prawda, ma mnóstwo uroku, ale jakie naprawdę ma plany wobec ciebie? Być może zaleca się tylko po to, by zyskać niepodważalne prawa do Priory, no i mieć dziedzica. Kiedy już to wszystko zdobędzie, przestaniesz mu być potrzebna. Nie bądź zaskoczona, jeśli nagle przestanie okazywać ci względy. Z pewnością wróci na dwór, by błyszczeć w świecie, bawić się wesoło i robić karierę u boku króla, a ty zostaniesz ze złamanym sercem. Oczywiście nie życzę ci tego, droga kuzynko, ale...

Przed oczami Kate przemknął obraz Marlbrooke'a, jak stoi w salach recepcyjnych Whitehallu. W ręku kieliszek wina, twarz ożywiona rozmową z przyjaciółmi. Kosztowny strój, swoboda i ogłada. Poczwała niemiłe ukłucie zazdrości.

- Nie pozwolę złamać sobie serca. - Zmusiła się do przesłania Richardowi uśmiechu. - Jestem ci wdzięczna za troskę, ale niepotrzebne się frasujesz. Nie mam żadnych oczekiwań wobec lorda Marlbrooke'a.

W duchu musiała jednak przyznać, że to nieprawda, **toteż** nieszczerłość, której się dopuściła wobec kuzyna, odebrała pięknemu wiosennemu dniu wiele uroku.

Idąc ze stajni do domu, Kate spotkała na tarasie Felicity. Wychudzoną twarz spowitej w ponure atłasy rezydentki Priory rozjaśnił uśmiech, co było zaskakujące, jako że ich stosunki nadal nie układały się dobrze.

- Dzień dobry, panno Kate - powiedziała zaskakująco ciepło. - Lady Elizabeth siedzi w ogrodzie na dole. Jeśli pani pozwoli, pójdziemy tam razem.

- Naturalnie. - Kate odwzajemniła uśmiech. Może jednak myliła się, posadzając Felicity o niechęć do siebie? Może czas leczy wszystkie rany.

Ruszyły do ogrodu.

- Musi mieć pani dużą satysfakcję z powrotu w rodzinne pielesze po tylu latach.

- Tak, to bardzo piękny dom, a jeszcze piękniejszy jest ogród.

- Małżeństwo z lordem Marlbrookiem będzie więc dla pani bardzo korzystne.

- Naturalnie. - Kate uniosła brwi, niepewna, do czego zmierza Felicity.

- Mam nadzieję, że nie będzie się pani czuła tu osamotniona, kiedy milord i droga Elizabeth powrócą do Londynu.

- Nie wiedziałam, że wicehrabia Marlbrooke zamierza wyjechać z Priory w niedalekiej przyszłości. - Kate poczuła chłód w sercu. - Nie wspominał mi o tym.

- Och, jeszcze nie teraz, ale niedługo. - Felicity uśmiechnęła się szerzej, Kate nie dostrzegła jednak w jej oczach ani śladu sympatii. - Wicehrabia wróci na dwór dopiero po waszym ślubie. Jego Wysokość bardzo sobie ceni towarzystwo milorda. Poza tym milord, jak sama pani wie, lubi dworskie życie. Nie powinien go zresztą unikać ze względów politycznych, z czym na pewno pani się zgodzi.

Zabezpieczył już przyszłość majątku, więc nie ma powodu, by dalej spędzał czas na zapadłej wsi, a już z pewnością nie podczas tak męczącej pogody. W Londynie mieszka się o wiele wygodniej, nie sądzi pani? Droga Elizabeth nie lubi zresztą wsi. W Londynie ma mnóstwo przyjaciółek, które chciałyby widzieć ją tam na stałe.

- Rozumiem.

- Czy planuje pani towarzyszyć milordowi?

- Prawdę mówiąc, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Nie widzę jednak przeciwwskazań.

- Może sama pani je dostrzeże. Tak czy inaczej, kiedy będzie już pani przy nadziei, Marlbrooke bez wątpienia zechce zapewnić pani spokój. - Roześmiała się przenikliwie. - Czyżby spodziewała się pani ciągłych zalotów milorda po tym, jak postara się o dziedzica? Co za naiwność! Dziedzic spełni cel tego małżeństwa. To wszystko. Trzeba przyznać, że milord ma wspaniałe maniery. Wielu sądzi, że nie zdecydowałby się na małżeństwo bez uczuciowego zaangażowania, ale między nami mówiąc, jego rany są zbyt głębokie. Moim zdaniem trudno po nim oczekiwać, że wybaczy stronnikom parlamentu zniszczenie domu i rozbitcie rodziny. Pani naturalnie wie, co wojna zrobiła z ojcem milorda? - Kate z utęsknieniem wyczekiwała końca tej rozmowy. - Jego zdrowie stopniowo się pogarszało, aż wreszcie doszło do katastrofy. To był wielki cios dla drogiej Elizabeth, nigdy się po nim nie podniosła i nie sądzę, by kiedyś się to stało. - Dotknęła ramienia Kate w geście rzekomego współczucia. - On nigdy pani nie pokocha i lepiej zawczasu się z tym pogodzić. Zauważyłam, jak pani na niego patrzy. Byłaby doprawdy niemądrze narażać się na bolesne odrzucenie.

Kate miała wrażenie, że wszystkie jej marzenia obracają się w proch. Mogła naturalnie potraktować ostrzeżenie Felicyty jako złośliwą próbę siania niezgody, ale te słowa tylko potwierdzały jej najgorsze lęki, sama wszak przekonała się, ile atrakcji jest na dworze. Nagle zrozumiała, że nie wolno jej zapomnieć o swojej prawdziwej pozycji i wyobrazać sobie zbyt wiele!

Odwróciła się do Felicity, dumnie unosząc głowę.

- Naturalnie, panno Felicity. Słusznie ocenia pani sytuację. Nie oczekuję po tym małżeństwie niczego nadzwyczajnego, traktuję je jako wykonanie umowy, zawartej przez Marlbrooke'a z moim wujem - powiedziała, siląc się na obojętność. - W każdym razie bez względu na okoliczności z przyjemnością zamieszkać w Priory. To jest mój dom. - Tylko że prawa własności do niego, kiedyś tak ważne, teraz straciły dla niej znaczenie.

Marlbrooke'a spotkała później na głównych schodach.

- Dzień dobry, milordzie. - Dygnęła przed nim, skromnie spuszczać oczy. - Chcę zapytać, czy ustalił już pan z moim wujem datę ślubu.

- W przyszłym miesiącu. Nie wiem, jakie przygotowania musi pani poczynić, ale kobiety zawsze potrzebują więcej czasu, niż to możliwe. Czy do przyszłego miesiąca zdąży pani ze wszystkim? Jeśli nie, możemy przesunąć termin według jej życzenia. - Uśmiechnął się, nieświadom jej wzburzenia.

- Dziwię się, że chce pan czekać tak długo, milordzie. Ton jej głosu zwrócił jego uwagę. Brzmiała w nim niezbyt zręcznie tłumiona irytacja.

- Im szybciej mnie pan poślubi - ciągnęła w tym samym duchu Kate - tym szybciej będzie pan mógł wrócić do Londynu.

- Nie planuję na razie powrotu do Londynu - powiedział ostrożnie, czekając na jakąś wskazówkę, która wyjaśniłaby mu powód rozdrażnienia Kate.

- Na razie nie, ale kiedy już będę przy nadziei, pana obecność w Priory straci uzasadnienie. Wiem zaś, że lady Elizabeth bardzo chciałaby wrócić do stolicy.

- Sama to pani powiedziała? - Taka bezceremonialność nieco go zdziwiła.

- Nie wprost. Szczerze jednak wątpię, czy pan lub lady Elizabeth będziecie chcieli tu pozostać, gdy dziedzictwo zostanie zabezpieczone.

- Sądzi więc pani, że zamierzam począć dziedzica, a potem zostawić panią na wsi? - Powinna była usłyszeć ostrzegawczą nutę w jego spokojnym głosie, ale zanadto była pochłonięta własnymi myślami.

- Dlaczego nie? Ja naturalnie chętnie tutaj zostanę. To zadowoli obie strony. Pan może wrócić na dwór do swojego dawnego życia, przecież wiem, że pociąga pana daleko bardziej niż monotonia Priory. Prawdę mówiąc, dziwię się, że wytrwał pan tu już tak długo.

Marlbrooke dwoma dużymi krokami pokonał dzielącą ich odległość.

- Z kim pani rozmawiała? Kto pani podsunął takie pomysły? - Chwycił ją za ramiona. Jak mogła tak opacznie pojąć jego intencje? Czym sobie na to zasłużył? Ilekroć zdawało mu się, że robią krok ku porozumieniu, spotykała go przykra niespodzianka. Tym razem nawet nie umiał odgadnąć, co ją nagle opętało.

- Z nikim, milordzie. Wystarczy trochę pomyśleć. Proszę mnie puścić. - Jego palce boleśnie wbijały jej się w ramiona. - Chcę wrócić

jeszcze przed południem do Widemarsh. - Uścisk wcale nie zelżał. -
Proszę mnie puścić, milordzie.

- Nie. Najpierw wyjaśnimy tę sprawę. Nie może pani rzucać bezzasadnych oskarżeń, a potem uciekać. Pani nie jest tchórzem, Kate, a ja wcale nie wybieram się do Londynu. Kiedy zaś przyjdzie mi na to ochota, pojedzie pani ze mną, zgodnie ze swą wolą. Co zaś do dziecka... bardzo chciałbym, ale oboje jesteśmy młodzi i doprawdy nie ma pośpiechu.

- Naprawdę, milordzie?

- Naprawdę. Niech więc pani pozbędzie się purytańskiego przeświadczenia, że małżeństwo służy jedynie prokreacji. Ma też inne dobre strony i miałem nadzieję, że z czasem je pani doceni. Wygląda jednak na to, że się myliłem.

- Nie widzę żadnych dobrych stron. Poza tym sądziłam, że pragnie pan wrócić do Alice Lovell! - No i się stało. Powiedziała to wprost! Skoro jednak powiedziała już a... - Od początku było dla mnie jasne, że chce mnie pan poślubić z jednego tylko powodu. A co, może...

Marcus gniewnie przerwał jej to uzalanie się nad sobą.

- Uważa więc pani, że kiedy tylko spłodzę dziedzica, zostawię panią na wsi, a sam będę cieszył się atrakcjami dworu? I złamię złożoną pani przysięgę?

- Tak - odparła wyzywająco.

- Wobec tego przykro mi, ale muszę panią rozczarować, panno Harley. I Richarda Hothama albo Gilliver, bo to któreś z nich musiało

zasiać to ziarno. Dziwię się, że daje pani posłuch ich słowom, a nie moim, widocznie jednak nie powinienem był się zdradzać z moją miłością. - Jego głos był pełen goryczy. - Proszę jednak, aby zrozumiała to pani, Kate. Alice Lovell nic dla mnie nie znaczy. Inaczej nie mógłbym prosić o pani rękę.

- Nie to miałam na myśli. Tylko że... - Zamilkła, nagle bowiem uświadomiła sobie, do czego dała się sprowokować. Marlbrooke uznał, że jej rodzina knuje przeciwko niemu intrygi. Skonfundowana nawet nie zaprotestowała, gdy z całej siły chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą do sypialni i zamknął drzwi na klucz.

- Proszę...

- Czego pani ode mnie chce? Współczucia? Litości? Wątpię. Zakładam, że zdaniem pani i jej rodziny jestem niezdolny do takich uczuć. Co więcej, zostałem oskarżony o niewyobrażalny egoizm. Niech więc tak będzie.

Rzucił się na nią ze zwierzęcą gwałtownością. Zanim pojęła jego zamiary, zdążył rozwiązać troczki stanika jej sukni, zsunąć z ramion koszulkę i obnażyć piersi. Potem wycisnął na jej ustach brutalny pocałunek, Dopiero gdy pchnął ją na łóżko, przejęta paniką spróbowała stawić opór. Na próżno jednak. Odsunął się tylko na chwilę aby jednym ruchem zdjąć kaftan. Chciała wykorzystać ten moment i uciec, ale chwycił ją za spódnicę i przyciągnął z powrotem.

- O nie, panno Harley. Za swoje słowa ponosi się konsekwencje.

Skapitulowała. Przestała walczyć, biernie poddała się losowi. Nie umiała jednak powstrzymać łez, które popłynęły jej po

policzkach. Co ona najlepszego zrobiła? Przecież nie miała żadnych podstaw do podejrzeń. Zawsze odnosił się do niej z wielkim szacunkiem, a jednak dała posłuch fałszywym oskarżeniom Richarda i Felicity. Poczula na udach dotyk szorstkich dłoni Marlbrooke'a. Nie ważyła się spojrzeć mu w oczy, bała się, że wyczyta w nich gniew i odrzucenie. Spuściła powieki.

Przygniótł ją ciężarem swego ciała. I chociaż jej umysł gwałtownie protestował przeciwko temu zamachowi, zdradliwe ciało okazało się głodne nowych doznań.

Nagle uświadomiła sobie, że Marlbrooke znieruchomiał. Otworzyła oczy i zobaczyła, że na jego twarzy maluje się najprawdziwsza groza.

Otarł dłonią łzy z jej policzków. Myśl o tym, co chciał zrobić wzbudziła w nim przerażenie.

- Kate... Bóg mi świadkiem, że nie tak sobie wyobrażałem to, co ma być między nami. Uwierz, nie zamierzałem cię poniżyć.

- Wiem. - Choć łzy przeszkadzały jej w mówieniu, patrzyła mu w oczy z wielkim spokojem.

- Bardzo cię przepraszam. - Oparł się na łokciach, by wreszcie mogła swobodnie odetchnąć. - Właśnie dowiodłem, że jestem zdolny do wszystkiego, o co zostałem przed chwilą oskarżony. I wiem, że żadne przeprosiny nie naprawią tego, co się stało.

- To ja niepotrzebnie się uniosłam. Nie powiedziałam tego, co naprawdę myślę. Ale kiedy usłyszałam... - Ugryzła się w język.

Pogłaskał ją czule.

- Nie ponosisz żadnej winy. Zachowałem się niewybaczalnie i zasłużyłem na twoje wyrzuty.

Chciał się odsunąć, ale, ku jego zaskoczeniu, Kate kurczowo chwyciła go za ramiona.

- Nie! Niech pan mnie teraz nie zostawia! Tego bym nie zniosła.

- Po tym, co zrobiłem? - Przyjrzał jej się z niedowierzaniem - Nie umiem stosownie cię przeprosić. Nie zasługuję na żadne względy.

- Nie idź. - Bała się zostać sama z pustką w sercu. Pragnęła, żeby ją objął i pieścił tak jak wtedy, gdy pierwszy raz leżeli obok siebie, najbardziej jednak chciała przegnać z jego twarzy ten bolesny grymas. Pod wpływem nagłego impulsu uniosła się i musnęła jego wargi. To był właśnie znak przebaczenia, jakiego potrzebował. A ona wiedziała, że będzie już zawsze kochać tego mężczyznę, który posiadał ją bez reszty. - Nie opuszczaj mnie - powtórzyła z paniką w głosie.

- Skoro jesteś pewna, że tego nie chcesz. - Delikatnie scałował z jej twarzy łyzy, poruszony, że można kochać z taką siłą.

- Jestem pewna - szepnęła.

Wsunął się w nią i zaczął się ostrożnie poruszać. Przy każdym ruchu rozkoszował się otaczającym go ciepłem. Wiedział, że teraz już nie ma odwrotu. Kate otworzyła się przed nim jeszcze bardziej i ruchami bioder podchwyciła jego rytm.

Pocałunki Marcusa przyprawiały ją o cudowne dreszcze. Zapomniała o wszystkich lękach, miała bowiem wrażenie, że cali się jednością. Jej umysł już nie protestował, mogła więc bez przeszkód poddać się zręcznemu przewodnictwu kochanka, wiedzona chęcią

dawania i brania jednocześnie. Z rozkoszą przyjęła chwilę, która jeszcze na długo pozostawiła w jej wnętrzu doznanie cudownego ciepła.

Potem leżeli spleceni w mocnym uścisku, zdyszani i urzeczeni

- Chcę, Kate, żebyś wiedziała, że nigdy nie użyłbym mojego ciała do tego, żeby cię karać.

- Wiem. A ja nigdy nie uwierzyłabym w to... w to, co powiedziałam. Nie mogę sobie tego wybaczyć.

- Zawstydzasz mnie, Kate, tym bardziej że nie dałem ci pełnej rozkoszy.

-Nie?

- Nie. To powinno być coś wspaniałego. Zapierającego dech w piersiach. - Zaśmiał się cicho. - Albo coś takiego. -Dotknął jej piersi i poczuł bardzo przyjemną odpowiedź.

- Wobec tego cierpliwie poczekam...

- Nie potrwa to długo - szepnął, wtulając usta w jej włosy. Przez chwilę milczeli, upojeni wszechogarniającym spokojem nadchodzącego snu.

- To była Felicity, prawda? - spytał nagle Marlbrooke.

- Tak. - Kate nawet nie próbowała kluczyć. Pocałował ją w skroń.

- Nie będę pytał, co ci naopowiadała, powinnaś jednak czegoś się o niej dowiedzieć. - Ujął ją za rękę i położył je sobie na torsie. - Wiem, że dla ciebie jest zgorzkniałą, podejrzliwą starą panną, skłoną do pochopnych oskarżeń. Kiedyś było jednak inaczej. Felicity miała

narzeczonego. To nie był związek z miłości, ale ona akceptowała kandydata i chciała go poślubić. Miałyby dom i rodzinę, o czym marzyła. Pewnie łatwiej byłoby jej wtedy zdobyć się na więcej życzliwości i tolerancji w stosunku do innych. Niestety, ten człowiek zginął pod Edgehill, trafiony kulą z muszkietu. Drugiej szansy Felicity już nie dostała. Jak więc widzisz, życie nie obeszło się z nią łaskawie. I nie ma co się dziwić jej nienawiści do parlamentu. Nie zważaj na jej słowa, Kate.

Westchnęła ciężko.

- Wszyscy mamy jakieś urazy po tej wojnie.

- Tak... Niewiele rodzin wyszło bez szwanku. Felicity ma wiele problemów, którym musi stawić czoło, pozycja ubogiej krewnej jest wszak nie do pozazdroszczenia. Sama pewnie o tym wiesz.

- Nie powinnam była tak pochopnie jej sądzić. Należała mi się ta wymówka.

- Nie o to chodzi, Kate. - Wciąż nie ustawał w pieszczotach.

- Powinnaś jednak rozumieć, dlaczego jest jej tak trudno kogokolwiek polubić, może poza moją matką, która uchroniła ją przed nędzą. Dlatego Felicity jest bezgranicznie oddana lady Elizabeth. Nie spodziewaj się jednak sprawiedliwej oceny z jej strony. Dla niej jesteś intruzem i złodziejką, która ukradła to, co wyłącznie jej się należy, to znaczy wdzięczność i uczucie mojej matki. Widzi w tobie uzurpatorkę, zajmującą jej miejsce w domu. Tego łatwo ci nie wybaczy.

- Rozumiem i bardzo mi przykro, że w ciebie zwątpiłam.

- Niełatwe jest to wszystko, czyż nie, Kate? No, uśmiechnij się do mnie. - Ostrożnie odwrócił jej głowę, by na niego spojrziała. - Może któregoś dnia uwierzysz w moją miłość.

Był piękny i troskliwy. Swym szarym spojrzeniem potrafił czynić cuda. Pierwszy raz zdawało jej się, że ich przyszłość maluje się w jasnych barwach.

Marcus myślał zaś o tym, jak piękna jest Kate, i trochę się dziwił, że sama nie zdaje sobie z tego sprawy. Niepokoilo go tylko, że jej władza nad nim jest coraz większa. Co gorsza, trudno mu było zapomnieć, że omal nie wyrządził jej nieodwracalnej krzywdy.

RS

Rozdział czternasty

- Milady odpoczywa. Nie można jej przeszkadzać. - Panna Felicity stanęła jak cerber w półotwartych drzwiach. Kate pogodziła się z porażką i zawróciła. Nie zamierzała siłą wdzierać się do środka.

- Felicity? Czy przyszła Kate? - rozległ się głos lady Elizabeth. - Wpuść ją, proszę.

- Powinnaś odpoczywać, najdroższa Elizabeth. Jest zbyt wcześnie na...

- Chcę porozmawiać z Kate.

Kuzynka niechętnie ustąpiła, natomiast lady Elizabeth udzieliła jej ostrej jak na nią reprimendy, bo też zirytowana była bardzo.

- Jeśli Kate przychodzi, nie życzę sobie, żebyś ją odprawiała. Wiem, że masz na względzie moje dobro i chcesz, abym odzyskała siły, ale nie przesadzajmy. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

Uprzejmy ton nie miał nic do rzeczy, wynikał z dobrego wychowania, ale przesłanie było jasne: „Tak ma być, koniec, kropka”. Podobnie postępował Marlbrooke, miał to więc po matce. Władczość i siła, niezależnie od okoliczności.

- Naturalnie, droga Elizabeth. Nie ważyłabym się zrobić czegokolwiek wbrew twojej woli. Ja tylko...

- Wiem, dlatego nie mówmy już o tym. - Życzliwy uśmiech nie ułagodził Felicity, ale lady Elizabeth nie zwracała już na nią uwagi. - Usiądź, moja droga - zaprosiła serdecznie Kate.

- Co u ciebie słychać.

Milady niewątpliwie miała się coraz lepiej. Siedziała na ławie pod oknem z robótką na kolanach.

- Dobrze pani wygląda.

- Bardzo się cieszę, że nie muszę już leżeć. - Miała lekkie rumieńce na twarzy, oczy odzyskały blask. - Popatrz. - Pokazała Kate skomplikowany kwietny wzór. - Mam o wiele sprawniejsze palce. Rano byłam z Marcusem w ogrodzie, a kiedy się męczyłam, powoził mnie trochę na krześle. Mogę odwiedzać miejsca, które jeszcze niedawno były dla mnie niedostępne.

- Zawahała się i dodała trochę onieśmielona: - Pomożesz mi odrestaurować ogród, kiedy zamieszkasz tu na stałe?

- Naturalnie. - Kate uścisnęła jej dłoń.

- Myślę, że powinniśmy wprowadzić pewne zmiany. Trzeba iść z duchem czasu.

Kate wybuchnęła śmiechem.

- No pewnie. A o czym pani myśli? Kaskady, fontanny i podobne ozdoby? Muszę wyznać, że niewiele o tym wiem.

- Zdaje mi się, że teraz w modzie są dzikie ogrody, chociaż, prawdę mówiąc, u nas tej dzikości jest w nadmiarze, zresztą bez najmniejszego wysiłku z naszej strony.

- Dzikie ogrody?

- Chodzi o grupy drzew i krzewów, dające latem cień, a do tego ścieżki zachęcające do spacerów. Spróbujemy?

- Naturalnie. Może powinniśmy też zasadzić więcej różnych kwiatów na rabatach. Róże, żeby ładnie pachniały wieczorami. I lilie.

No i koniecznie orliki. Moja matka sadziła je w Downham Hall i zawsze pięknie wyglądały. Poza tym dobrze robią na gardło, a nasiona, jeśli namoczyć je w winie, pomagają podczas porodu... - Urwała zakłopotana.

- Droga Kate. - Lady Elizabeth uśmiechnęła się nieznacznie. - Wobec tego koniecznie musimy posadzić orliki.

Kate spłonęła rumieńcem. Ponieważ zaś zauważyła, że Felicity wymyśliła sobie zajęcie w drugim końcu pokoju, postanowiła skorzystać z okazji, a jednocześnie zmienić temat.

- Czy ostatnio dobrze pani śpi? - spytała cicho.

- O tak, o wiele lepiej. Nie będę pytać, co zrobiłaś, ale wreszcie czuję się bezpieczna - powiedziała z wielką ulgą. - Atmosfera się oczyściła. Czasem nawet zdaje mi się, że wszystko sobie wymyśliłam. - Zmarszczyła czoło. - Nie sądzisz, że był to skutek mojej nadmiernie pobudzonej wyobraźni?

- Nie. Wiem, czego pani doświadczała. Ciesz się, że mogłam przywrócić pani spokój.

- Czy słusznie się domyślam, że miała w tym udział pani ciotka?

- Tak, po pewnych namowach. Ogrom jej wiedzy trochę mnie przeraża. To od niej dowiedziałam się o Isolde, pannie, która kiedyś odebrała sobie życie, skacząc z dachu. Biskup, na prośbę jej rodziny, uwięził ducha nieszczęsnej samobójczyni w zapieczętowanym naczyniu ceramicznym, które podobno znajduje się na terenie Priory. Ciotka nie wie dokładnie, gdzie to jest i dlaczego Isolde nagle powróciła. Może... - Dostrzegła nagłą bladość na twarzy lady

Elizabeth. - Co się stało? Co takiego powiedziałam? Czy pani coś o tym wie?

-Mówisz o naczyniu ceramicznym? Przechowywanym w Priory? Mój Boże...

- Tak. Ciotka sądzi, że...

- Kate, posłuchaj, co ci powiem. Jeszcze przed twoim przybyciem do Priory byłam w spiżarni i znalazłam na dnie kredensu stary gliniany dzbanek - Zamilkła, przytknąwszy dłoń do ust.

-I co się stało?

- Upuściłam go, rozbił się w drobny mak Pusty dzbanek woskowy korek... Może jednak on wcale nie był pusty. Może...

- ... był w nim udreńczony duch Isolde, czy tak? Wymieniły spojrzenia pełne niepokoju.

- Zanim to się stało, nie czułam dziwnego chłodu w spiżarni. I nie było tego przygnębiającego smutku. Tak, to by wszystko wyjaśniało. - Lady Elizabeth wyraźnie się zatroskała.

- To prawda.

- A skoro tak, to sama jestem winna wędrówkom Isolde po Priory.

- Brzmi to prawdopodobnie. - Kate postarała się, by jej uśmiech wypadł krzepiąco. - Jednak nie wolno się pani o to obwiniać. Nie zrobiła pani tego umyślnie.

- Naturalnie, że nie. Wolałabym jednak nigdy nie znaleźć tego dzbanka. - Była bardzo przygnębiona.

Kate nijak nie mogła jej pomóc, rozsądnie postanowiła więc po raz kolejny zmienić temat. Wyjęła gliniane naczynie.

- Ciotka Gilliver proponuje nową maść na stawy, z dzięglu.

Spizarnia w Widemarsh jest pełna prawdziwych skarbów.

Myślę, że ta maść jeszcze bardziej zmniejszy opuchliznę i zaczerwienienie. U ciotki są też wspaniałe pachnidła.

- Na pewno wypróbuję. - Lady Elizabeth ostrożnie powąchała zielonkawą maść. - Co teraz zamierzasz? Widziałas się z Marcusem?

- Nie. Przyjechałam specjalnie do pani. Widzę, że jest o wiele lepiej, więc mogę spokojnie wrócić przed zmrokiem do Widemarsh. - Wstała.

- Pokazał ci Glasbury, prawda?

- Tak - odparła zaskoczona Kate.

- Nie powinien był tego robić. Zbyt wiele złych wspomnień wiąże się z tym miejscem. Nie chcę, żeby przeszłość naszej rodziny rzucała cień na wasz związek. Dość macie kłopotów ze swoją.

- Historia bywa bolesna... ale cieszę się, że tam pojechałam.

- Cóż, Marcus sam decyduje o swoich poczynaniach. W każdym razie nie sądź go zbyt surowo. A teraz, droga Kate, lepiej już jedź do domu. I odwiedź mnie, kiedy tylko będziesz mogła.

- Naturalnie. Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić przed odjazdem?

- Nie... a właściwie tak Felicity gdzieś wyszła, więc ciebie o to poproszę. Zostawiłam książkę, chyba w długiej galerii na ławie pod

oknem. Czy mogłabyś mi ją przynieść? To wiersze Johna Donne'a, bardzo mi się podobają.

- Zaraz przyniosę.

Długa galeria była pusta, ale w oświetleniu poprzedzającym zmierzch wyglądała dość niesamowicie. Portrety spoglądały nieruchomo ze ścian, a kroki Kate odbijały się głośnie echem na drewnianej posadzce. Książki nigdzie nie było, ale szukając jej, przypadkiem przewróciła osłonę kominka. Właśnie zamierzała ją podnieść, gdy przy końcu galerii odezwał się męski głos:

- Co tu porabiasz, Violu? Niszczysz moją własność?

W przyćmionym świetle rysowała się sylwetka Marlbrooke'a.

- Milord mnie przestraszył.

- Proszę mi wybaczyć, panno Harley. Nie chciałem tego zrobić.

- Skłonił się elegancko. - Nawet nie wiedziałem, że pani jest w Priory, dopiero przed chwilą wspomniał mi o tym Yerzons. Postanowiłem więc pani poszukać. - Ruszył w jej kierunku.

- Byłam u lady Elizabeth, a tu szukałam jej książki, wierszy Johna Donne'a, ale bez skutku. I właśnie...

- Katherine.

- Słucham, milordzie?

- Zatańczy pani ze mną? - Wyciągnął ku niej ramię.

- Teraz? Tutaj?

- Czemu nie? Przecież umie pani tańczyć pawane, miała pani świetnego nauczyciela! - Uśmiechnął się szeroko. - Obejdziemy się bez muzyki. Zapraszam.

Posłusznie ujęła go za rękę i stanęła w pozycji wyjściowej.

Było to jedno z najdziwniejszych doświadczeń w jej życiu. Znajdowali się w półmroku i absolutnej ciszy, jeśli nie liczyć odgłosu kroków i szelestu spódnic sunących po posadzce. Wszystkie figury wykonywali w rytm jakiejś wewnętrznej muzyki. Spotykali się, a potem rozchodzili, ich ręce stykały się i rozstawały, a oni przesuwali się stopniowo w głąb galerii.

Przypominało to trochę sen. Piękny sen. Całą uwagę Kate pochłaniał Marcus, a zwłaszcza srebrzysty blask jego oczu i ciepło oddechu, które czuła na policzku, kiedy schodzili się w kolejnej figurze.

Gdy nasyceni tańcem wreszcie przystanęli, uniósł do ust jej dłoń. Katherine wydawała mu się absolutnie urocza. I była jego. Co zaś najważniejsze, nawet jeśli bronila się przed tym, to jednak zaczęła mu ufać, a może nawet więcej niż ufać. Krew płynęła mu szybciej w żyłach, gdy przyglądał się szafirowym oczom i ustom, układającym się w mimowolny uśmiech. Delikatnie przyciągnął ją do siebie, spragniony pocałunku...

I wtedy zmartwiała. Poczowała znajomy chłód i wszechogarniający, przytłaczający smutek. Natychmiast po policzkach popłynęły jej łzy. Wicehrabia patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Kate, najmilsza, czym się tak nagle przejęłaś? Przecież wiesz, że za nic bym cię nie skrzywdził. - Ujął ją delikatnie za ramiona.

- Nic pan nie czuje? Jest tak bezbrzeżnie smutna, że pęka mi serce.

- Isolde?

-Tak.

Chłód istotnie zwiastował nadejście zjawy. Marcus, choć również wyczuwał dziwną aureę, przede wszystkim zaniepokoił się stanem ducha Kate.

- Nie płacz. - Wyjął chustkę i otarł jej łzy. - Już myślałem, że tak się rozżaliłaś z powodu mojej tanecznej ignorancji.

Rozbawił ją tą absurdalną uwagą.

- Uff, poszła sobie. Przykro mi, że zachowuję się tak niemądrze, ale nie mogę znieść, że Isolde jest taka strwożona i niepoczieszona. Nie rozumiem, dlaczego. I to wtedy, kiedy ja... -Urwała. -Co ty?

Palcem starł jej z policzka ostatnią łzę.

- Och, sama nie wiem. - Speszona odwróciła głowę.

- Wiesz, wiesz.

Pokręciła głową. Nie była gotowa do zwierzeń. On jednak i tak wiedział swoje. Z uśmiechem obrysował jej wargi koniuszkiem palca.

- Nie bądź taka nieszczęśliwa, moja miła. Na dzisiaj koniec wypytywania. Któregoś dnia i tak opowiesz mi ze szczegółami, co czujesz.

Cofnęła się zakłopotana.

- Muszę zrobić porządek z osłoną kominka. - Pochyliła się, by ją podnieść. - Nie wiem, czy niechcący nie uszkodziłam jej ramy.

- To bez znaczenia.

- Owszem, to ma znaczenie. Jest obita tkaniną haftowaną przez Felicity.

- Dodam też, że jest niewiarygodnie brzydka. Taki dobór kolorów na pewno hafciarce chluby nie przynosi.

Kate zachichotała. Istotnie, sztuczne liście w różnych odcieniach zieleni i brązu zupełnie nie pasowały do osłony, bogato zdobionej rzeźbionym orzechowcem w otoczeniu pilastrów i szczytów.

- Niektórym łatwo tak powiedzieć, milordzie, jednak jeśli Felicity odkryje, kto narobił szkody, znienawidzi mnie jeszcze bardziej.

- Więc powiem jej, że to ja kopnąłem osłonę w przyływie złego humoru, kiedy odmówiłaś wysłuchania mojego płomiennego wyznania miłosnego. - Zawahał się, a potem dodał z lekką zadumą: - A ona zapewne w to uwierzy. Jej oddanie lady Elizabeth nie obejmuje mojej osoby. Felicity uważa mnie za człowieka powierzchownego, lwa salonowego, któremu brak wyższych wartości moralnych, a zatem kogoś niewartego uwagi.

- Hm, może ma rację? - Kate z trudem stłumiła uśmiech.

- Czy ma pan dostatecznie mocne barki, aby udźwignąć jej niezadowolenie?

- Dla ciebie, Katherine, udźwignęłyby nawet znacznie większy ciężar. Powinnaś już to wiedzieć - stwierdził z powagą.

- Marcusie... - Stojąc twarzą w twarz, patrzyli sobie w oczy.

- Muszę iść - bąknęła w końcu Kate, ale nie uczyniła najmniejszego ruchu.

- Milordzie... - Głos w drugim końcu galerii sprawił, że czar prysł. - Może milordowi przyda się tutaj światło? Już zmierzcha. - W ich kierunku szedł Verzons ze świecznikiem w dłoni.

- Dziękuję, Verzons. - Wicehrabia z wymuszonym uśmiechem zwrócił się ku rządcy. - Róg tej osłony został przypadkiem uszkodzony, a zdaje się, że panna Felicity bardzo ją lubi.

- Rozumiem, milordzie. - Rządca wziął ramę i oparł ją o ścianę. - Dopilnuję, żeby ją stąd zabrano i naprawiono. Czy mam zająć się również naprawą boazerii?

- Boazerii?

Verzons wskazał miejsce, w którym płótno zostało rozerwane wskutek uderzenia ciężkiej osłony. O dziwo, pod spodem nie było deski.

Marlbrooke zwrócił się do Kate z nieprzeniknioną miną.

- Proszę bardzo, panno Harley. Oto i pani tajna skrytka. - Przykląkł i z dziury wydobył oblepioną pajęczynami drewnianą skrzyneczkę. Wieczko zdobił srebrny medalion z rytem, poczerniały ze starości.

- Co tam może być? - Kate nie potrafiła ukryć wielkiego podniecenia.

- Pewnie dokumenty... - powiedział Marlbrooke. - Verzons, bądź taki dobry i zanieś kasetkę do sypialni panny Harley - polecił z kamienną twarzą. - I rozpal tam ogień. Przyda się też większa liczba świec. - Gdy rządca się oddalił, dodał z kamienną twarzą: - Violu, być może pani uparte poszukiwania wreszcie się zakończyły.

Gdy po kilku godzinach Marlbrooke wszedł do sypialni, Kate siedziała przed kominkiem na podłodze w aureoli płonących świec. Kasetka była pusta, a cała jej zawartość leżała wokół. Niektóre kawałki pergaminu tworzyły stosiki, inne były porozrzucone w nieładzie. Kate podniosła głowę, uśmiechnęła się tajemniczo i wróciła do studiowania jakiegoś dokumentu. Marlbrooke nalał wina, jeden kielich postawił na podłodze koło Kate, sam zaś rozsiadł się na krześle z wysokim oparciem. Rozprostował nogi i zaczął saczyć trunka, przyglądając się narzeczonej.

Podobało mu się jej skupienie. Nie zwracając na niego uwagi, czytała, przygryzając wargę. Kręjące się włosy zaczynały już zasłaniać szyję. Boże, ależ kochał tę kobietę!

Po pewnym czasie Kate ciężko westchnęła.

- Nie ma testamentu? - spytał.

- Nie. - Spojrzała mu prosto w oczy, wyraźnie poruszona. - Są za to listy. Niektóre z nich powinieneś przeczytać, bo wyjaśniają tak wiele.

- Jeśli sobie tego życzysz. - Wyciągnął rękę. - Tylko po co? To na pewno są rodzinne pamiątki Harleyów.

- Tak, ale dotyczą też twojej rodziny i zawierają ważne informacje. Są tu informacje, których nie zna nawet ciotka Gilliver. - Wzięła do ręki stosik poplamionych pergaminów i zaczęła je przeglądać. - Przeczytaj ten list.

Marcus ustawił pergamin tak, by padało na niego światło, jako że litery były już mocno wyblakłe.

Do Milorda Marlbrooke'a!

Po naszym spotkaniu w minionym tygodniu rozmówiłem się z żoną. Doszliśmy do wniosku, że małżeństwo mojej córki Isolde z dziedzicem Johnem Oxendenem dobrze posłuży obu rodzinom. Wspólne zarządzanie majątkami powinno nam przynieść dostatek i bezpieczeństwo. Proponuję, abyśmy spotkali się w następnym tygodniu dla omówienia warunków umowy i przygotowania intercyzy.

Wiem, że taki rozwój wypadków będzie się podobać Waszym Miłościom.

Sługa uniżony Francis Harley

- Rozumiem. - Marlbrooke zmarszczył brwi. - Ot, i początek całej tragedii, jak się domyślam... Kiedy to napisano? W ubiegłym stuleciu?

- Tak. Na niektórych listach są daty... o, na przykład tutaj. 1563 rok. A teraz proszę przeczytać ten.

Wziął od niej następny arkusik.

Do Milorda Marlbrooke'a!

Wypełnienie podpisanych przez nas umów napotyka na poważne trudności. Córka moja odmówiła poślubienia syna Waszej Miłości, mimo że zwrócił naszą uwagę jej stan błogosławiony, w jakim znalazła się za sprawą Waszego syna. Utrzymuje ona, że została przez niego przymuszona i znienawidziła go za to. Próbowałem wyłożyć jej korzyści, jakie przyniesie zamierzone małżeństwo, ale córka trwa w uporze. Moim zdaniem, najlepiej dla wszystkich byłoby jednak, gdyby małżeństwo doszło do skutku. W końcu, naturalnie, Isolde okaże

posłuszeństwo woli ojca. Powinniśmy się więc cieszyć, że dziedzic został już poczęty i będzie miał kto zabezpieczyć przyszłość majątku.

Sługa uniżony Francis Harley

Następny list był krótki i szokująco lapidarny, zważywszy na treść, która w nim się kryła.

Do Szanownego Pana Francisa Harleya!

Zgadzam się, że sytuacja przybrała niefortunny obrót, na szczęście jednak nie jest to nieodwracalne. Mój syn utrzymuje, że córka Waszmości była chętna. I ja uważam, że ślub powinien się odbyć w najbliższym możliwym terminie z wielkim pożytkiem dla obu naszych rodzin.

Pozostaję z szacunkiem Edward Oxenden

-I jeszcze ten. - Kate wzięła ostatni pergamin ze stosiku. - Tu mamy wyjaśnienie tragicznego końca, zwieńczenie krótkiego żywota biednej Isolde.

Do Milorda Marlbrooke'a!

Z wielkim żalem i smutkiem jestem zmuszony poinformować o śmierci mojej córki Isolde. Okoliczności tego zdarzenia są niezwykle delikatne, ufam więc, że mogę polegać na dyskrecji Waszmości. Ostatniej nocy córka moja spadła z dachu naszego domu i została znaleziona na kamiennym tarasie. Przypuszczam, że wskutek odmiennego stanu pomieszało jej się w głowie. Innego wytłumaczenia nie widzę. Liczę na pomoc Waszmości w zapobieżeniu skandalowi, co jest w interesie obu naszych rodzin.

Sługa uniżony Francis Harley

- Biedaczka - szepnął Marcus. - Wiemy więc, dlaczego jej dusza nie może zaznać pokoju.

- Ma złamane serce, które trzeba jakoś uleczyć. Tylko czy to możliwe? - ze smutkiem stwierdziła Kate. - Czy wiesz, że pochowano ją na polanie w zagajniku na skraju majątku? Widziałam nagrobek. Wygląda na to, że Isolde zawsze sprawiała kłopoty rodzinie, ten list zaś wyjaśnia przynajmniej w części powód jej tragicznej śmierci. - Zawahała się, widząc posepną minę Marlbrooke'a, ale jednak zebrała się na odwagę i spytała: - O czym myślisz?

Jeszcze raz zerknął na list.

- O tym, że omal nie wziąłem cię przemocą, wbrew twojej woli. Nigdy sobie tego nie wybaczę, zwłaszcza że przeczytałem, co się stało z Isolde.

- Przecież tego nie zrobiłeś, a poza tym ja jej nie przypominam - stwierdziła stanowczo Kate. - Nienawidziła tamtego Oxendena, natomiast ja...

-Tak?

Błysek w jej oczach był bardziej wymowny od tysiąca słów. Uradował go niezmiernie.

- Och, nieważne. Przeczytaj do końca listy, to może ci wyjaśnię. Osiągnęła pożądaną efekt. Marlbrooke wyraźnie się rozchmurzył i bez oporów wziął do ręki następny pergamin.

Moja Droga Żono!

Tak jak wcześniej uzgodniliśmy, załatwiłem, że Jego Ekscelencja podejmie starania, aby ograniczyć obecność Isolde i w dostępny sobie

sposób przywiązać do miejsca jej udręczonego ducha. Sługa Boży, nasz biskup, jest jedyną osobą władną tego dokonać i zapewnić pokój naszej nieszczęsnej córce i całej naszej rodzinie. Moja propozycja, aby powtórzyć pogrzeb w poświęconej ziemi, nie znalazła wsparcia, musimy więc złożyć sprawy w ręce Jego Ekscelencji, przyjmując jego sugestię odprawienia stosownego obrzędu. Ufam, że wiadomości te złagodzą twoje niepokoje i przywrócą jakże potrzebny pokój Twoim myślom.

Twój kochający mąż Francis Harley

- To z kolei wyjaśnia, dlaczego przestała się ukazywać po 1563 roku - powiedział Marcus. - Nie wiadomo jednak, dlaczego powróciła.

- Ja wiem, dlaczego tak się stało. - Chowając listy do kasetki, powtórzyła swą rozmowę z lady Elizabeth.

Marcus słuchał ze zmarszczonymi brwiami.

- Naprawdę sądzisz, że w tym dzbanku znajdował się duch Isolde?

- Tak To pasuje do ludowych podań i plotek, które słyszała ciotka Gilliver.

- Czyli uwolniła ją moja matka... Co za ironia losu! Kate skinęła głową i przesunęła dłonią po zatartym herbie.

- Chciałabym pokazać te listy ciotce Gilliver. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. To są twoje pamiątki rodzinne. Ponieważ zaś jest mało prawdopodobne, aby pani Adams kiedykolwiek

przestąpiła próg tego domu, no, chyba że po moim trupie, postaram się, aby te dokumenty dostarczono do Widemarsh.

- Dziękuję. - Zadumała się na chwilę. - Jakie to wszystko dziwne. Historia się powtarza. Wiesz, małżeństwo między Harleyami a Oxendenami.

- Mam nadzieję, że się jednak nie powtórzy! - wykrzyknął z udawaną powagą. - Koniecznie mnie powiadom, kiedy będziesz szykować się do skoku z dachu. Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby cię powstrzymać, obiecuję.

- Nie żartuj z biednej Isolde. Ale na pewno nie pójde jej śladem.

- Nie ma powodu, przecież nie przymuszałem ciebie.

- Tylko napiłeś winem, żebym nie była w pełni świadoma swoich czynów - stwierdziła z błyskiem przekory w oczach.

- Założyłbym się, że nie wzbudziło to w tobie szczególnej niechęci.

- Cóż, nie wzbudziło. Przytulił ją do siebie.

- Chodź do mnie. - Ujął jej twarz w dłonie i zaczął muskać ją wargami.

- Muszę jechać. Jest już późno.

- Za późno - powiedział cicho, wyczuwając wargami puls na jej szyi. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. - Myślę, że najwyższa pora, abyśmy przestali twierdzić, że nasze małżeństwo ma charakter czysto polityczny.

-Co chcesz przez to powiedzieć? - Kate poczuła miły dreszcz, wywołany jego dotykiem.

- Jeszcze nie rozumiesz? Kocham cię, moja najmilsza Kate, i nie mam już siły wmawiać sobie, że jesteś mi obojętna.

- Ja... - Pokręciła głową. - Ja nie...

- Wiem, że ty nie. - Uśmiechnął się smutno. - Ale jestem cierpliwy. Przynajmniej powiedziałaś mi, że mnie nie nienawidzisz.

- To prawda. - Jego dotyk już jej nie onieśmielał. Szybko pozbyli się odzienia, potem zaś Kate położyła

Marlbrooke'owi głowę na ramieniu, a on głaskał ją i całował jej skroń w miejscu, gdzie gołym okiem widać było pulsujące tętno.

Obsypał ją pieścizkami, a jego uwodzicielskie dłonie owładnęły nią bez reszty. Hołubił każdy skrawek jej ciała, upajał się jej westchnieniami i tym, jak odpowiada na jego dotyk. Powolotku rozbudzał jej pragnienie, a gdy wreszcie wziął ją, okrzykiem wyraziła zdumienie, że tyle żaru i tyle rozkoszy może dać ta zadziwiająca jedność.

- Nie broń się, chodź ze mną - szepnął. - Nie masz już wyboru. Należysz do mnie. - Wspiął się po kolejnych stopniach prowadzących do spełnienia, aż ciało jej zaczęły przeszywać spazmy rozkoszy. Krzyknęła z całych sił i wcisnęła twarz w jego tors, potem, całkiem bezsilna, opadła na poduszki, a on okrywał pocałunkami jej twarz, urzeczony zaufaniem, jakie mu okazała.

- Marcusie?

- Hm? - mruknął, zajęty poznawaniem smaku wdzięcznej linii na jej szyi.

- To było niesamowite.

- Hm - mruknął jeszcze raz na znak, że się z nią zgadza. - Ale to przecież nie koniec, moja miła.

Pokazał jej śmielsze pieszczoty, których uczyła się z ufną ciekawością i ekscytacją. Na koniec znów w nią wszedł.

- Popatrz na mnie, Kate - szepnął zachwycony. - Nigdy cię nie skrzywdzę i nigdy nie porzucę, nie powtórzysz losu Isolde. Jesteś moja i nigdy nie pozwolę ci odejść.

Patrzyła mu w oczy i wiedziała, że każdy ruch jego ciała to deklaracja miłości i najświętsze, ostateczne zobowiązanie. Mocno przytulona, współbrzmiała z nim w każdym geście, w harmonii z jego pragnieniami aż do ostatniego akordu, podkreślonego krzykiem, zduszonym pocałunkami. Marlbrooke pomyślał, że jeszcze nigdy nie zaznał tak intensywnego szczęścia.

A potem po prostu przestał myśleć.

Kate zwinęła się obok niego w kłębek jak kotka.

- Marcusie... - szepnęła, zapadając w sen. Marlbrooke nie spał. Przyglądał się cieniom na boazerii,

kołyszącym się w świetle świec i ognia na kominku. Porażony ogromem swojej miłości, nie mógł uwierzyć, że Kate nie odwzajemnia jego uczuć. A jednak nigdy nie wyznała, że go kocha. Czyżby darząc ją bezwarunkowym uczuciem, skazywał się na życie w ciągłym zawodzie i lęku? Nie. Nie mógł w to uwierzyć. Ze zbyt wielką żarliwością odpowiadała na jego pieszczoty. Przyciągnął bliżej jej śpiące ciało, ogarnięty potrzebą kochania i chronienia tej kruchej istoty.

- Najdroższa Kate. - Ułożył sobie jej głowę na ramieniu. -
Historia się nie powtórzy. Oxenden ożeni się z panną Harley.

RS

Rozdział piętnasty

- Przyszedł dżentelmen, który chciałby się spotkać z mi-lady i porozmawiać z panną Harley - zaanonsował Verzons z ukłonem. - Pan Richard Hotham zapytuje, czy może złożyć wyrazy uszanowania.

Lady Elizabeth dostrzegła w oczach Kate zaniepokojenie, sama jednak cieszyła się, że pozna kogoś nowego.

- Naturalnie, Verzons, niech wejdzie. Przynieś nam wina. - Uśmiechnęła się do Kate, która już otrząsnęła się z zaskoczenia. - Coś chyba słyszałam od ciebie o Richardzie Hothamie. Czy go polubię?

- Pewnie tak. Znam go od zawsze. Jego rodzice mieszkali blisko nas, w Staunton Court, i byli mile widziani w Downham Hall. Dlatego często przebywałam z Richardem i ciotką Lucy. Naturalnie podziwiałam starszego kuzyna i byłam w siódmym niebie, gdy pozwalano mi jechać z nim na konną przejażdżkę. - Kate uśmiechnęła się do tych niby niedawnych, a jednak odległych już wspomnień. W tej chwili Verzons wprowadził gościa.

- Witam, milady. Dzień dobry, Katherine. - Skłonił się z niewymuszonym wdziękiem. - Cieszę się, że milady zechciała mnie przyjąć.

- Zawsze lubimy gości, bo przynoszą nam nowiny z wielkiego świata. Serdecznie witamy, panie Hotham.

- Pani Gilliver Adams prosiła, abym dowiedział się o zdrowie Kate i towarzyszył jej z powrotem do Widemarsh, jeśli zamierza dzisiaj wrócić.

- Naturalnie. - Elizabeth ciepło się do niego uśmiechnęła i wskazała mu krzesło.

Richard usiadł i przyjął kieliszek wina od Verzonsa, po czym rozpoczął swobodną konwersację z lady Elizabeth. Kate przyglądała się temu w zadumie. Owszem, lubiła Richarda, ale jak kiedyś mogła twierdzić, że go kocha? Przecież wówczas nie miała pojęcia o miłości.

-I co o tym sądzisz, droga Kate?

Nagle wróciła do rzeczywistości i zmieszana stwierdziła, że nie wie, o czym mowa.

- Wybacz mi, proszę, ale zamyśliłam się...

- Wspominaliśmy dawne czasy - wyratowała ją z opresji lady Elizabeth. - Pan Hotham pamięta Priory z lat, kiedy przyjeżdżał tu jeszcze jako chłopiec. Czy tak?

- Tak, naturalnie. - Richard podjął przerwany wątek, ale nie spuszczał oka z Kate. - Trwało oblężenie, a ja miałem wówczas sześć lat. Moja matka, siostra sir Thomasa, często tu ze mną przyjeżdżała, zwłaszcza odkąd ojciec poszedł na wojnę. Kate jeszcze nie było wtedy na świecie.

- Czyli pańska rodzina jest przedstawiona na wiszących tu portretach?

- Matka na pewno, przynajmniej jako dziecko.

- Kate, moja miła, pokaż Richardowi portrety. Na pewno go zainteresuje, kogo przedstawiają, wszak to wasi wspólni krewni.

Kate z uśmiechem wstała, by zadośćuczynić prośbie. Lady Elizabeth popatrzyła za nimi z wyrazem zadumy na twarzy.

Zatrzymali się przed rodzinnym portretem Harleyów, na którym sir Thomas, wtedy mały chłopiec, stał obok swojej siostry Lucy. Kate wyczuwała jednak, że kuzyna mało interesują jej objaśnienia.

- Kate, czy zamierzasz dzisiaj wrócić do Widemarsh? -przerwał wreszcie jej wywód.

- Jeszcze nie wiem. - Coraz częściej czuła się w jego towarzystwie niezręcznie.

- Chyba musimy porozmawiać. - Richard wyglądał na przejętego. - Popatrz na mnie, Kate. Muszę wiedzieć...

Nie miała jednak ochoty na poważną dyskusję, więc gorączkowo szukała pretekstu do zmiany tematu. I los się do niej uśmiechnął, bo na ławie pod poduszką zauważyła grzbiet książki.

- Ojej, popatrz. Tam leżą zagubione wiersze Donne'a, których tak brakuje lady Elizabeth. Musimy zaraz je zanieść...

W tej chwili do galerii wszedł Verzons.

- Panno Harley. - Zmierzył spojrzeniem Richarda, ale nie wykazał szczególnego zainteresowania jego osobą. - Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, może jednak chciałaby pani wiedzieć, że poleciłem już przewieźć kasetkę do Widemarsh Manor, zgodnie z pani życzeniem. Powinna znaleźć się w rękach pani Gilliver Adams dziś po południu.

- Dziękuję, Verzons. To bardzo uprzejmie z twojej strony.

- Kasetka? - Richard nie potrafił ukryć podekscytowania.

- Tak. Wczoraj znaleźliśmy skrytkę w ścianie, a w niej kasetkę.
- Zaskoczyło ją, że nie ma ochoty ujawnić niczego więcej.

- Musiała zawierać coś interesującego, skoro zdecydowałaś się przesłać ją do Widemarsh.

- Pamiątki rodzinne Harleyów. Listy i inne dokumenty, w większości stare i trudne do odcyfrowania. - Kate wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że znalezisko nie ma większego znaczenia. - Przesłałam je ciotce Gilliver. Rozmawiałyśmy o tych ludziach, których dotyczą.

- Mógłbym wziąć dla niej te listy.

- Dziękuję, Richardzie, ale nie ma potrzeby. Jak słyszałeś, Verzons już się nimi zajął.

Kate wzięła tomik poezji i ruszyła do pokoju milady, Richard postąpił za nią.

-I cóż, panie Hotham? Czy udało się panu znaleźć matkę na portretach? - przywitała ich tym pytaniem lady Elizabeth.

- Tak. To taka mała dziewczynka z ziębą na przedramieniu i chochlikami w oczach. Ma mnóstwo uroku, chociaż brat przygląda jej się podejrzliwie. Naturalnie mógł być to jedynie koncept malarza. - Roześmiał się beztrąsko, gładko wracając do wcześniejszej roli.

- Może zostanie pan u nas na obiedzie? Kate na pewno ucieszy się pańskim towarzystwem, może też oprowadzić pana po posiadłości. Planujemy pewne zmiany we wschodniej części ogrodu i chętnie poznamy pana opinię w tej sprawie.

- Bardzo dziękuję milady za miłe zaproszenie. - Richard skłonił się dwornie. - Niestety, nie mogę zajmować paniom więcej czasu. Mam pewne obowiązki w okolicy, a dni są na razie krótkie. Jeśli jednak będzie mi wolno, chętnie złożę wizytę kiedy indziej. - Opuścił galerię w wyraźnym pośpiechu.

- Ciekawe, jakie on ma tu obowiązki. - Zaskoczona Kate zmarszczyła czoło.

- Czyżby coś było nie tak? - spytała milady, zdziwiona jej poruszeniem.

- Och, nic takiego się nie stało, lady Elizabeth. - Uśmiechnęła się i podała jej odnalezioną książkę. - Po prostu wydawało mi się, że Richard zamierza zostać dłużej. Może jednak się myliłam.

Marlbrooke'a spotkała w sieni. Skłonił się przed nią dworsko i zaczął tworzyć na jej dłoni skomplikowany wzór z pocałunków, miała jednak nieodparte wrażenie, że myślami znajduje się zupełnie gdzie indziej.

- Co się stało, milordzie? Złe nowiny? Musiał docenić jej spostrzegawczość.

- Nie jestem pewien, ale mam niedobre przeczucia. Stajenny właśnie wrócił na kompletnie zajechanym koniu. Tłumaczył się, że w nocy musiał doręczyć pilny list.

- Komu?

- Panu Simonowi Hothamowi w Staunton Court.

- Simonowi? - Niepokój Marcusa udzielił się również Kate. -

Kto wysłał ten list?

- Chłopak nie wiedział. Jenks też nie, sądził, że to było moje polecenie. Po prostu wypełnił instrukcję dołączoną do listu, bory ktoś zostawił w stajni. Mam jednak swoje podejrzenia... Co ci jest, Kate? Wiesz coś o tym?

- Nie... Sądzisz, że mógł to zrobić Verzons?

- Dlaczego pytasz?

- Ponieważ oprócz nas tylko on wiedział o kasetce z listami.

Wiem też, że w głębi serca wciąż dochowuje lojalności Harleyom.

Mógł uznać za swój obowiązek przesłanie informacji do wuja

Simona, jeśli podejrzewał, że został odnaleziony testament.

Marlbrooke ujął ją za rękę.

- Myślimy więc podobnie.

- Wypytasz Verzonsa?

- Naturalnie. - Rzucił kapelusz i rękawice na stół. - Nie ma miejsca w moim domu dla rządcy, który uznaje dwóch panów.

Godziłem się z niejednym, rozumiem bowiem, jak skomplikowało się życie po wojnie i interregnum, ale nie mogę tolerować ostentacyjnego lekceważenia moich interesów... a być może również twoich.

- Czy powie prawdę?

- Nie wiem. - Zaczął nerwowo przechadzać się po sieni. - W każdym razie list został wysłany. Musimy poczekać, aż poznamy jego treść.

- Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. - Kate nie kryła niepokoju. - Był tu niedawno Richard. Odjechał w dużym pośpiechu.

- Z jakiego powodu?

- Verzons poinformował mnie, że wysłał kasetkę z listami do Widemarsh.

- Rozumiem, że zrobił to w obecności Richarda. Czy powiedziałaś kuzynowi, co znaleźliśmy w kasetce?

- Wspomniałam o listach.

Marlbrooke spojrzał na nią badawczo.

-Kate...

- Co o tym sądzisz? - Jej niepokój rósł z każdą chwilą.

- Kate, kto oprócz ciebie byłby zainteresowany znalezieniem testamentu twojego ojca? Kto mógłby skorzystać na przekonaniu sądu, że Priory należy zwrócić Harleyom?

- Nie! Tak nie wolno! - Cofnęła się gwałtownie.

- Kate, pomyśl tylko! Czy kiedykolwiek padła propozycja małżeństwa między tobą a Richardem? Czy mieliście się ku sobie?

- Może nie aż tak, ale...

- Musisz mi powiedzieć. W tym może kryć się niebezpieczeństwo.

- Chodzi o wuja. Nie sir Henry'ego, bo on zawsze uważał sojusz z Hothamami za zbyt niebezpieczny politycznie, natomiast nasz związek popierał Simon Hotham. Próbował nawet wpłynąć na sir Henry'ego. Chciał zjednoczyć dwie gałęzie rodziny i zwiększyć siłę roszczeń Richarda, który ma prawa do Priory dzięki koligacjom matki.

- Czyli Hothamowie zawsze byli zainteresowani Priory?

- Tak .Poza tym ja... - Urwała zakłopotana.

- Powiedz mi o tym, Kate...

W jego głosie było tyle zrozumienia i współczucia, że zdecydowała się na wyznanie.

- Kiedyś zdawało mi się, że kocham Richarda. Zanim tu przyjechałam, sądziłam...

- A kochasz go? - Pytanie to wymagało od niego niemałej odwagi.

- Nie. Owszem, lubiłam go, wiedziałam też, że darzy mnie uczuciem. Nie kochałam go jednak. W ogóle nie wiedziałam, czym jest miłość, dopóki...

- Dopóki? Popatrz na mnie, Kate. Dopóki co...

- Dopóki nie poznałam ciebie, milordzie.

A więc jednak go pokochała!

- Kate, pocałowałbym cię, i to nie raz, za to wyznanie i na pewno to zrobię, teraz jednak musimy się śpieszyć. Dlaczego, twoim zdaniem, Richard tak nagle wyjechał?

Zmarszczyła czoło.

- Wiem, co sugerujesz, ale nie mogę w to uwierzyć. Z pewnością...

- Pomyśl, Kate. - Zacisnął dłoń na jej przedramieniu. - Dokąd mu się tak śpieszyło? Co mogło tak interesować Simona? Jeśli testament istnieje, to Hothamowie będą dążyć do poznania jego treści. Czy zastanawiałaś się nad tym, że twój ojciec w trudnym czasie wojny mógł zdecydować się na przekazanie własności mężczyźnie, a konkretnie Simonowi Hothamowi?

-Sądzę, że mógł... - Gwałtownie pobladła. - Muszę natychmiast jechać do Widemarsh i zobaczyć się z ciotką Gilli-ver. - Położyła rękę na dłoni Marcusa dla zmanifestowania łączącej ich więzi. - Mam jak najgorsze przeczucia.

- Pojadę z tobą. Idź po pelerynę.

Wypoczęte konie szybko pokonywały przestrzeń. Niestety choć jechali obok siebie, tym razem nie towarzyszył im radosny nastrój.

Gdy dotarli do Widemarsh, Kate chciała od razu wejść do domu, ale Marcus do tego nie dopuścił.

- Poczekaj, może lepiej ja wejdę pierwszy.

- Czego się obawiasz?

Tylko wzruszył ramionami, nie chciał bowiem głośno wyrażać swoich najgorszych przeczuć. W domu panował mrok nie paliły się świece, z dworu nie dochodziło szczekanie psów. Nawet Mason nie wyłoniła się na ich powitanie. Marlbrooke pchnął drzwi do salonu i znieruchomiał.

Przy stole stała Mason ze świecą w dłoni. Było to jedyne źródło światła w pokoju, ognia na kominku nikt nie rozpalił. Starucha nie wydała z siebie żadnego odgłosu, ale cała się trzęsła, a po jej pokrytych zmarszczkami policzkach płynęły łzy. Wosk ze świecy skapywał jej na rękę i ubranie.

- Mason? - zawołała Kate, która stała tuż za plecami Marlbrooke'a. Kobieta nie odpowiedziała. Teraz dopiero uwagę Kate przyciągnął ciemny kształt na podłodze. - Ciociu Gilliver?

Ciotka leżała twarzą do ziemi. Wokół niej wałały się stare listy i dokumenty, a na stole stała znajoma drewniana kasetka, ozdobiona srebrnym medalionem.

Gilliver Adams otaczała ciemna kałuża krzepnącej krwi.

Kate opadła na kolana, nie wierząc własnym oczom.

- Ciociu Gilliver - szepnęła.

Gdy dotknęła policzka staruszki, wstrząsnął nią jego lodowy chłód i niebieskawy odcień. Marlbrooke, widząc, co się delikatnie, lecz stanowczo odsunął Kate na bok. Ostrożnie podniósł ciało. Rana była teraz wyraźnie widoczna. Ktoś uderzył staruszkę z całej siły w bok głowy i roztrzaskał jej czaszkę, w jednej chwili pozbawiając ją życia. Malbrook odłożył zwłoki na podłogę.

- Przykro mi, Kate. - Pomógł jej wstać i wsparł ramieniem. - Nic tu nie pomożemy.

- Wiem. - Kate wpatrywała się w twarz, jeszcze niedawno wyrazistą i pełną życia. Teraz nieruchoma maska wyrażała jedynie przerażenie i ból.

- Popatrz na nią - szepnęła do Marcusa. - To nie był rabunek, prawda?

- Nie, nie był... - Gilliver nadal miała na sobie cały rodzinny skarbiec.

- Któż mógł dopuścić się takiej zbrodni?

W swoich spojrzeniach wyczytali odpowiedź na to pytanie, Marlbrooke posadził Kate na krześle i zwrócił się ku Mason, która wciąż stała nieruchoma i milcząca. Gdy jednak zbliżył się do

niej o krok, wzdrygnęła się i jak przerażone zwierzę uciekła za stół, szczerząc zęby. Ani na chwilę nie odrywała jednak wzroku od swojej pani.

Kate wstała i wyciągnęła ramię w kierunku Mason. Ta znów się wzdrygnęła, pozwoliła jednak wziąć się za rękę. Kate odniosła wrażenie, że biedaczka jest prawie tak samo zimna jak martwe ciało ciotki.

Marlbrooke dobył szpady i ruszył na obchód domu.

- Mason! - Ciche zawołanie nie wywołało żadnej reakcji, ale Kate nie rezygnowała. - Widziałaś, kto to zrobił?

Mason nadal stała tak, jakby nie usłyszała ani słowa, a potem w jej gardle zaczął rosnać dźwięk. Przenikliwe, nieludzkie wycie.

- Widziałaś to? Czy widziałaś, kto uderzył ciotkę? Byłaś tu, kiedy to się stało?

Nie dostała żadnej odpowiedzi, za to staruszka wciąż była złowieszczo. Kate zerknęła bezradnie na Marlbrooke'a, który właśnie wrócił z obchodu, po czym wzięła chustę z oparcia krzesła i przykryła nią twarz zmarłej. Gilliver nie miała lekkiej śmierci.

- Co robimy?

Za oknem rozległy się turkot kół i tętent koni, zwiastujące nadjeżdżający powóz.

- Kto to?

- Założę się, że oboje znamy odpowiedź - stwierdził chłodno Marcus i poszedł otworzyć drzwi.

Po chwili do salonu wszedł Marlbrooke z Richardem, za nimi zaś kuśtykał wsparty na dwóch laskach Simon Hotham. Dysząc ciężko, opadł na krzesło.

- Nie spodziewałam się zobaczyć cię tutaj, wuju - odezwała się Kate. Nie przypuszczała, że jej kaleki kuzyn jest zdolny do odbycia podróży w tak krótkim czasie.

- W to nie wątpię! Wygląda jednak na to, że przyjechałem w stosownej chwili. Ufam, że masz się dobrze, Katherine, mimo twojej nierozważnej ucieczki z Downham Hall. Cóż ci właściwie wpadło do głowy?! A pan jest wicehrabią Marlbrookiem, tak rozumiem.

- Witam, panie Hotham. - Marcus skwitował jego obecność zdawkowym skinieniem głowy, zarazem jednak przyjrzał się mu z żywym zainteresowaniem. Kiedyś świetny żołnierz był wraz cieniem człowieka, który zasłynął jako bojownik purytanizmu i zwolennik parlamentu. Z jego budzącej grozę postury nie pozostało nic, tylko w zniszczonej twarzy lśniły bystre i przenikliwe oczy.

- Co tu się stało? - spytał Simon.

- Jak pan widzi, napadnięto panią Gilliver Adams.

- Zbójcy? Nie powinna była mieszkać sama na uboczu, ale nigdy nie chciała słuchać rozsądnych rad. Jak wnoszę, nie żyje? - Omiótł niechętnym wzrokiem przykryte chustą zwłoki.

- Owszem. Jednak biżuteria pozostała nietknięta, więc nie byli to rabusie. Czy mogę zapytać o powód pańskiej wizyty w Widemarsh Manor, panie Hotham?

- Wezwała mnie Gilliver. - Niezgrabnie wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że chodziło o jakieś sprawy rodzinne. Nie wyraziła jasno swojej intencji.

- Ciotka Gilliver cię zaprosiła, wuju? - Zdziwiona Kate spojrzała na niego. - To musiała być poważna sprawa. Wiem, że podróżujesz rzadko i tylko w wielkiej potrzebie.

- To prawda. - Być może wytracony z równowagi badawczym spojrzeniem kuzynki, z głośnym stukiem upuścił laski - Chętnie wypiłbym trochę wina, Katherine.

Richard od czasu wejścia do salonu nie odezwał się ani słowem. Stał za krzesłem ojca i przez cały czas przenosił wzrok z Kate na Marlbrooke'a i z powrotem, mając na wargach blady uśmiech.

- Czy widziałeś się z ciotką Gilliver po odjeździe z Priory, Richardzie?

- Teraz mogę tylko żałować, że nie. - Jego smutek zdawał się prawdziwy, dlatego Kate zważyła w zasadność swoich podejrzeń. - Oczekiwałem jednak przybycia ojca, więc wyjechałem mu na spotkanie.

- Nie wspomniałeś mi, że spodziewasz się wizyty wuja Simona.

- Nie było ku temu szczególnego powodu - odrzekł spokojnie Richard. - Czy nikt nie widział zabójcy Gilliver?

- Była tu Mason, ale jeśli nawet cokolwiek widziała, to o tym nie mówi.

- Pewnie więc nigdy się nie dowiem, czego chciała ode mnie Gilliver. - Simon wstał z wysiłkiem. - Może powinienem przejrzeć jej

papiery i poszukać jakiejś wskazówki. Mason nie wydaje się szczególnie pomocna, chyba że zmieniła się od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnio. - Pochylił się i zdołał podnieść pergamin, leżący u jego stóp, a potem zerknął na Kate. - Zostanę tu dzisiaj na noc, Kate. Musimy porozmawiać.

Skinęła głową. Spodziewała się bardzo przykrej wymiany zdań z wujem.

- Kate wróci ze mną do Priory - odezwał się cicho Marlbrooke. - Pan może tu naturalnie zostać, ale dla damy to nie jest odpowiednie miejsce.

- Nie ma potrzeby jej stąd zabierać, milordzie. Pod moją opieką włos jej z głowy nie spadnie.

- Kate jedzie ze mną. - Nie miał zamiaru pytać Kate o zdanie ani Simona o przyzwolenie. - Przyślę tu moich ludzi, żeby zajęli się ciałem pani Adams i przygotowali pogrzeb. - Szybko pozbierał pergaminy z podłogi i podał je Kate. Wprawdzie były to tylko listy zawierające historię nieszczęsnej Isolde, ale instynkt podpowiadał mu, że nawet one nie powinny pozostać w posiadaniu Simona Hothama.

- Dokumenty będą tu potrzebne - sprzeciwił się Simon. - Mogą pomóc w odkryciu powodu, dla którego Gilliver mnie wezwała. Daj je Richardowi, jeśli łaska, Katherine.

- Nie. - Pokręciła głową, mocno ściskając pergaminy w dłoni. - One nie mają związku z ciotką.

- Mimo wszystko uważam...

- Te dokumenty należą do panny Harley. Na pewno nie mają żadnego związku z pańskimi sprawami, ponieważ pani Gilliver aż do dzisiejszego popołudnia nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia. - Marlbrooke i tym razem zachował całkowity spokój, widać było jednak jego determinację, toteż po krótkim wahaniu Simon Hotham skinał głową.

- Mason, pojedziesz ze mną? - Jeśli pominąć chwilę prze-
rażliwego wycia, Mason cały czas milczała. Stała w cieniu, rzucanym przez obmurowanie kominka, i nieprzerwanie wpatrywała się w ciało swojej pani. Kate ostrożnie dotknęła jej ramienia. - Będzie dla ciebie lepiej, jeśli pojedziesz ze mną do Priory. Ciotce już i tak w niczym nie pomożesz.

Mason cofnęła się i wbiła wzrok w Kate. Nie powiedziała jednak ani słowa, tylko niezgrabnie wybiegła z salonu.

Wróciła niemal natychmiast, niosąc zawiniątko. Z udreńczoną miną postawiła je u stóp Kate, potem rozwiązała płótno, odsłaniając rzeźbione pudełko z cedrowego drewna, przypominające szkatułkę na biżuterię. Podała je Kate i znów uciekła w mroczne rejony domu.

Kate nieznacznie dygnęła przed wujem i kuzynem, a potem, trzymając pudełko oraz listy, pośpieszyła za Marcusem przed dom.

Było już późno, gdy dotarli do Priory. W sieni czekał na nich Verzons. Wziął od nich okrycia, a od Kate również jej bagaże. Zachowywał się tak samo jak zawsze.

- Lady Elizabeth udała się na spoczynek, milordzie. Czy podać wino? Każę zanieść je do biblioteki, jeśli milord sobie życzy.

- Dziękuję, Verzons. Aha, zanim odejdiesz... Czy wiadomo ci cokolwiek o liście, wysłanym stąd wczoraj w nocy?

- O liście?

- Do pana Simona Hothama w Staunton Court.

- Niczego nie wiem o takim liście, milordzie, ale popytam. -

Takiej odpowiedzi należało oczekiwać od wiernego i lojalnego sługi.

- Gdybyś dowiedział się czegoś, będę wdzięczny za informację.

To dosyć pilne.

- Milord może na mnie liczyć.

- Skutkiem tego listu pan Hotham z synem przebywają obecnie w Widemarsh Manor.

Verzons zamrugnął, być może ze zdziwienia, ale opanował się niemal natychmiast. Skłonił głowę.

- Są krewnymi pani Adams.

Kate stanęła przy Marcusie i położyła mu rękę na ramieniu w geście jedności.

- Nie, Verzons - powiedziała dobitnie. - Nie są już krewnymi.

Pani Adams nie żyje. Zamordowano ją w nocy.

Rządca, i tak blady, poblądł jeszcze bardziej. Spojrzał na Kate, a potem na swego chlebowca.

- Mam nadzieję, że państwo przyjmą moje kondolencje. Czy sprawca został ujęty?

- Nie, ale przed Bogiem nie ujdzie kary - oznajmił wicehrabia.

- Bez wątpienia odpowie przed Bogiem za ten najbardziej grzeszny z czynów. - Verzons skłonił się i odszedł.

- Połóż się, Kate. Niczego więcej już dzisiaj nie zrobisz, natomiast ja dopilnuję, aby zajęto się ciałem. Reszta może poczekać do jutra. - Objął ją i musnął wargami jej włosy. - Musisz być bardzo zmęczona.

- Troszeczkę. - Przy schodach zatrzymała się i ponownie odwróciła do Marcusa. - Wreszcie zrozumiałam, jak kłamliwe były słowa Richarda. Twierdził, że mnie kocha, a zależało mu tylko na majątku. Naiwna byłam, czyż nie?

Nie czekając na odpowiedź, poszła na górę.

RS

Rozdział szesnasty

- Skąd ona to wszystko wzięła? - Kate, w obecności lady Elizabeth, nie kryła zdumienia tym, co znalazła w cedrowej szkatułce. Siedziały w długiej galerii, a Felicity wygrywała im jakąś smętną melodię na szpince. Tymczasem przed Kate leżała kolekcja najprawdziwszych skarbów. - Proszę tylko spojrzeć na to. - Wzięła do ręki złoty medalion, inkrustowany perłami i brylantami. Wewnątrz znajdowały się dwie miniatury, przedstawiające kobietę i mężczyznę w elżbietańskich stronach. Wspaniała, choć niezbyt modna pamiątka.

- Czy to spuścizna rodowa Harleyów? - Lady Elizabeth zważyła w dłoni sznur pereł, a potem obejrzała go pod światło.

- Nie wiem. Jeśli matka czegoś nie rozpozna, to trudno będzie cokolwiek powiedzieć o tych klejnotach. Gilliver musiała być jak sroka. Chowala wszystko, co błyszczało.

- A to musi być bardzo stare. - Lady Elizabeth dotknęła złote-go pektorału. -I na pewno wymaga porządnego czyszczenia. Są też szmaragdy, tylko oprawa jest pęknięta i bardzo poczerniała.

- A to... - Kate wzięła do ręki kunsztowną obrozę - bez wątplenia pochodzi jeszcze ze średniowiecza.

- Przykro mi z powodu jej śmierci, Kate. Nie była łatwą sąsiadką, ale nie zasłużyła sobie na tak okrutną i bezsensowną śmierć. Przecież w Widemarsh niczego nie tknięto.

- Tylko listy leżały porozrzucane, ale mogły po prostu się rozsypać, kiedy ciotka upadła. - Kate zamilkła, zapatrzona w piękny

emaliowany pierścień ze srebra, zdobiony motywem splecionych dłoni i serca. - Mason na pewno wie, co się stało, ale od niej niczego się nie dowiem. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle umie mówić, zresztą była tak przerażona, że tylko wcisnęła mi w ręce tę szkatułkę i uciekła w głąb domu.

- Czy te pergaminy mają znaczenie dla kogokolwiek oprócz ciebie i ciotki Gilliver?

- Nie. To są zwykłe rodzinne listy.

- Rozumiem.

- Po nas przyjechali do Widemarsh wuj Simon z Richardem.

Ciało ciotki znaleźliśmy wcześniej, a Richard utrzymuje, że w ciągu dnia tam nie był. - Stwierdziła to całkiem naturalnym tonem, bez żadnej szczególnej intonacji.

- Naturalnie. Czyli oni nie mają z tym żadnego związku. - Kate zdawało się, że słowa lady Elizabeth zabrzmiały trochę jak pytanie.

Obie dręczyła ta sama myśl.

- Trudno o tym mówić, ale czy to możliwe, że ten, kto dopuścił się tego czynu, spodziewał się znaleźć testament? - Lady Elizabeth wreszcie poruszyła najważniejszą kwestię.

- Całkiem możliwe - przyznała Kate. - Tylko Marlbrooke i ja wiedzieliśmy, że testamentu tam nie ma.

- Wartościowy spadek może spowodować wielkie podziały w rodzinie, moja droga Kate.

- Tak. - Ciepłej jej było na duszy, że ma obok siebie życzliwą i współczującą duszę, ale nie potrafiła się zdobyć, by opowiedzieć lady

Elizabeth o Verzonsie, który prawdopodobnie przekazał Simonowi informację o znalezisku, a potem postarał się, by poznał ją również Richard. Z dna szkatułki wyjęła ostatni klejnot, poczerniały złoty łańcuch. - Mamy tu na koniec jeszcze jeden średniowieczny skarb. Ciekawe, kto go nosił kilka wieków temu?

I nagle zamarła z wrażenia, złote ogniwa wysunęły jej się z dłoni, a łańcuch z hukiem upadł na stolik

Na samym dnie szkatułki leżał dokument opatrzony kruchą czerwoną pieczęcią. Kate wyjęła go drżącą ręką, złamała pieczęć i rozłożyła pergamin na stole. Szybko przebiegła wzrokiem po gęsto napisanym tekście, po czym podała go lady Elizabeth.

- Ciotka Gilliver miała go przez cały czas - powiedziała Kate.

- Testament!

- Dlaczego mi o tym nie powiedziała? Zamiast tego wymyśliła historyjkę o skrytce w Priory, nawet dała mi klucze do domu. Nie rozumiem jej motywów. Czy kiedy do mnie pisała, zamierzała mi to dać, a potem zmieniła zdanie?

Lady Elizabeth dwukrotnie przeczytała dokument, a potem z powagą oddała go Kate.

- Przyznaję, że jestem nie mniej zaskoczona niż ty. Co gorsza, obawiam się też, że to bardzo skomplikuje twoje sprawy rodzinne. Nie mylę się, prawda?

- Nie takie miałam nadzieje. Dlaczego mój ojciec to zrobił?

- Chciał zapewnić rodzinie bezpieczeństwo w niepewnych

czasach. - Elizabeth przykryła dłonią rękę Kate. - Na pewno bał się o swoje życie, więc zrobił wszystko, żeby chronić młodą żonę i malutką córeczkę.

- Pewnie ma pani rację.

- Testament zawiera całkiem logiczne rozwiązanie. Czyni cię prawną podopieczną wuja Simona, co prowadzi do rodowego małżeństwa, gdy osiągniesz stosowny wiek.

- Małżeństwa z Richardem.

- Tak z pewnością zaplanował to twój ojciec.

- A Simon rządziłby wszystkim, póki nie osiągnęłabym pełnoletności, albo nawet dłużej, gdybym przez małżeństwo stała się jego córką. To stawia w całkiem nowym świetle jego udział w tej sprawie, czyż nie? Raczej nie można go uznać za osobę niezainteresowaną losem mojego spadku. Czy pani sądzi, że on o tym wiedział?

Lady Elizabeth długo się zastanawiała.

- Tego się nie dowiemy. Jest jednak ważniejsze pytanie. Czy chciałabyś tego, Kate? Małżeństwa z Richardem?

- Nie. - Wpatrywała się w leżący przed nią dokument. - Poślubię Marcusa. Bądź co bądź, intercyza została podpisana.

- Nie mówię o celach politycznych, Kate! Wybacz mi, ale zdawało mi się, że twojemu kuzynowi nie jesteś obojętna.

- To prawda. Rozmawiał ze mną o małżeństwie i zanim znalazłam się w Priory, myślałam, że... Ale nie. Wcale go nie Kocham, teraz już jestem tego pewna. - Dotknęła palcami zaręczynowego

pierścionka, który dostała od Marlbrooke'a. - Co więcej, nie mogę się pozbyć okropnych podejrzeń związanych ze śmiercią ciotki Gilliver. - Włożyła klejnoty do szkatułki, ale testament zostawiła na stoliku. - Co mam z tym wszystkim zrobić? Potrzebuję dobrej rady.

Rozmowę przerwał im Verzons, który nadszedł niepostrzeżenie.

- Milady. - Skłonił się przed nią i wskazał dwie postacie, stojące na progu. - Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale pozwoliłem sobie wpuścić tych dwóch dżentelmenów, wiem bowiem o ich bliskim pokrewieństwie z panną Harley. Pan Hotham prosi panią o pilną rozmowę w związku ze sprawami pani Gil-liver Adams.

- Naturalnie, Verzons. - Lady Elizabeth westchnęła. - I proszę, przynieś wina. - Zwróciła się ku gościom, nie wstając z miejsca. - Witam panów. Rodzina Kate zawsze będzie tu mile widziana. Proszę usiąść. Dobrze znam cierpienie, z którym pan się boryka - powiedziała do Simona, który usiadł z okrzykiem bólu. - Mnie ono również dotknęło. Na szczęście wiedza Kate bardzo mi pomogła.

Simon skłonił głowę.

- Dzięki matce poznała właściwości ziół.

- To prawda. W czym mogę panom pomóc? Marlbrooke powinien wrócić lada chwila, ale jeśli mogę się do czegoś przydać, to służę. Ufam, że przyjmą panowie moje kondolencje po śmierci pani Adams.

Również Richard usiadł. Twarz miał śmiertelnie poważną, jak można było oczekiwać w takiej sytuacji, Kate zaintrygowało jednak, że wcale na nią nie patrzy.

- To nie jest wizyta towarzyska, milady. - Słowa Simona zabrzmiały szorstko, niemal nieuprzejmie. - Czas mnie nagli i nie chcę pozostawać w Widemarsh dłużej, niż jest to konieczne. Ten dom jest dla mnie zdecydowanie zbyt wilgotny. Katherine zabrała wczoraj stamtąd pewne dokumenty. Są mi potrzebne i chcę je obejrzeć.

- Już to wyjaśniłam, wuju Simonie... - Kate elegancko dygnęła. - Są to rodzinne listy z ubiegłego wieku. W żaden sposób nie wiążą się z obecnymi sprawami.

- Gdybym mógł na nie zerknąć, sprawdziłbym, co potrzebuję, a potem niezwłocznie zwróciłbym te listy i sprawa byłaby zamknięta.

- Przykro mi, wuju - odparła uprzejmie, lecz bardzo zdecydowanie - ale ich treść nie nadaje się do upublicznienia.

Simon starał się zachować cierpliwość.

- Przecież nie są tajne, Katherine. To jest doprawdy drobiazg i nie ma o co kruszyć kopii.

- Zaiste nie ma o co - włączyła się do rozmowy lady Elizabeth, chcąc zażegnać narastający konflikt. - Widziałam je i mogę potwierdzić, że listy dotyczą spraw osobistych. Rodzinne plotki, nic więcej.

Simon zignorował ten wtęt.

- Żądam okazania mi tych listów, Katherine. - Najwyraźniej tracił panowanie nad sobą.

- Po co? - Dumnie uniosła głowę. - Co spodziewasz się w nich znaleźć?

Simon wymienił spojrzenia z synem, który natychmiast włączył się do rozmowy.

- Sądzymy, że istnieje testament, spisany przez twojego ojca w ostatnim roku oblężenia, gdy sytuacja stała się trudna. O ile nam wiadomo, sir Thomas powierzył w nim opiekę nad Priory mojemu ojcu, który miał administrować majątkiem w twoim imieniu. Dał też błogosławieństwo naszemu związkowi. Kate pokręciła głową.

- Nie mam takiego dokumentu. - Niełatwo było jej zdobyć się na tak bezczelne kłamstwo, ale wypowiedziała je bez mrugnięcia okiem.

- Nie było go w kasetce, którą znaleźliśmy w Priory. - Przynajmniej to było prawdą!

- Gilliver była przebiegła i miała swoje sposoby - dodał Simon. - Moim zdaniem to ona ukryła testament. Przypuszczam, że go znalazłaś. Nie wyjdę z tego domu bez dokumentu!

Kate pokręciła głową, ale niemal skamieniała z wrażenia, gdy spostrzegła, czemu przygląda się Richard. Dokument z charakterystycznymi czerwonymi pieczęciami leżał obok niej na stoliku. Nietrudno było się zorientować, co zawiera.

- Opowiedz mi o tym dokumencie, Kate - zaproponował Richard przymilnie. - Bo to nie jest zwykły list, prawda?

Wyprostowała się wyzywająco.

- To jest moja własność.

Richard wstał i zaczął się do niej zbliżać.

- Nie zawahałbym się użyć siły, droga kuzynko, z pewnością jednak w tej sytuacji rozumiesz, że nie masz innego wyjścia i oddasz dokument dobrowolnie.

- Doprawdy, sir! Na co pan sobie pozwala? - Lady Elizabeth wstała, by interweniować. Przerażona Felicity wykonywała jakieś nerwowe ruchy za jej plecami. - Czy mam rozumieć, że ktoś mi grozi w moim własnym domu?

- Nie ma potrzeby tak niemiło się do siebie odnosić. - Richard nawet na nią nie spojrział. - Daj mi ten dokument, Katherine.

-Nie.

Gdy Richard zrobił kolejny krok naprzód, Kate chwyciła testament i zaczęła się cofać, ukrywając go za plecami. Natychmiast ruszył za nią, porzucając wszelkie pozory.

- Daj mi to, Kate!

Rzucił się na nią, chwycił za nadgarstek i zaczął ciągnąć w swoją stronę. Jeszcze chwila i wydrze jej dokument, który trzymała w drugiej ręce. Kate rozpaczliwie szarpnęła ramieniem, zdołała się na moment oswobodzić i ta chwila wystarczyła jej, by cisnąć pergamin do kominka. Natychmiast zajął się ogniem. Strzeliły płomienie, zasyczał topniejący воск i testament obrócił się w popiół.

- Co ty zrobiłaś, głupia?! - syknął Simon, kurczowo zaciskając dłonie na poręczach krzesła. - Zniweczyłaś naszą szansę wygrania sprawy w sądzie! Jak mamy teraz wysłać te rojalistyczne szczury do rynsztoka?

Widząc płonący dokument, Richard całkiem stracił panowanie nad sobą. Uderzył Kate w twarz tak mocno, że upadła.

- Coś ty zrobiła?! - powtórzył za ojcem. Twarz wykrzywiła mu wściekłość. - To wszystko mogło być nasze. Twoje i moje. Prawo usankcjonowałoby wolę twojego ojca. Co cię opętało? Czyżbyś nagle tak zamarzyła o małżeństwie z Marlbrookiem? Czyżby uwiódł cię dworskim urokiem? Kupił cię swoim ciałem? Nie podejrzewałbym cię o coś równie prymitywnego, kuzyneczko! - Gwałtownym szarpnięciem podniósł ją z podłogi. - Jeszcze nie tak dawno chciałaś przyjąć moją miłość, ale tytuł i fortuna każdej kobiecie zawrócą w głowie. To jest ohydne i haniebne! - Potrząsał nią wściekle, nie całkiem świadom tego, co robi.

Kate tylko kulila się, przerażona

- Ej, Hotham, jeśli masz jeszcze inne ciekawe spostrzeżenia na temat kobiecej natury, to proponuję, żebyś zwrócił się z nimi do mnie. - Na progu stał Marlbrooke. Przemawiał spokojnym głosem, który jednak nie pozostawiał wątpliwości, kto tu rządzi.

Zapadło milczenie. Marcus podszedł do Richarda i bez trudu uwolnił Kate. Potem posadził ją na krześle i przesłał jej krzepiący uśmiech. Kate przeczuwała jednak, że najgorsze dopiero nastąpi.

Marlbrooke z ukłonem zwrócił się do gości:

- Stanowczo nie podoba mi się wasze zachowanie wobec mojej rodziny, i to w moim domu, przede wszystkim nie podoba mi się pańskie postępowanie, Hotham, wobec mojej narzeczonej. - Tym samym tonem mógłby rozmawiać o pogodzie lub koniach. - Źle się

stało, że wróciłem dopiero teraz, bo moglibyśmy uniknąć wielu przykrych scen. A już zupełnie zadziwia mnie, że dżentelmen ucieka się do przemocy wobec kobiet.

- Ona zniszczyła testament! - Richard trząśł się z wściekłości, ale władczy spokój Marlbrooke'a nieco ostudził jego zapędy.

- Ponieważ była to własność panny Harley, miała do tego prawo.

- To ja mam p r a w o

- Pan nie ma tutaj żadnych praw. A ja żądam, panie Hotham, satysfakcji za pana zachowanie. Odpowie mi pan za podniesienie ręki na kobietę.

- Gdybym był młodszy i zdrowy, zapłaciłby pan za mieszanie się w nie swoje sprawy, milordzie - bezsilnie pienił się Simon.

- Ale nie jest pan ani młody, ani zdrowy. - Marcus skłonił kurtuazyjnie głowę przed Hothamem. - Dlatego za pańskie grzeszki odpowie syn.

- Chętnie. - Gniew pchnął Richarda do bardzo nierozważnej decyzji.

- Wobec tego nie ma lepszego miejsca i czasu niż tu i teraz - oświadczył wicehrabia.

- O nie! Nie zgadzam się! - Dotąd milcząca lady Elizabeth poderwała się z krzesła. - Nie wolno wam przedłużać wojny i wprowadzać jej do tego domu. Przemoc niczego nie rozwiązuje, jedynie przysparza nowych cierpień.

- Niestety, matko, w tej sprawie nie ma wyboru - stwierdził Marcus. - Jestem pewien, że pan Hotham podziela moje zdanie. - Zdjął kaftan i kamizelkę, po czym podciągnął wykończone koronką rękawy. - Czekam, panie Hotham. - Dobył szpady.

Richard powtórzył te same czynności i stanął naprzeciwko Marlbrooke'a. Wyglądali na godnych siebie przeciwników, byli podobnej budowy i wzrostu, Marlbrooke nieco wyższy, lecz nie na tyle, by dawało mu to przewagę.

Słońce wyszło na chwilę zza chmur i jasne włosy Richarda rozświetlił promień. Dla przesądnych mogło to wyglądać jak błogosławieństwo, na Kate jednak nie zrobiło wrażenia. Wołała podziwiać mroczne piękno Marlbrooke a, wspaniałą grę mięśni przy najlżejszym ruchu.

Zaczynała się walka na śmierć i życie.

Szpady skrzyżowały się ze szczękiem w pierwszym stalowym pocałunku. Marlbrooke cofnął się i opuścił broń.

- Sądzę, panie Hotham, że tym wyzwaniem pomszczę również śmierć Gilliver Adams.

Richard również cofnął się o krok i odparł starannie modulowanym głosem:

- Nie ma pan podstaw do takiego oskarżenia.
- Nie?
- Wiemy przecież, że przy śmierci Gilliver Adams nikogo nie było.
- Była Mason. Ona wie, kto zamordował jej panią.

- Mason niczego nie powie. - Na wargach Richarda zaigrał triumfalny uśmiech. - Nie ma pan dowodu. Nie może pan ogłaszać się katem, nie da się bowiem dowieść, że to ja dokonałem tej zbrodni. Jeśli zginę, będzie to morderstwo, milordzie.

- Mason, co prawda, nie mówi, ale umie pisać. - Marlbrooke uśmiechnął się kpiąco.

- Nie wierzę! - Jednak Richard wyraźnie spuścił z tonu.

- Kate, proszę, wyświadczyć mi przysługę. Przeszukaj kieszenie mojego kaftana. Jest tam pewien dokument.

Kate wykonała polecenie i po chwili w jej ręce pojawił się złożony kawałek pergaminu.

- Oto dowód - powiedział Marlbrooke. - Mason napisała imię mordercy. Widziała przecież tego tchórza, mordującego Gilliver, starą, bezbronną kobietę, która odważnie odmówiła oddania dokumentów.

Kate rozłożyła pergamin, obejrzała go i odłożyła na stolik obok siedzącej tam lady Elizabeth. Richard spojrział w tamtym kierunku i znów stracił nieco animuszu. Wiedział, co dla niego oznacza taki dowód.

- Gilliver była wścibską starą czarownicą. - Twarz wykrzywił mu grymas gniewu. - Wiedziała o istnieniu testamentu i chciała nas wszystkich trzymać w garści. Cieszyła się tym jak dziecko, a mnie zwyczajnie roześmiała się w twarz. Nie zamierzała być lojalna wobec rodziny, a kiedy zażądałem pokazania listów, odmówiła. Tyle że nie zdawała sobie sprawy z prawdziwego znaczenia testamentu. Jej

zależało tylko na prowadzeniu własnych intryg i gier. Tak, zabiłem ją! I nie mam z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

Zapadło grobowe milczenie.

- Dość tego, Richardzie! - przerwał je w końcu Simon. - Stara nie żyje, skończmy z tym wreszcie.

- Jestem jak najbardziej za tym. Richardzie Hothamie, wzywam pana do zdania rachunku z przelanej krwi Gilliver Adams. Jestem do pańskiej dyspozycji.

Zaczęli taniec, by przygotować sobie pozycję do ataku. Lady Elizabeth przyglądała się temu, kurczowo splatając ręce, nie czując przy tym bólu. Kate w geście solidarności położyła jej rękę na ramieniu. Nawet Felicity stanęła na obrzeżu pola walki i spoglądała to na jednego, to na drugiego uczestnika pojedynku. Simon pochylił się do przodu, jakby kierował ku synowi myśli, chciał mu udzielić choć takiego wsparcia.

Wreszcie się starli. Pierwsza próba sztychu i pierwsza zasłona, tupot butów na tych samych deskach, na których jeszcze niedawno Kate ćwiczyła z wicehrabią figury pawany, dźwięczącej w ich duszach. Teraz jednak trwał tu prawdziwy taniec śmierci. Finta. Atak. Sparowany. Świszczące klingi odbijały światło, a przy zderzeniu sypały iskrami. Przeciwnicy perfekcyjnie wymierzonymi ruchami, nie spuszczać się z oka, czaili się do kolejnego ciosu. Richard dostrzegł swą szansę pierwszy. Poszedł do przodu i natarł. Chociaż Marlbrooke zareagował w okamgnieniu, sztych go zawadził i na jego koszuli pojawiła się szeroka czerwona pręga.

Richard opuścił szpadę, kierując ostrze w ziemię, i odskoczył do tyłu.

- Trafiony. Czy to pana satysfakcjonuje?

- To nie ma znaczenia - odparł Marcus przez zaciśnięte zęby. - Śmierć Gilliver musi zostać pomszczona.

Otarł pot z czoła i zaatakował. Szermierze byli istotnie zręczni, więc pojedynek trwał i żaden z nich nie uzyskał widocznej przewagi. Stopniowo jednak obu zaczęło dawać się we znaki zmęczenie. Oddechy stały się głośniejsze, ruchy mniej precyzyjne. Walka nie mogła ciągnąć się w nieskończoność i obaj o tym wiedzieli. Jej kres oznaczał tyle, że któryś z nich musi zginąć. Wiedzieli o tym również widzowie, trwożnie obserwujący tę konfrontację.

I znów sztych, i znów zasłona. Oczy śledzące każde drgnienie oręża przeciwnika, szukające najmniejszej oznaki słabości, zawahania. I szpady żądne krwi.

Marlbrooke, czując ogarniającą go słabość, postawił wszystko na jedną kartę. Piękną fintą w prawo zamarkował atak na nieosłonięte lewe ramię, niespodziewanie wyprowadził jednak sztych w kierunku serca. Richard w ostatniej chwili odczytał zamiar i zbił szpadę Marlbrooke'a, ten jednak z szybkością błyskawicy natarł znowu. Spodziewając się kolejnej finty, Richard zawahał się na ułamek sekundy. I to wystarczyło. Klinga Marlbrooke'a wbiła się głęboko między żebra.

Richard wypuścił szpadę i w milczeniu runął na podłogę. Jaskrawa plama na jego koszuli rosła z każdą chwilą, a krew spływała na deski.

Marcus stanął w pobliżu ze spuszczoną głową i otarł twarz. Wściekły ryk Simona zabrzmiał dziwnie samotnie. Kate przyklękła obok kuzyna i dotknęła jego twarzy.

- Nie żyje. Tyle krwi. Tego nie zniosę. - Rozejrzała się nieprzytomnie dookoła. - Richard nie żyje! - krzyknęła przeraźliwie.

Nie mogła tu zostać ani chwili dłużej. Nie zważając na plamy krwi pod stopami, pobiegła w stronę drzwi.

- Kate! - krzyknął Marlbrooke, lecz jej już nie było.

- Ale co z wyznaniem Mason? - spytała Felicity, która podniosła ze stolika pergamin. - Tu nie ma żadnego imienia.

- Nie ma - przyznał Marlbrooke tonem, który nie zachęcał do dalszych pytań.

- Czy to znaczy, że Mason nie знаła mordercy?

- Nie musiała. Zabójca sam wszystko wyznał. Myślę, że sprawiedliwości stało się zadość.

Nie czuł się jednak zwycięzcą. Miał przed oczami pobladłą, wstrząśniętą twarz Kate i wiedział, że ten obraz będzie do niego wracał w najkoszmarniejszych snach. Tak samo jak widok krwi Richarda na jego rękach.

- Och, Marcusie! Co za okropna sytuacja. - Lady Elizabeth stanowczym ruchem zamknęła za sobą drzwi, gdy wreszcie zdołała osaczyć syna w bibliotece. Przez ostatnich kilka dni unikał jej bardzo

skutecznie, teraz jednak usiadła na krześle przy jego biurku, poprawiła brokatowe spódnice. Nie zamierzała pozwolić mu na dalsze uniki. Ta rozmowa miała trwać do czasu, aż przyniesie zadowolający ją wynik

- Wiem, iście piekielna. - Marcus usiadł za biurkiem i udawał, że pracuje, ale widząc minę matki, zrozumiał, że musi się pogodzić z tym, co nieuniknione, więc z rezygnacją odłożył pióro.

- Mam wrażenie, że żyjemy w jakimś koszmarze, od którego nie ma ucieczki. - Lady Elizabeth splotła ręce na kolanach. - Wciąż nie mogę pogodzić się z tym, że w naszym domu zabiłeś człowieka.

- To nie była egzekucja, matko. - Twarz ukrył za maską obojętności. - Ta walka różnie mogła się potoczyć. Mogę ci pokazać ślad na żebrach. Zresztą czy wolałabyś, żeby to Richard zabił mnie?

- Doskonale wiesz, że nie to mam na myśli! Chciałabym znaleźć się już w Londynie. - Na krótką chwilę lady Elizabeth straciła samokontrolę i zaczęła nerwowo skubać koronkę, zdobiacząc rękaw. - Tam życie wydaje się o wiele bardziej przewidywalne.

- Odwiozę cię do Londynu, kiedy tylko sobie tego zażyczysz. To dobry pomysł, żebyś wyjechała z Winteringham Priory.

- Nie w tym rzecz, mój synu! Celowo udajesz, że nie rozumiesz. - Musiała zmusić go do rozmowy wprost, nie pozwolić na kluczenia i uniki. - Czy powinniśmy byli pozwolić Simonowi Hothamowi na powrót do domu, jak sądzisz?

- Nie mogliśmy go przecież zatrzymać. Zresztą w tych okolicznościach nawet lepiej, że go tutaj nie ma. Bez względu na to,

jaki miał udział w ostatnich wydarzeniach, stracił jednak syna. Na pewno łatwiej mu to przeżywać u siebie.

- Naprawdę uważasz, że to on odpowiada za śmierć pani Adams?

- Podejrzewam, że to był jego pomysł. Jest bardzo ambitny, zawiedziony tym, co zdarzyło się w przeszłości i pełen lęku o przyszłość. Zgorzkniały i mściwy. Poprzez Richarda pragnął przywrócić siłę i chwałę rodowi Hothamów. Wszystkie nadzieje wiązał z małżeństwem syna z Katherine, nic innego się nie liczyło. Dlatego kazał zabić panią Adams, gdy odmówiła wydania testamentu. Tylko że teraz Richard nie żyje, a testament nie istnieje, więc wszystkie plany Simona legły w gruzach. Nie zostało mu nic oprócz gorzkiej dumy i nasilającej się choroby. Mimo to jakoś nie mogę się zdobyć na współczucie.

- Cóż, Simon zbyt wiele zła ma na sumieniu, byś musiał się o to starać, Marcusie. Gorzej, że wciąż nie wiemy, gdzie się podziała Mason. - Lady Elizabeth powoli zbliżała się do sedna sprawy. - Czuję się za nią w pewnym stopniu odpowiedzialna.

- Też uważam, że powinniśmy się nią zająć. Prawdopodobnie ukrywa się gdzieś na strychu lub w piwnicy w Widemarsh.

- Też tak sędzę.

Marlbrooke podszedł do okna, za którym malował się deszczowy pejzaż. Doskonale wiedział, do czego zmierza jego matka. Z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Do tej pory bardzo taktownie unikasz wspomnienia o tym, co najgorsze, matko. Może powinnaś nazwać rzecz po imieniu, zanim zabije nas oczekiwanie.

- Masz rację - westchnęła. - Oboje wiemy, że chodzi o Kate, o wasze szczęście i przyszłość.

Wicehrabia wrócił na swoje krzesło i ściągnął brwi. Przypomniawszy sobie wszystkie swoje ostatnie starania, by się z nią zobaczyć.

Po dwóch nieudanych wizytach w Widemarsh Manor, gdy wicehrabiemu nie pozostało nic innego, jak pocałować klamkę zamkniętych drzwi, trzecią próbę podjął z mocną wiarą w sukces i gniewnym błyskiem w oku. Zeskoczył z grzbietu Falcona na dziedzińcu, przekazał konia stajennemu i zapukał do drzwi. Tym razem zostały one przynajmniej uchylone, choć szpara była niewielka. Ujrzał w niej oko starego służącego.

- Słucham, milordzie? Nie oczekiwałem powrotu milorda tak szybko.

- Chciałbym porozmawiać z panną Harley. - Marlbrooke miał wrażenie, że śni koszmar na jawie. Dobrze już znał tę scenę.

- Panna Harley nie przyjmuje gości, milordzie. - Na potwierdzenie tej informacji drzwi się zamknęły.

Cierpliwość Marlbrooke'a się wyczerpała. Załomotał do drzwi rączką szpicruty z taką siłą, że mógłby obudzić diabła.

- Otworzyć drzwi, bo jak nie, to je wyłamie. - Jego głos, choć donośny, wciąż brzmiał spokojnie.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

- Pani mówi, że nikogo nie przyjmuje, milordzie. Niestety, w niczym nie mogę milordowi pomóc.

Zanim służący zdążył zamknąć drzwi, Marlbrooke pchnął je z taką siłą, że całą swą dębową masą uderzyły o ścianę.

- Bądź tak dobry i powiedz pani, że stąd nie wyjdę, dopóki się z nią nie zobaczę - rzucił wystraszonemu lokajowi.

Ze swej kryjówki w salonie, otoczona kurzem i wiązankami ziół, Kate z uwagą śledziła rozwój wydarzeń. Nawet zgodziłaby się przyjąć Marlbrooke'a, gdyby wiedziała, co mu powiedzieć.

Zdobywszy się jednak na odwagę, wyszła z salonu do sieni.

- Nie ma potrzeby, żeby Crofton przekazywał wiadomości, milordzie. Jestem tutaj.

Widok Kate spowodował, że gniew Marcusa ostygł. Wyglądała na bardzo udęczoną, a on nic nie mógł na to poradzić. Zbyt wiele zaczęło ich dzielić.

- Katherine.

Odsunęła się, by przepuścić go do salonu, zachowała jednak stosowną odległość.

- Co mam ci powiedzieć, Katherine?

- Nic, milordzie. Przez nasze małżeństwo i mój upór w podtrzymywaniu roszczeń Harleyów zginęło dwoje ludzi. Naprawdę nie wiem, po czyjej stronie leży wina, ale obie te śmierci noszę w sercu.

- Chcesz pozwolić, aby nas rozdzieliły? - Gorączkowo szukał argumentu, który okazałby się przekonujący.

- Mam wrażenie, że rozdzieliły nas całkiem bez udziału mojej woli.

- Czy moja miłość ci nie wystarcza?

-Twoja miłość jest wspaniała, ale odwzajemniłam ją zbrodnią.

-I nie chcesz, bym przyniósł ci pocieszenie?

- Kocham cię. Pocieszenia jednak nie ma i być nie może Jakie mam prawo do szczęścia, skoro spowodowałam taką tragedię? Richard i Gilliver nie żyją. Mason gdzieś przepadła. Simon pograżył się w żałobie. Jakie mam prawo do szczęścia ich kosztem?

A co ze mną? - pomyślał Marlbrooke, ale tego nie powiedział.

- Może więc przynajmniej pojedziesz ze mną do Priory, Kate?

-Nie.

Skinął głową, przyjmując do wiadomości jej decyzję, obiecał jednak sobie, że nie zostawi jej tu bez opieki. Postanowił wysłać swoich ludzi, żeby trzymali straż wokół domu. Na pożegnanie pocałował ją w rękę. Była lodowata.

Nie pozostało mu już nic innego, jak dosiąść konia i odjechać.

Kate pozostała w salonie. Łzy ciekły jej po policzkach, bo nie widziała dla siebie żadnej nadziei. Nie miała pojęcia, ile samozaparcia kosztowało Marcusa powstrzymanie się przed porwaniem jej siłą. Była pewna, że pogrzebała swą jedyną szansę na szczęście.

- Co mam powiedzieć? - spytał wicehrabia matkę. - Znasz sytuację! Wszedłem do domu siłą, żeby z nią porozmawiać, ale nic z

tego nie wynikło. Dziela nas Gilliver i Richard. Kate w ogóle nie chce mnie widzieć, nie wpuszcza mnie za próg. Byłem potem w Widemarsh jeszcze trzy razy, ale co, znowu mam rozwalać drzwi jak jakiś rozbójnik? Choć przyznaję, że mam taką pokusę. Niech Bóg mnie strzeże przed upartymi i samodzielnyimi kobietami. - Łagodny uśmiech matki odwzajemnił grymasem pełnym ironii.

- Czy naprawdę nic nie możesz zrobić? Ona jest na pewno równie nieszczęśliwa jak ty.

- Nieszczęśliwa? Ha! Delikatnie to nazwałaś. - Zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po bibliotece. - Jestem kompletnie bezradny. Nie wiem, o czym ona myśli, czy może spać, czy cokolwiek je. - Spojrzał na matkę, zaciskając pięści w bezsilnej złości.

- Ciężko przeżyła tę tragedię. Pamiętasz jej ostatnie słowa, zanim uciekła z galerii?

- Naturalnie. Mam je wyryte w sercu. I wciąż widzę grozę wymalowaną na jej twarzy, gdy zobaczyła mnie ze szpadą czerwoną od krwi Richarda.

„Tyle krwi. Tego nie zniosę”.

- Dla niej moje ręce są splamione krwią jej kuzyna - ciągnął z ciężkim sercem. - To nie jest dobry fundament małżeństwa. Mąż winien śmierci człowieka, którego żona kochała.

- Marcusie, Kate nie kochała Richarda - powiedziała lady Elizabeth spokojnie, lecz bardzo zdecydowanie.

- Nie? Może i nie. Ale jego krew i tak plami moje ręce.

- Sama mi powiedziała, że go nie kochała. Owszem, łączyły ich sympatia, więzy rodzinne i wspólne dzieciństwo, ale to wszystko. Poza tym nie zapominaj, Marcusie, że Kate świadomie zniszczyła testament ojca. jeśli myślała o małżeństwie z Richardem, chciała wypełnić wolę ojca, to dlaczego nie przekazała dokumentu Simonowi? Miała wybór i wrzuciła testament do ognia.

- Pęka mi serce, kiedy pomyślę, że siedzi całkiem sama w Widemarsh. - W jego głosie pojawiła się najprawdziwsza skarga.

- Czy chciałbyś, żebym wam pomogła? - spytała po chwili lady Elizabeth.

- O! Czyżbyś prosiła o pozwolenie? - Wreszcie się uśmiechnął. - Nie uwierzę!

- Właśnie to zrobiłam. I mam pomysł.

- Czy jest dla mnie do przyjęcia?

- Ani trochę, ale synowie zwykle nie godzą się z tym, co robią ich matki.

Wygodny powóz, zaprzężony w czwórkę gniadoszy, zajechał przed Widemarsh Manor. Siedziała w nim tylko jedna pasażerka. Jenks zeskoczył z kozła, otworzył drzwi i podał silne ramię damie, która ostrożnie wysiadła. Wygładziła spódnice, ciaśniej otuliła się peleryną i z obojętną miną skinęła głową.

- Jeśli możesz, Jenks, to zapukaj do drzwi. Głośno.

Stuk rączki od szpicruty o grube deski echo poniosło po całym dziedzińcu. Odpowiedzi nie było.

- Zapukaj jeszcze raz. Jenks spełnił polecenie.

- Katherine, otwórz drzwi. To ja, Elizabeth Oxenden.

Po krótkiej chwili rozległ się odgłos klucza i odciąganych zasuw.

Na progu stała Kate. Twarz miała bladą, lecz spokojną.

- Nie chcesz rozmawiać z moim synem - zaczęła lady Elizabeth.

- To mogę zrozumieć. Czy jednak mnie pozwolisz wejść?

Kate bez słowa odsunęła się na bok i wprowadziła gościa do salonu.

- To musi być bardzo ważna sprawa, jeśli zdecydowała się pani na taką podróż. - Jej głos brzmiał nieco ochryple, przez ostatnie dni często bowiem płakała.

- Ważna? Naturalnie, moje drogie i niemądre dziecko! Kiedy dwoje ludzi, którzy są dla mnie najważniejsi na świecie, usycha z nieszczęścia, to cóż może być ważniejszego?

Ciepłe słowa i smutny uśmiech lady Elizabeth wywarły skutek. Wbrew swym najbardziej solennym postanowieniom Kate ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się jak dziecko.

- Chodź do mnie, najmilsza Kate. Co cię tak przeraża? Elizabeth zaprowadziła ją na kanapkę przy kominku, gdzie usiadły blisko siebie. Objęła Kate i pozwoliła jej się wypłakać.

- Czym się tak dręczysz? - spytała w końcu. - Przecież to niepotrzebne.

- Moja matka nie przyjechała mnie odwiedzić, a pani tak - powiedziała przez łzy Kate.

Elizabeth uświadomiła sobie, jak bardzo osamotniona czuje się Kate.

- Nawet nie dała Simonowi listu. To prawda, że opuściłam Downham Hall bez jej wiedzy, ale myślałam, że może jednak napisze...

- Nie martw się. Może nie wiedziała, że Simon się tu wybiera. Za to ja przyjechałam specjalnie do ciebie. - Elizabeth wciąż czule ją obejmowała i czekała cierpliwie, aż potok łez się wyczerpie. W końcu wyciągnęła chusteczkę, osuszyła policzki Kate, po czym przyniosła z kredensu kieliszek wina.

- Bardzo przepraszam. - Kate pociągnęła nosem. - Nie zamierzałam pani angażować w moje problemy.

- Nedorzeczność! Kto lepiej niż ja osusza łzy? - Podała jej kieliszek, a Kate posłusznie wysączyła trochę wina. - Lepiej? No to spróbujmy trochę wszystko poukładać. Kiedy zamierzasz przyjąć mojego syna i pozwolisz mu z sobą porozmawiać?

Kate nie spodziewała się tak bezpośredniego natarcia, nie miała jednak siły na nic innego poza szczerością.

- Nic o tym nie wiem, żeby chciał mnie zobaczyć. - Wbiła wzrok w dłoń.

- Pewnie, że nie! Przecież dopiero co tutaj był, i to niejednym razem! Zawsze wracał wściekły, bo nawet drzwi nie chciałaś mu otworzyć. No to zrezygnował. Teraz jest właśnie na polowaniu i udaje, że go to bawi. A kiedy jest w domu, nieustannie burczy na wszystkich i za dużo pije. Obraz wymarzonego szczęścia, nie ma dwóch zdań! - Tą

ironiczną przemową wywołała na twarzy Kate uśmiech. - Koniecznie go przyjmij, droga Kate. To ułatwi życie nam wszystkim. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Marcus tak się przejmował uczuciami kobiety. Musiałaś go naprawdę zauroczyć.

- Nie wiem, co mu powiedzieć. Moja rodzina ma tyle na sumieniu. Może doszedł do wniosku, że lepiej sobie znaleźć inną żonę. - Kate pociągnęła nosem, rozzalona taką możliwością.

- Nie wybieramy sobie rodziny, droga Kate.

- Ale morderstwo, kłamstwa i oszustwa to jednak czyjś wybór.

Gdybym nie zaczęła walki o spadek, to Gilliver by żyła. I Richard też! Nie mogę znieść tej myśli.

- Nie powinnaś się obwiniać.

- Sama łudziłam Richarda nadzieją, że go poślubię. Myślałam, że go kocham. Stanowczo nie jestem bez winy.

- Nie, ale za to, co zrobił, nie możesz czuć się odpowiedzialna.

- Tylko że on nie żyje! Mój kuzyn nie żyje! - Przytuliła się do lady Elizabeth w obawie, że znów zacznie płakać. - Wiem, że to on zabił ciotkę Gilliver, ale nie umiem zapomnieć, jaki był dla mnie dobry i życzliwy w dzieciństwie.

Zapadło milczenie. Siedziały tak dość długo, a choć lady Elizabeth wyraźnie czuła, że ręce odmawiają jej posłuszeństwa, nie cofnęłyby ich za nic na świecie. Gdy wreszcie uznała, że kryzys Kate minął, podjęła batalię.

- Kiedy więc skończysz męki mojego syna? On myśli, że to jego obwiniasz o śmierć kuzyna.

- Jego? Skądże! - Kate zadrżała, przypominając sobie scenę pojedynku. - Marcus nie miał wyjścia, musiał się bronić, inaczej Richard zabiłby jego.

- Lecz on wini siebie i tylko ty możesz mu pomóc się z tym uporać. - Lady Elizabeth pogłaskała Kate po policzku. - Na pewno wiesz, że cię kocha. Mało tego, uwielbia cię.

- Powiedział mi to.

-I uwierzyłaś mu?

- Tak - odpowiedziała Kate bez wahania, choć był to ledwie szept, jakby bała się przyznać do tego nawet przed sobą.

- No cóż. - Lady Elizabeth się uśmiechnęła. - Powiedz mi, co masz w sercu, Kate.

- Żałuję, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. Wtedy moglibyśmy być razem bez rozpamiętywania tych wszystkich oszustw i przemocy.

- Czy mimo to możesz go kochać?

- Tak na pewno. - Wreszcie się rozpogodziła, bo przecież to właśnie miała w sercu.

- To dobrze - powiedziała lady Elizabeth. - Wobec tego powiem mu, żeby przyjechał.

Elizabeth zbierała się do odjazdu.

- Powinnaś wiedzieć, że mój syn zajął się pogrzebem ciotki Gilliver.

- Gdzie ciotka będzie pochowana?

- Naturalnie w Priory, obok reszty rodziny Harleyów. Zawsze traktowała ten dom jak swój, więc powinna tam powrócić.

Kate skinęła głową na znak zgody. Właśnie to chciała usłyszeć. Marcus jeszcze raz wykazał się wielkim wyczuciem. Sam, z własnej inicjatywy dopilnował czegoś ważnego. Prawdę mówiąc, właśnie tego się po nim spodziewała.

- Czy Marlbrooke wie, że pani tutaj jest? - spytała Kate, odprowadzając milady do drzwi.

- Nie - odrzekła obojętnie lady Elizabeth.

- A Felicity?

- Na pewno nie!

- Ależ pani jest sprytna - powiedziała Kate z nutką podziwu. - Ciekawa jestem, jak często udaje się pani postawić na swoim tak, żeby nikt tego nie zauważył.

- Och, mam praktykę. - Cmoknęła Kate na pożegnanie. - Jeszcze jedno ci powiem przed odjazdem. Może łatwiej ci będzie, jeśli uświadomisz sobie, że we wszystkich rodzinach zdarzają się ludzie o pokrętnych umysłach. Chcesz wiedzieć, kto mnie otruł? Naturalnie nie chodziło o to, żeby mnie zabić. Ja miałam się tylko przestraszyć, natomiast całe odium miało spaść na ciebie.

- Myślałam, że to ciotka Gilliver. Wprawdzie zaprzeczyła, ale jeśli o nią chodzi, niełatwo było się zorientować, kiedy mówi prawdę, a kiedy stosuje zręczne wybiegi.

- To zrobiła Felicity.

- Felicity? Czy wyznała to pani? - Kate była wstrząśnięta. Zaufana dama do towarzystwa morderczynią? - Czy jest pani tego pewna?

- Absolutnie, choć, co prawda, Felicity wcale mi tego nie wyznała. Wyczytałam to z jej zachowania i reakcji po tym, gdy najgorsze minęło.

- Dlaczego to zrobiła? Zdawało mi się, że jest pani bardzo oddana.

- Bo jest, ale z tego powodu stała się zazdrosna o ciebie. Uznała, że dla zlikwidowania twoich wpływów najlepiej będzie stworzyć pozory, iż otrułaś mnie jednym ze swoich leków. Naturalnie nikomu o tym nie powiem i tobie też będę wdzięczna za dyskrecję. Felicity i ja dobrze się rozumiemy. W niej jest wiele smutku, ale poświęcała mi dużo swojego czasu i cierpliwości, bez słowa protestu znosiła też moje humory, a w chorobie bywam przykra. Nie oddalę jej. Wiem też na pewno, że już nigdy czegoś takiego nie spróbuje. Jak więc widzisz, nie tylko ty masz krewnych, do których wolałabyś się nie przyznawać!

Rozdział siedemnasty

Na wizytę Marlbrooke'a Kate ubrała się z wielką starannością. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że wkrótce go zobaczy, i po raz pierwszy od kilku dni jej umysł absorbowało coś innego niż krwawe obrazy pojedynku lub martwa ciotka Gilliver.

Wykąpała się i umyła włosy w naparze z rozmarynu i lawendy. Potem włożyła jedną z sukni podarowanych jej przez lady Elizabeth. Prawdę mówiąc, podejrzewała, że do tej pory nikt tego stroju nie nosił i jest to prezent od Marlbrooke'a, podsunięty jej w chytry sposób.

Dwuczęściową suknię uszyto w Londynie z pięknego kremowego jedwabiu i srebrnej gazy i ozdobiono kosztowną wenecką koronką. Tak czy owak, Kate nie była w stanie oprzeć się tej kreacji, którą jej purytański wuj z pewnością uznałby za narzędzie diabła. Głęboko wycięty, ciasno sznurowany stanik z fiszbinami odsłaniał ramiona i uwydatniał kobiece wdzięki, co wprawiało Kate w zawstydzenie, bez wątpienia również dodając jej powabu. Za to koronkowy kołnierz był piękny bez żadnych zastrzeżeń, podobnie jak wykończone koronką rękawy trzy czwarte, podkreślające smukłość jej ramion. Długa spódnica, układająca się pięknie na sztywnych halkach, tajemniczo szeleściła. Całość, w zasadzie zbyt elegancką na kameralny wieczór w Widemarsh Manor, Kate zaakceptowała bez wahania. Miała też koszulkę w haftowane różyczki, i choć naturalnie włożyła ją tylko dla samej siebie, bo żadnej innej możliwości nie brała pod uwagę, to jednak gdzieś tam kołatała się frywolna myśl...

Na stopy wsunęła brokatowe pantofelki również ozdobione różyczkami.

Ogłędziny w lustrze wypadły bardzo pozytywnie. Co prawda włosy miała jeszcze zbyt krótkie na modne loczki, ale kremowa opaska zawiązana w fantazyjną kokardę nad uchem była wdzięcznym uzupełnieniem kreacji, do której wykorzystwała też piękny wachlarz ze szlaczkiem z fiołków, przywodzący jej na myśl jakże miłe wspomnienia.

Była gotowa o wiele za wcześnie, więc usiadła w salonie. Wydawało jej się, że nigdy się nie doczeka przyjazdu wicehrabiego. W końcu jednak usłyszała turkot powozu. A więc Marlbrooke zrezygnował tym razem z Falcona.

W panice pomyślała, że najchętniej oddaliłaby go od drzwi raz jeszcze. Nie mogła już usiedzieć, więc zaczęła przemierzać salon tam i z powrotem. Pełna pretensji do siebie za tchórzostwo usiłowała jakoś uspokoić mocno bijące serce. Pukanie do drzwi zatrzymało ją w pół kroku. W sieni rozległy się powolne kroki Croftona. Potem głosy. Co ma powiedzieć Marlbrookeowi? Czego od niej oczekuje?

Drzwi salonu otworzyły się.

-Przyszedł z wizytą lord Marlbrooke, panno Harley. - Crofton zachowywał się jak przystało na wzorowego kamerdynera. - Czy pani jeszcze czegoś potrzebuje, czy mogę już. jak wszyscy dobrzy chrześcijanie udać się na spoczynek?

Kate dość nieprzytomnie oddaliła służącego ruchem głowy i zwróciła się do Marlbrooke'a, który wciąż stał w sieni.

- Witam, milordzie. - Dygnęła, jak nakazywała etykieta, co zresztą doskonale pasowało do jej wytwornej sukni.

Pod względem ubioru Marlbrooke stanął na wysokości zadania, wystrojony na najnowszą dworską modłę w obcisły czarny brokatowy kaftan z kamizelką, nadający sylwetce korzystną linię. Na szerokich mankietach pyszniły się złote hafty, złote było również wykończenie dziurek od guzików i frędzle szarfy ściągającej w pasie kamizelkę. Czarne półdługie spodnie i jedwabne pończochy, przytrzymywane pod kolanami przez podwiązki, wyglądały elegancko i dostatnio. Pięknie harmonizowała z nimi biała jedwabna koszula z dość ekstrawagancką kryzą i marszczonymi rękawami. Do tego Marlbrooke wzuł ozdobione rozetkami czarne skórzane trzewiki na wysokich karmazynowych obcasach. Uwagę zwracały również jego ciemne falujące włosy, opadające swobodnie na ramiona. Stroju dopełniał kapelusz z szerokim rondem, przyozdobiony strusimi piórami i wstążkami oraz kosztowna szpada paradna. Kapelusz posłużył Marlbrooke'owi jako rekwizyt w eleganckim ukłonie powitalnym.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Marcus przerwał kłopotliwe milczenie:

- Uznałem, że skoro od nowa zaczynam się do pani zalecać, to powinienem ubrać się na dzisiejszy wieczór z największą starannością. Cieszę się, że to zrobiłem, bo inaczej całkiem by mnie pani przyćmiła, panno Harley.

- To niemożliwe, milordzie. Nijak nie dorównam pańskiej wspaniałości.

- Zamierza mnie pani zaprosić do pokoju, czy woli, żebym już odjechał?

- Proszę mi wybaczyć, milordzie...

- Och, Kate! - Z trudem znosił sztuczności konwenansów. Gdy uniósł jej dłoń do ust, z radością zauważył na palcu zaręczynowy pierścionek.

- Proszę usiąść, milordzie - Wskazała mu miejsce, a potem dość nieporadnie wprawiła w ruch wachlarz, usiłując ukryć zakłopotanie. - Kieliszek wina?

Podawszy mu poczęstunek, zajęła miejsce naprzeciwko.

- Cóż mi pani powie, panno Harley?

- Sama nie wiem. - Ona też zrezygnowała z oficjalnych form. - To nie jest uczciwa gra. Postawił się pan w uprzywilejowanej sytuacji.

- Czyżby, Violu? - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Od dłuższego czasu zamykasz przede mną drzwi. Twój służący patrzy na mnie jak na robaka, który właśnie wypełził spod kamienia. Przyjechałem więc powozem w stroju całkiem niedostosowanym do wiejskich warunków, a ty mówisz o przewadze.

Wstała tak energicznie, że upuściła wachlarz.

- Wiem. Przykro mi z powodu impertynencji, jakie pana dotyczą, ale... Czego pan właściwie ode mnie chce?

Szybkim ruchem podniósł wachlarz, po czym położył go na stoliku.

- Niczego, co mogłoby cię wprawić w zakłopotanie, najdroższa Kate.

Ujął ją za rękę, a Kate, przyglądając się jego twarzy, zauważyła, że podobnie jak ona ma za sobą źle przespaną noc.

- Popatrz na mnie - poprosił, kiedy spuściła oczy. – Chcę tylko spytać, czy kochasz mnie na tyle, żeby puścić w niepamięć to, co było? Czy potrafisz zapomnieć o tym, że zabiłem w pojedynku twojego kuzyna? Jeśli uważasz, że to niemożliwe, nie będę obstawał przy wypełnieniu umowy. Za bardzo cię kocham, by zgodzić się na związek, który w końcu zniszczy nas oboje.

- Naprawdę byłbyś na to gotów?

- Z ciężkim sercem, ale tak

- Twoja wielkoduszność mnie zawstydzła.

- Najdroższa Kate. - Zatrzymał wzrok na ich złączonych dłoniach. - Musisz pogodzić się z tragedią, za którą nie ponosisz winy. Cała odpowiedzialność spada na Richarda i Simona.

- Myślałam o tym. - Zniżyła głos, lecz jej słowa zabrzmiały nadzwyczaj pewnie: - I wiem, że masz rację.

- Powiedziałem ci kiedyś, że cię kocham. To się nie zmieniło i nigdy nie zmieni. Czy będziesz mnie kochać, Kate, i przyjmiesz w zamian moją miłość? Czy uczynisz mi ten zaszczyt, że mnie poślubisz?

W napięciu czekał na odpowiedź, a milczenie zdawało się trwać wieki.

- Tak - usłyszał wreszcie. - Poślubię cię i będę cię kochać, a twoje serce będzie moim. - Oczy miała pełne łez, ale na twarzy gościł uśmiech.

- Czy wiesz, że gdybyś powiedziała „nie”, skazałabyś mnie na niewyobrażalne cierpienie?

- Och, Marcusie! - Rozłożyła ramiona. - Kocham cię od dawna, chociaż długo nie chciałam się do tego przyznać, nawet przed sobą. Taka byłam bez ciebie samotna.

- Wiem. - Objął ją tak, jak od dawna o tym marzył, i wtulił twarz w jej włosy. - Przez ostatni tydzień nie mogłem sobie znaleźć miejsca, doprowadzałem tym do rozpaczyny matkę i służbę w Priory. Bez ciebie po prostu nie mogę żyć. - Pocałował ją tak żarliwie, że obojgu zabrakło tchu. - Wiesz, czego teraz pragnę? - szepnął.

- Tego samego co ja.

- Pokaż mi swój pokój.

Po ciemnych schodach zaprowadziła go do sypialni. Nie było w niej już kurzu i wiązek ziół, wszystkie meble lśniły, a świeża pościel pachniała lawendą. Specjalnie na tę okazję odbyło się wielkie sprzątnięcie, choć prawdę mówiąc, nie miało to większego znaczenia, bo Marcus i Kate byli w tej chwili dla siebie całym światem.

Powoli zaczął ją rozbierać, z pietyzmem odłożył na bok wspaniałą suknię i choć ręce mu drżały, starał się opanować zniecierpliwienie.

- Wybacz mi - powiedział, gdy Kate stanęła przed nim naga. - Zaslugujesz na dworskie hołdy i subtelną adorację, ale pragnę cię tak bardzo, tak bardzo że...

- Powinnam się bać? - uśmiechnęła się przekornie.

- Owszem, powinnaś. - Oczy mu zapłonęły. - Sam się boję, gdy pomyślę, że można kogoś aż tak bardzo pragnąć.

- Weź mnie więc, milordzie. Jestem twoja i kocham cię całym sercem. - Jej uśmiech wyrażał nieskończone zaufanie i miłość Wspięła się na palce i czule pocałowała go w usta.

Marcus szybko zrzucił z siebie elegancki strój, a wtedy Kate delikatnie dotknęła świeżo zabliznionej rany biegnącej w poprzek jego żeber. Bez pośpiechu zaczęła okrywać ją pocałunkami, jakby tym gestem miłości pragnęła zatrzeć gorzkie wspomnienia i dać wyraz akceptacji tego, co przyniósł im los.

Ten gest był dla Marlbrooke'a zbawieniem. Porwał Kate na ręce i zaniósł do łóżka pełen gorączkowego pragnienia i bezbrzeżnej czułości.

- Ta noc należy do nas - rzekł z mocą. - Żadne cienie jej nie zakłóca. Nie ma już Gilliver, Richarda ani Isolde. Chcę, aby nasze ciała i myśli przenikały się i stopiły w jedno. Uwielbiam cię, Kate.

Jego dłonie i usta z oddaniem i zachwytem pieściły każdy skrawek jej ciała. Obejmował i całował jej piersi, pieścił dłońmi brzuch i biodra, wyczuwając każdy dreszcz, jakim jej ciało reagowało na doznawaną rozkosz. Kate odpowiadała mu bez uczucia wstydu zmysłowymi pomrukami i pocałunkami pełnymi podziwu dla siły i

piękna męskiego ciała. Dotykem zaborczych dłoni i czułych ust sprawił, że jej drżącym z rozkoszy ciałem targnął potężny spazm.

- Marcusie!

Zamknął jej usta pocałunkiem, a tłumione okrzyki opowiedziały mu wszystko o doznaniach ukochanej i obudziły w jego ciele pożądanie, którego nie potrafiłby opisać słowami. Wsunął się w nią i znieruchomiał, chcąc na dłużej zatrzymać tę najbardziej ekscytującą chwilę oczekiwania.

- Powiedz, że mnie kochasz, Katherine. Powiedz to właśnie teraz.

- Kocham cię - odrzekła schrypniętym szeptem.

- Jesteś moja i zawsze będziesz. Chcesz, najmilsza, chcesz tego?

- Tak! Tak Marcusie...

Rozdział osiemnasty

- Katherine, kochanie, wyglądasz na wypoczętą. Mimo takich trudów. - Marlbrooke nie mógł od niej oderwać oczu. - Bessie miała dopilnować, żeby ci nie przeszkadzano.

Przywiózł ją do Priory wczesnym rankiem, położył do łóżka i nakazał dobrze się wyspać. Uradowana takim obrotem sprawy Elizabeth znalazła w drugim końcu domu niecierpiące zwłoki zajęcie dla siebie i Felicity, aby syn z narzeczoną mogli się sobą nacieszyć.

- Czuję się całkiem dobrze. - Kate weszła do biblioteki, gdzie Marlbrooke siedział przy biurku otoczony wianuszkami dokumentów.

- Miło mi to słyszeć. - Uśmiechnął się, wciąż pełen niedowierzania, że Kate jest razem z nim w Priory. Ujął ją za rękę i zaprowadził do okna. Pomimo widocznej bladości i podkrążonych oczu na jej twarzy zagościły spokój i zadowolenie. - Wczoraj prezentowałaś się niezwykle wytwornie, ale i w tej kreacji jest ci bardzo do twarzy. - Kate miała teraz na sobie uroczą dwuczęściową jedwabną suknię w kolorze jasnoniebieskim. Koronkowy kołnierz maskował głęboki dekolot nie przysłonił jednak rumieńca, zalewającego Kate na myśl o pragnieniu widocznym w oczach Marcusa. Rozbawiony jej zmieszaniem, czule pocałował jej dłoń. - Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli cię tu przywiozę i już tu ze mną zostaniesz aż do dnia ślubu.

- Naturalnie.

Cieszyło go, że przyjęła tę decyzję bez sprzeciwu. Co więcej, uśmiechnęła się do niego, a z jej czystego spojrzenia była ufność.

- Chodź - powiedział. - Chcę, żebyśmy coś zrobili. Razem. - Bez słowa ruszyła za nim, uradowana, że są blisko siebie. Zaprowadził ją do długiej galerii i ustawił w samym środku świetlistego pasa, biegnącego wzdłuż obitej ciemną boazerią ściany.

- Isolde? - spytała niepewnie.

- Tak. Wezwij ją.

Kate pokonała lęk i czystym, donośnym głosem, odbijającym się echem w przestronnym pomieszczeniu, zawołała:

- Isolde!

Otoczył ich dojmujący chłód i przytłaczający smutek Kate zadrzała.

- Już jest.

Teraz przyszła kolej na Marlbrooke'a.

- Isolde - powiedział cichym, lecz stanowczym głosem.

Powietrze wokół nich zawirowało. - Zostaw nas w spokoju, Isolde.

Kocham Kate, a ona mnie. -I patrząc w oczy narzeczonej,

wypowiedział słowa, które zabrzmiały jak uroczysta przysięga: -

Nigdy, przenigdy nie użyję wobec niej przemocy i nigdy jej nie

skrzywdzę. Dzieci, które Kate będzie nosić pod sercem, poczniemy z

miłości. Twoja historia w tym domu już się nie powtórzy. Nie ma tu

miejsca dla twojego smutku. Moje serce należy do Kate, a jej serce do

mnie. W galerii panowała cisza.

- Odpoczywaj w pokoju, Isolde - dodała Kate, głęboko poruszona deklaracją Marlbrooke'a. - Marcus Oxenden i ja, Katherine Harley, zjednoczymy obie rodziny naszą miłością.

Dla potwierdzenia tych ślubów uroczyście wymienili pocałunek. Chłód w jednej chwili ustąpił. Wypełniona słońcem galeria znów tchnęła spokojem i harmonią.

- Odeszła, prawda?

- Tak sędzę. - Pociągnął ją na ławę pod oknem.

- Myślisz, że ona wróci? - Głęboko przejęta Kate oparła się o jego ramię.

- Nie wiem.

- Czy wierzysz w przeznaczenie, Marcusie?

- Nie wiem.

- Pomyśl tylko, być może naszym przeznaczeniem było znaleźć miłość, aby uwolnić Isolde od smutku i uleczyć jej złamane serce. - Kate popatrzyła na niego z powagą: - Może to właśnie przeznaczenie nas połączyło.

Marlbrooke pogłaskał ją po policzku.

- Violu najdroższa. Jakkolwiek to nazwać, stałem się twoim więźniem, tak samo jak Isolde była więźniem w glinianym naczyniu. Czy już ci dzisiaj mówiłem, jak bardzo cię Kocham?

- Nie. I wiedziałam, że czegoś mi brakuje - roześmiała się radośnie. - Nie ustaliliśmy jeszcze daty ślubu. - Nie odpowiedział, więc zerknęła na niego kątem oka. - Marcusie?

- Jest coś, co powinnaś zobaczyć. - Zaprowadził ją do biblioteki, gdzie na biurku leżały dokumenty.

- Tak, Marcusie? - spytała.

- To jest intercyza, w myśl której ty i twoje dzieci macie zagwarantowane godne utrzymanie, co uzgodniłem z sir Henrym Jessopem. Otrzymacie naprawdę duże środki, do takich masz bowiem prawo.

- To oczywiste. - Kate nie mogła odgadnąć, do czego zmierza Marlbrooke. - Jak wiesz, wyraziłam zgodę na małżeństwo wyłącznie dlatego, że jesteś nieprzyzwoicie bogaty. - Filuternie się uśmiechnęła, ale nie zareagował na zaczepkę.

- Mam coś dla ciebie - oznajmił zaskakująco oschłym tonem, otwierając szufladę biurka, by wyjąć z niej wypłowiały dokument. - Prawdę mówiąc, wolałbym, żeby tego nie było.

- Czy po tym, co nas spotkało, mamy się jeszcze czego obawiać?

- Dał mi to Verzons z przekonaniem, że przekażę dokument tobie - ciągnął z powagą Marcus. - Został znaleziony w skrytce w długiej galerii, tam gdzie kasetka. Proszę, jest twój.

Kate rozłożyła pergamin i ujrzała znajome, przysadziste pismo ojca.

-I co powiesz? Czy spełniły się wreszcie twoje nadzieje? -spytał, gdy po dłuższej chwili Kate podniosła na niego oczy.

- Tak To inna wersja testamentu ojca od tamtej, która spłonęła. Potwierdza moje prawa do Winteringham Priory, przy czym do czasu

osiągnięcia pełnoletności moim opiekunem ma być sir Henry Jessop. Po tym czasie posiadłość przechodzi bezwarunkowo na moją własność, na zasadach przewidzianych dla dziedziczącego mężczyzny. Nie ma więc żadnych zastrzeżeń związanych z małżeństwem, jak w wersji, która spłonęła - zakończyła ze spokojem.

- Mam rozumieć, Kate, że zamierzasz wystąpić przeciwko mnie na drogę sądową? Twoje roszczenia poparte tym dokumentem są bardzo mocne, a mając w odwodzie zasoby Priory, możesz przekupić większość sędziów, żeby wydali wyrok na twoją korzyść.

Historycznie rzecz ujmując, Harleyowie mają o wiele większe prawa do Priory niż Oxendenowie. W gruncie rzeczy mocno powątpiewam, czy groziłaby ci przegrana w sądzie.

- Wtedy nie musiałabym cię poślubić. Mojej rodzinie też przestałoby zależeć na naszym małżeństwie.

- Właśnie. Intercyzę można zniszczyć, jeśli obie strony wyrażają na to zgodę.

- A ty czego pragniesz, Marcusie? - Stała obok niego przy kominku, tak blisko, że czuł kwietny aromat jej pachnidła.

- Ja pragnę ciebie, Kate, ale nie wbrew twojej woli. Jeśli zamiast mnie poślubić wolisz wystąpić o swój spadek, podporządkuję się twojej decyzji. Nie mam zamiaru do niczego cię przymuszać.

- Myślałam, że lepiej mnie rozumiesz. - Jeszcze raz rozłożyła testament i w zadumie przesunęła palcem po dacie. - Nie pojmujesz? Ojciec zmienił zdanie. - W jej uśmiechu smutek mieszał się z satysfakcją. - To była jego ostateczna decyzja przed odejściem z tego

świata. Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo się cieszę, że ojciec mi zaufał, że chciał mi powierzyć Priory. Nigdy się nie dowiem, dlaczego na moją rzecz pozbawił dziedzictwa Simona i Richarda, ale jestem dumna, że tak postąpił. Nie znałam go i on mnie też nie, ale ta decyzja czyni mi go bliższym. I tylko to się liczy.

Zanim Marlbrooke odczytał jej zamiar, szybkim ruchem ręki cisnęła testament do ognia.

- Katherine...

Mocno uścisnęła jego ramię.

- Dałeś mi wolność wyboru. Nigdy ci tego nie zapomnę. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta miękkimi, ciepłymi wargami.

- Nie mogłabym walczyć z tobą w sądzie i nie zamierzam tego robić. Priory jest twoje... i moje, jeśli mnie zechcesz.

- Katherine! - Wtulił usta w jej włosy. - Kocham cię bardziej, niż można by uwierzyć.

- A ja myślałam, że kochasz Violę - roześmiała się przekornie.

- To prawda, zakochałem się w Violi. I bardzo miło ją wspominam. Nie była taka krnąbrna i samowolna jak Katherine. Pełna ciepła, wesoła, gotowa przyjmować moje rady za dobrą monetę. Ufam jednak, że mam w sercu dość miejsca, by pomieścić tam obie damy. Czy to cię satysfakcjonuje?

Odpowiedziała pocałunkiem, ale na jej twarzy pojawiła się troska.

- Coś cię trapi, kochanie?

- Kiedyś powiedziałeś mi, że Priory nigdy nie będzie twoim domem, że zawsze będzie nim Glasbury. Rozumiem cię, Marcusie. Mimo to może jednak zechcesz od czasu do czasu tu pomieszkać, nawet jeśli w przyszłości postanowisz odbudować rodową siedzibę.

- Na pewno tak zrobię, choćby dla naszych dzieci - powiedział uroczyście, jakby składał przysięgę. - Jednak dopóki jesteś ze mną, Priory będzie moim domem. Wbrew Isolde i wszystkim, którzy się temu przeciwstawiali, Harleyowie i Oxendenowie w końcu staną się jedną rodziną.

- A ja z radością włączę się do tego zbożnego dzieła. - Kate roześmiała się, zupełnie niestosownie do podniosłości chwili. - Ale, ale, Marcusie, najpierw musisz się ze mną ożenić.

- Rzecz jasna jest to konieczne - odrzekł z powagą, przypieczętowując swą decyzję kolejnym pocałunkiem.